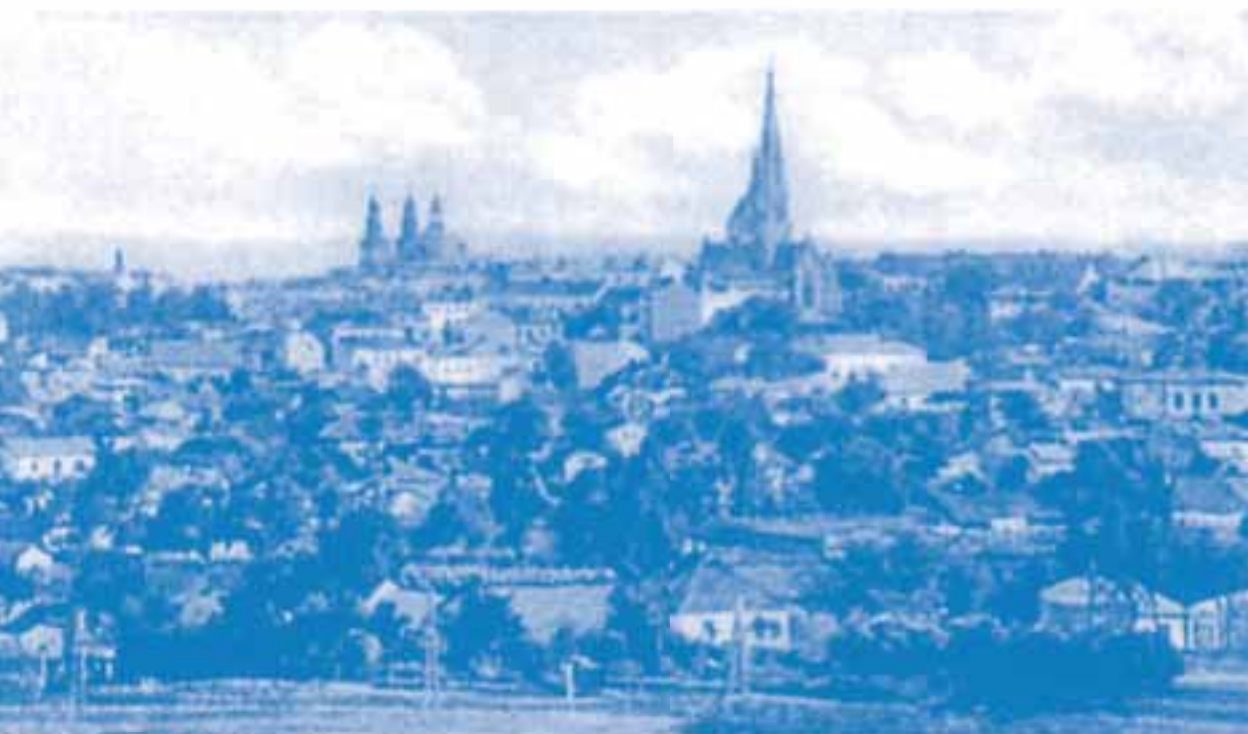


CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



3

(51) 2007

Dr Grodziska o rzeźbiarce Janinie Reichert ♦ J. Ciechanowska o „Gazolinie” ♦ H. Kleinrok wspomina Kozłów ♦ Na 50-lecie śmierci prof. Weigla ♦ Wspomnienia o Marcie Woźniak i Władysławie Spittalu ♦ A. Chowaniec rozważa czy UPA walczyła o niepodległość ♦ Rozmowa z Bogusławem Kolczem

NASZE DZIEDZICTWO

Gorące tegoroczne lato nie przeszkodziło w naszych kontaktach z „tamtą stroną”. Coraz to w gazetach czytamy o wyjazdach szkół z RP do Lwowa i innych okolic Małopolski Wschodniej (ostatnio, w lipcu, jechała młodzież z podkrakowskich Świątnik Górnych, nie pierwszy raz zresztą). Którejś lipcowej niedzieli byliśmy na mszy św. w Niedźwiedziu (koło Mszany Dolnej), a ksiądz proboszcz właśnie zapowiedział kolejny wyjazd pielgrzymki parafian do Lwowa. Tak jest zapewne również w innych częściach RP, toteż autokarów z polską rejestracją na punktach granicznych zatrzymanie. I czekać na przejście trzeba długo, oj długo.

Może się to poprawi przy okazji EURO-2012, bo muszą być liczniejsze przejścia, będzie (podobno) autostrada. A także obserwacja ze strony Zachodu – jak to jest z tą nową kandydaturą do Unii Europejskiej. Na ten zaszczyt trzeba bowiem zasłużyć wielostronnie, a postsowieckie obyczaje muszą wreszcie ustąpić przed europejskim stylem życia i współżycia.

Nie może to zresztą dotyczyć tylko komunikacji, lecz wielu, bardzo wielu dziedzin. Jedną z nich musi być respektowanie dorobku kultury, która we Lwowie i innych miastach wschodniomałopolskich (a nawet za Zbruczem – przykładem Kamieniec Podolski) ma wielowiekowe związki z zachodnią Europą. Polskie dziedzictwo architektury – choćby, jak w całej wschodniej Europie, budowanej przy pomocy bardziej wtedy od nas doświadczonych Niemców północnych i południowych, Włochów czy Holendrów – musi być uszanowane, podobnie jak w Czechach i na Węgrzech, w krajach bałtyckich. Nie wolno wchodzić w zachodnioeuropejską tkankę miejską z agresywnymi budowlami bizantyjskimi lub „dziełami” tworzonymi przez architektów pozbawionych jakiegokolwiek wyczucia kultury i smaku. Przykładem: *monstrum* na lwowskim placu Mariackim* (o którym już pisaliśmy) lub nowe gigantyczne cerkwie, stawiane w miasteczkach, gdzie dominowały dotąd gotyk, renesans czy barok, aż po neogotyk. Jest oczywiste, że chodzi o stworzenie wrażenia „ruskości”, a więc motyw polityczny, a nie religijno-kulturowy. To samo przecież robił carat w XIX wieku – ogromne cerkwie postawiono w centrum Warszawy i na wierzchołku malowniczego Tallina w Estonii. Metodę przejęli sowieci ze swymi „pałacami kultury”. Teraz mamy swoisty ciąg dalszy: gigantyczną cerkiew widzimy tuż za szlabanem granicznym w Szeginiach czy w centrum Sambora.

A łącząc oba poruszone wątki: piloci wycieczek z RP powinni już po drodze zwracać uwagę na na owe karygodne „poprawianie” krajobrazu historyczno-kulturowego. Nie liczymy na to, że wycieczkowicze potrafią sobie sami uzmysłowić i wytłumaczyć sens ogromnych cerkwi co krok wznoszonych. Pamiętajmy, że przejazdy między docelowymi miejscowościami dają doskonałą okazję do wyjaśnienia wielu spraw. Miejscowi przewodnicy nie powiedzą wszystkiego, bo albo nie widzą potrzeby, albo nie mogą mówić całej prawdy.

* Pokazywaliśmy jego zdjęcie w CL 2/04, s. 60

MÓJ DZIADEK

Rodzina Fischerów przybyła do Polski, a ściślej mówiąc do Krakowa, w XVIII wieku i bardzo szybko spolonizowała się całkowicie. Legenda rodzinna głosiła, że protoplasta osiadłego w Krakowie rodu swój majątek zawdzięczał kuciu kos dla Naczelnika Kościuszki. Czy to prawda, nie wiem. Faktem jest, że Fischerowie dosyć szybko przenieśli się z kramów w Sukiennicach na linię AB i tam założyli sklep z przyborami „piśmiennicznymi”. Jakim sposobem do tej solidnej mieszczańskiej rodziny zawitał duch przygody, nigdy się już chyba nie dowiemy. Sam dziadek nigdy się na ten temat nie wypowiadał. W każdym razie kiedy zaprowadził mnie na Salwator i nauczył, jak przypinać do nóg narty, nie było mi nic wiadomo o jego pionierskiej roli w tej dziedzinie sportu. Sam dziadek, czyli Jan Fischer, był postacią niesłychanie barwną. Oczywiście prowadzenie sklepu było dla niego zajęciem nudnym i jałowym. Siedział tam, bo tak nakazywała rodzinna tradycja, ale dla zabicia czasu czytał książki, traktując klientów jak intruzów. Jego odpowiedź klientowi, że co prawda w sklepie nie ma papieru toaletowego, ale jest glasspapier, słyszałam jeszcze w wielu wersjach przez wiele lat. Nic więc dziwnego, że jego stan majątkowy był daleki od rozkwitu zapoczątkowanego przez przodków. Duch przygody jednak, który popychał dziadka do wypraw w góry i na morze, walczył w nim zawsze z przywiązaniem do Krakowa. Kraków bowiem był dla niego miejscem, do którego zawsze wracał, które przyciągało go tak, jak każdego wędrowca przyciąga dom rodzinny. I dlatego też zapewne żadna żądza przygody nie była dla niego na tyle silna, żeby go od tego miasta oderwać na zawsze.

Nauczył mnie, że kłanstwo to tchórzostwo, że zawsze trzeba mieć odwagę bronić swoich przekonań, umieć odpowiadać za swoje czyny i że nie wolno swoimi błędami obciążać kogokolwiek poza sobą samym. Nauczył mnie też miłości do rodzinnego miasta, kraju i żyjących w nim ludzi bez względu na ich pochodzenie. Szlachectwa – powiadał – nie potwierdza się herbami, a swoim własnym postępowaniem. Kiedy wybuchła w 1939 roku wojna, zgłosił się do wojska, ale nie został przyjęty ze względu na podeszły wiek. Prowadził więc on, potomek niemieckich przybyszów, swoją małą wojnę z okupantem, przebijając opony w niemieckich pojazdach, roznosząc konspiracyjne gazetki i na każdym kroku podkreślając swoją polskość. Kiedy w czasie wojny Niemcy wyparli ze Lwowa Rosjan, pojechał odwiedzić mieszkającą we Lwowie rodzinę. Przez wiele lat po wojnie wspomniano, jak to wuj Janek zjawił się w wygłodzonym mieście z plecakiem pełnym mąki i kaszy. Za swoją postawę zapłacił cenę najwyższą: cenę życia. Jak długo będę żyła, będę pamiętać tę noc, kiedy do domu wpadli z krzykiem, krzycząc: raus! raus! gestapowcy. Wyprowadzony przez nich dziadek szedł spokojnie. Przechodząc koło mnie i widząc moją zapłakaną twarz pochylił się na ułamek sekundy ku mnie i powiedział niezbyt głośno, ale bardzo wyraźnie: „nie bec”. Potem przyszedł ten straszny telegram z Oświęcimiami i dziadek rozwiązał się z dymem krematoryjnych pieców.

Barbara Czalczyńska

MIASTO SILESIA

Mówi się o zamiarze połączenia się 17 miast Górnego Śląska w jedno wspólne supermiasto – Górnośląski Związek Metropolitalny (GZM), o 2,2 milionach mieszkańców i potężnym przemyśle. W gazetach krajowych ukazało się sporo artykułów na ten temat. Wybraliśmy krótki cytat z tekstu Z. Bartusia z „Dziennika Polskiego” z 25 maja '07:

... w miastach GZM-u zróżnicowanie jest olbrzymie – od tradycji Pas de Calais, skąd po wojnie wróciło do Polski wielu górników, po kulturę przedwojennego Lwowa; tamtejsze elity wzorowały współczesne oblicze Gliwic i Bytomia, budowały od zera śląskie uczelnie i instytucje kulturalne. Kolejne pokolenia wyrosły na tych tradycjach. Ten kapitał ludzki wraz z najbardziej rozbudowaną w Polsce infrastrukturą miejską i największym potencjałem produkcyjnym daje śląskim miastom sporą przewagę nad resztą kraju, zwłaszcza teraz, gdy uporały się z głównymi zmoarami PRL...

Kościół św. Marii Magdaleny we Lwowie musi wrócić do prawowitych właścicieli

Idąc za przykładem Oddziału Poznańskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW, zwracamy się do naszych Czytelników i wszystkich, którzy rozumieją powagę sytuacji, o poparcie poniższego apelu.



Msza święta odprawiana na podęście schodów do kościoła św. Marii Magdaleny – przy zamkniętych drzwiach do świątyni

Ze smutkiem przyjmujemy kolejne nadchodzące ze Lwowa wiadomości o dramatycznej walce o odzyskanie przez wiernych obrządku rzymskokatolickiego tamtejszego kościoła pw. św. Marii Magdaleny.

Wierni tego obrządku, w większości Polacy, mieli dotychczas we Lwowie tylko dwie z dawniej posiadanych licznych świątyń, a mianowicie Katedrę łacińską i kościół pw. św. Antoniego na Łyczakowie. W kościele św. Marii Magdaleny mogli sprawować Eucharystię tylko w określonych dniach i godzinach, i to nie zawsze. Faktycznie, świątynia ta została przekształcona w salę koncertową, co w oczywisty sposób kłóci się z jej charakterem Domu Bożego. Dlatego wierni podjęli starania, aby przywrócić jej dawną, uświęconą parosetletnią tradycją funkcję, co w żaden sposób nie przeszkadzałoby – podobnie jak w wielu kościołach Warsza-

wy, Krakowa, Wrocławia, Poznania i innych miast RP – wykorzystywaniu jej do urzędzaniu tam koncertów muzyki organowej.

Niestety, administratorzy „Budynku Muzyki Organowej” nie chcą się zgodzić na to i szykanują wiernych. Sytuacja stała się tak dramatyczna, że doprowadziła do strajku głodowego grupy osób reprezentujących wspólnotę rzymskokatolicką. Nawet tak drastyczna forma protestu nie przyniosła oczekiwanego rozstrzygnięcia.

Wobec takiego rozwoju wydarzeń, my – stowarzyszeni w organizacjach, którym bliscy są Rodacy żyjący na dawnych Kresach i wielowiekowa polska tradycja tamtej Ziemi, a także mieszkańcy Krakowa i Małopolski – wyrażamy swoje poparcie i solidarność z domagającymi się przywrócenia właściwej funkcji świątyni lwowskiej. Żądamy równocześnie, aby władze świeckie Lwowa uszanowały prawa mniejszości narodowej, jaką obecnie stanowią w tym mieście Polacy.

Ukraina, która aspiruje do członkostwa Unii Europejskiej, powinna dać dowód swojego szacunku dla praw mniejszości i zwrócić kościół św. Marii Magdaleny katolikom obrządku łacińskiego.

Zwracamy się do wszystkich ludzi dobrej woli z gorącą prośbą o poparcie podpisami powyższego tekstu, który skierujemy do Władz RP z prośbą o interwencję u władz ukraińskich. Chcielibyśmy przyczynić się do powstania korzystnego precedensu w stosunkach między tamtejszymi władzami a polską „mniejszością narodową” na całym tamtym terenie.

Podpisał Zarząd Oddziału TMLIKPW w Krakowie

Podpisy na załączonych kartkach prosimy odsyłać na adres naszego Oddziału:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i KPW, 31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Karolina Grodziska

LWOWSKIE POMNIKI JANINY REICHERT

Należała do pierwszego rocznika kobiet, które miały prawo studiowania w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Szlak przetarła w 1917 roku Zofia Baltarowiczówna (później znana pod nazwiskiem Dzielińska, po mężu), a 14 grudnia 1918 r. Senat ASP pod przewodnictwem rektora Wojciecha Weissa uchwalił przyjęcie kobiet do Akademii jako „zwyczajnych” uczennic. Było ich w roku 1919 siedemnaście: cztery u Weissa, po trzy u Józefa Mehoffera i Teodora Axentowicza, dwie u Ignacego Pieńkowskiego i aż pięć u Konstantego Laszczki, który już wcześniej przyjął, jako studentkę nadzwyczajną, Zofię Baltarowicz.

A więc sześć kandydatek na rzeźbiarki, z których prawie każda zaznaczyła się w tej dziedzinie: Zofia Baltarowicz-Dzielińska, Zofia Marsówna, Natalia Milan, Olga Niewska, Romana Szereszewska i właśnie Janina Reichert. Samborzanka, córka radcy sądowego Józefa Reicherta i Antoniny z Kilarskich, od wczesnego dzieciństwa zamieszkała we Lwowie przy ul. Kurkowej 25 w posagowej kamienicy swej matki – córki lwowskiego okulisty, prymariusza szpitala, Józefa Kilarskiego. Niespełnione u Antoniny pragnienie nauki niewątpliwie miało wpływ na decyzje życiowe jej czterech córek. Najbardziej zaskakujący był właśnie rzeźbiarski talent trzeciej z panien Reichertówien, która od dzieciństwa konsekwentnie dążyła do spełnienia swego życiowego marzenia.

Służyła temu matura, zdana w 1915 r. w Brnie na Morawach, gdzie dziewczęta zostały ewakuowane z zajętego przez Rosjan

Lwowa, a następnie nauka w Państwowej Szkole Przemysłowej we Lwowie na oddziale rzeźbiarstwa dekoracyjnego (1915–1918), gdzie szczególnie wpływ wywarł na jej rozwój Jan Nałborczyk. Wakacje mogła poświęcać na praktykę w znanej firmie rzeźbiarsko-kamieniarskiej Ludwika Tyrowicza. Rozpoczęte w 1919 r. studia na ASP – przedmiot starań i marzeń – nie zostały jednak przez Janinę Reichert ukończone: przerwała je w 1921 r. z uwagi na zły stan zdrowia. Zagrożenie gruźlicą było, szczęśliwie, błędną diagnozą, ale na Akademię, do pracowni Konstantego Laszczki już nie powróciła. Powróciła natomiast do Lwowa, na Kurkową 25, gdzie mogła stworzyć sobie zaimprovizowaną pracownię i w godzinach wolnych od pracy nauczycielskiej – rzeźbić. Ten okres trwał do 1928 r., kiedy zrezygnowała z posady w Państwowej Szkole Zawodowej Żeńskiej i poświęciła się wyłącznie rzeźbie.

Przełomem był rok 1927. Na wystawie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych przedstawiono wówczas prace malarskie Antoniego Bartkowskiego i Iwana Trusza, grafiki Leona Wyczółkowskiego, projekty architektoniczne Józefa Awina i zespół 20 rzeźb Janiny Reichert. Były to zarówno portrety (chętnie wówczas przez nią tworzone), jak i rzeźby ołtarzowe do kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie, kompozycje: *Pieta*, *Madonna* i *Ewa* oraz projekt *Pomnika Lotnika*. Wystawa okazała się wydarzeniem, a recenzje były dla młodej artystki ogromnie przychylne: *bujny świeży talent, w którym tkwią wielkie jeszcze możliwości twórcze* (Artur Schroeder), *piękny, wciąż naprzód postępujący rozwój* (Artur Lauterbach), *sztuka na wskroś liryczna* (Władysław Terlecki) – to niektóre z nich. Włady-



1935 r.



sław Kozicki pisał wówczas, że krytyk *ma tak rzadko sposobność odkrycia nowego talentu, zwłaszcza rzeźbiarskiego, że gdy to się stanie, czuje się szczęśliwy, jakby wygrał los na loterii: nareszcie, nareszcie coś cennego! Z rzeźb p. Reichertówny bije talent prawdziwy, szczerzy, oryginalny, zawiązujący wielkie możliwości rozwojowe.*

Tak entuzjastyczne przyjęcie prac nieznannej młodej artystki dało jej upragnioną niezależność. Rezygnując rok później z posady nauczycielskiej, mogła poświęcić się wyłącznie rzeźbie. Pojawiły się zamówienia – prywatne i publiczne, pozwalające na dalszy rozwój artystyczny. Z żalem wypada skonstatować, że z tego właśnie – najbardziej twórczego – okresu Janiny Reichert tak niewiele dzieł przetrwało.

Twórczość sakralna zainicjowana została przez prace w kościele św. Marii Magdaleny we Lwowie. Janina Reichert wykonała tam, według projektu Witolda Minkiewicza, dwie figury aniołów, trzymających koronę – rzeźby te istnieją do dziś, w stanie bardzo bliskim pierwotnemu. Kolejne, większe już zamówienie – rzeźby do kościoła w Tarnopolu, ukończone w 1933 r., a wykonane według projektu inż. Wawrzyńca Dayczaka, uległy całkowitej zagładzie i znane są jedynie z fotografii. Wielkie i nader prestiżowe zlecenie – wykonywane pod kierunkiem Wawrzyńca Dayczaka rzeźby do wielkiego

ołtarza w kościele św. Elżbiety we Lwowie (1931–1935) – to monumentalne figury św. Elżbiety, św. Stanisława, św. Jakuba Strepy oraz posągi aniołów – uległy częściowo zniszczeniu bądź zostały w ostatnich latach odkute, w sposób bardzo odległy od pierwowzoru.

Do twórczości sakralnej rzeźbiarka miała powrócić, i to w bardzo szerokim zakresie, po II wojnie – w Krakowie, gdzie osiadła w 1946 r. Owe prace – poszczególne rzeźby, ołtarze, posągi na fasadę, figurki do szopki – wykonane m.in. do kościołów w Częstochowie, Niepokalanowie, Jaśle, Żorach, Nawojowej i Krakowie – przyniosły jej u schyłku życia, w 1978 r., Nagrodę im. Brata Alberta za całokształt twórczości artystycznej w zakresie rzeźby sakralnej. Dziedzina twórczości, zapoczątkowana w lwowskich kościołach św. Marii Magdaleny i św. Elżbiety, w drugiej połowie życia stała się głównie domeną Janiny Reichert. Ale oba te okresy dzieli – niezależnie od lat wojennych – wielka przygoda z monumentalną rzeźbą pomnikową, tak niezwykła w przypadku rzeźbiarki owej pierwszej akademickiej generacji.

W 1928 r. Janina Reichert otrzymała ważne zlecenie: wykonanie popiersia marszałka Józefa Piłsudskiego do westybulu gmachu Korpusu Kadetów we Lwowie. Rzeźbę ufundowano ze składek oficerów; uroczyste odsłonięcie miało miejsce 11 XI – w 10 rocznicę odzyskania niepodległości. Stała tam wówczas rzeźba z gipsu patynowanego, którą miał w przyszłości zastąpić pomnik odlany ze spiżu. Rzeźba ogromnie się podobała, a uzyskane uznanie i rozgłos dały pokłosie w postaci kolejnych zleceń: pomnika poległych w Brzeżanach oraz planowanych pomników Juliusza Słowackiego, marszałka Piłsudskiego, Marii Konopnickiej i biskupa Władysława Bandurskiego we Lwowie. Ich losy to interesujący fragment historii Lwowa.

Szczęśliwego finału doczekała się realizacja w Brzeżanach, wykonana we współpracy z inż. Wawrzyńcem Dayczakiem – *Pomnik poległych*, wykonany dla stacjonującego tam 51 pułku piechoty, odsłonięty został 4 VI 1933 r., na piętnastolecie istnienia pułku. Duże wrażenie robiła grupa trzech atakujących żołnierzy pod powiewającym sztandarem, pełna dynamiki i siły. Kompozycja ta,

umieszczona na wysokiej kolumnie zwieńczonej wizerunkiem orła, zlokalizowana została przy ulicy prowadzącej z dworca kolei do centrum i szybko stała się jedną z atrakcji rodzinnego miasta marszałka Rydza-Śmigłego. Pozytywne recenzje i fotografie pomnika ukazywały się w wielu pismach.

Ten niewątpliwy sukces musiał osłodzić artystce niepowodzenie, które spotkało ją na lwowskim gruncie. Otóż w 1928 r. Edmund Bulanda, prezes TPSP i profesor UJK, zarekomendował Janinę Reichert jako projektodawczynię pomnika Juliusza Słowackiego, który miał stanąć w pobliżu gmachu Teatru Miejskiego. Z zachowanego listu prof. Bulandy do Janiny Reichert z 9 II 1928 r. wynika, że Komitet, choć z pewnymi zastrzeżeniami, zgodził się na propozycję, a o przyjęciu pomnika Janiny Reichert informowały pod koniec 1928 r. „Kurier Poranny”, „Słowo Polskie”, „Przedświt” czy rok później – „Kobieta Współczesna”. Projekt przedstawiał poetę siedzącego, z księgą w rękach, nieco pochylonego ku przodowi. Trzy ściany smukłego postumentu pokrywać miały płaskorzeźby przedstawiające *Sławę* (z wieńcem liści dębowych), *Inspirację* lub *Natchnienie* (z arkuszem papieru) i *Polskę w niewoli*, ze związanymi dłońmi i aureolą nad głową, ku której splywa z góry Feniks, dziobem rozcinający jej pęta. Przednią ścianą postumentu zdobiła płaskorzeźbiona lira i ptak – Feniks lub łabędź. Projekt zyskał pochlebne opinie. I tak Władysław Kozicki pisał, że rzeźba ta *przewyższa znacznie swą wartość artystyczną wszystkie projekty pomnika Słowackiego nadesłane na ten konkurs, jest utrzymana w jednolitym stylu, nacechowanym prostotą, spokojem i powagą. Jest nadto dziełem na wskroś oryginalnym, będącym wytworem indywidualnej wizji plastycznej i indywidualnego poczucia bryły [...]* Po dokonaniu minimalnych korektur i po odpowiednim dostosowaniu wymiarów pomnika do znacznej wysokości i masy gmachu teatralnego oraz sąsiednich budynków pomnik Słowackiego wg projektu p. Reichertówny będzie wartości-

wym dziełem sztuki i prawdziwą ozdobą Lwowa.

Pomnik ten nigdy jednak we Lwowie nie stanął, choć o nadziejach na realizację koncepcji Janiny Reichert prasa donosiła w 1929, 1930, a nawet w 1939 r. Jak należy przypuszczać, na przeszkodzie stało starcie z koncepcją znakomitego i bardzo wpływowego autora, profesora SSP w Warszawie – Edwarda Wittiga. I on przygotował projekt pomnika Słowackiego dla Lwowa: pomnik ten, niezrealizowany przed wojną, został po wielu latach odsłonięty w Warszawie na Placu Bankowym w 2001 r. Jakikolwiek był zatem przebieg konkursowej (i pewnie też zakulisowej) walki, o to, czyj pomnik ma stanąć na Wałach Hetmańskich – oboje artystów go przegrało, Lwów zaś stracił interesujące dzieło.

W 1935 r. Janina Reichert poślubiła kapitana WP w stanie spoczynku, Fryderyka Totha – również rzeźbiarza, choć nie mającego studiów artystycznych i późno rozpoczynającego swą artystyczną drogę. Nie ulega wątpliwości, że jego pomoc i współpraca miała duży wpływ na kolejne sukcesy, odnoszone w drugiej połowie lat 30. przez rzeźbiarkę.

Śmierć Marszałka Piłsudskiego w roku 1935 dała pole wielu pomnikowym i nazewniczym inicjatywom. We Lwowie ukonstytuował się Obywatelski Komitet Budowy Pomnika Marszałka Piłsudskiego pod przewodnictwem wiceprezydenta miasta Ostrowskiego. Termin składania prac upływał 20 I 1936. Pod uwagę brano dwie lokalizacje – z różnych względów trudne, choć pełne rozmachu. Pierwszą z nich był stok Cytadeli (z wymaganym częściowym opracowaniem terenu i uwzględnieniem możliwości stworzenia tam później ośrodka sportowo-kulturalnego), drugą zaś były Wały Gubernatorskie w osi ulicy Ruskiej; tu niezbędne byłoby wyburzenie gmachu gimnazjum, a nawet – likwidacja tramwaju, biegnącego tą ulicą. Na konkurs wpłynęło 18 prac, z których nagrodzono siedem. Pierwszą nagrodę zdobył projekt pomnika na Cytadeli, drugą i trzecią – projekty Janiny Reichert-Toth wiążące się

Pomnik Słowackiego



z Wałami Gubernatorskimi. Na postać Marszałka miano ogłosić osobną edycję konkursu. Sprawa nie nabrała szybkiego biegu.

Nadeszły jednak dla Janiny Reichert-Toth zdecydowanie lepsze wydarzenia. Tym razem nie wiązały się już z uczestnictwem w konkursach, lecz były konkretnymi zleceniami na pomniki Marii Konopnickiej i biskupa Władysława Bandurskiego.

O pomniku Konopnickiej miasto Lwów myślało z dawien dawna. Uroczyste obchody dwudziestolecia jej pracy pisarskiej w 1902 r., wzruszający patriotyczny pogrzeb w 1910, wreszcie konkurs, rozpisany w 1926 r., wyznaczają etapy tej inicjatywy. Zwycięzczynią konkursu była znana lwowska rzeźbiarka – Luna Amalia Drexlerówna (1882–1933). Niestety, jej przedwczesna śmierć sprawiła, że plany musiano zmienić. Popiersie poetki – znakomitą rzeźbę Drexlerówny – umieszczono na cmentarzu Łyczakowskim na grobie Konopnickiej, a w 1935 r. wykonanie właściwego pomnika powierzono Janinie Reichert. Pomnik miał stać w Parku Kilińskiego, nad sadzawką. Otoczenie rzeźby i prowadzące doń drożki zaprojektował architekt Zbigniew Wzorek.

Przyjęte przez Janinę Reichert założenie było zarówno interesujące, jak i świadczyło o jej lojalnym, pełnym klasy zachowaniu wobec nieżyjącej Luni Drexler, nie było bowiem względem niej konkurencyjne. Zamiast figury Konopnickiej stać miała rzeźba, personifikująca stosunek poetki do ojczystej ziemi. Był to ponad 3-metrowy *Oracz* – młody mężczyzna, z wysiłkiem pchający do przodu sochę – bohater *Roty*, jeden z tych, co „nie rzucą ziemi, skąd ich ród”. Na cokole pomnika zaplanowany był natomiast medalion o średnicy 75 cm z popiersiem Konopnickiej.

W marcu 1938 r. model pomnika gotów był do odlewania. Janina Reichert-Toth zaprosiła przedstawicieli prasy lwowskiej do swej pracowni, gdzie zapoznała wszystkich z projektem i jego przyszłą lokalizacją. Model wysłano następnie do Warszawy. Odsłonięcie pomnika planowane było na rocznicę



śmierci poetki w październiku 1939 r. Rozwój wydarzeń unicestwił te plany: gotowy już odlew *Oracza* został zniszczony w Warszawie we wrześniu 1939 r. Można tylko spekulować, iż – gdyby zdążono odsłonić go we Lwowie – z pewnością by przetrwał, a nawet, jako apoteoza bardzo ciężkiej pracy na roli, mógłby być, nie do końca zgodnie ze swą pierwotną wymową, hołubiony przez władze radzieckie...

Bezpownotne zniszczenie *Oracza* stanowiło dla artystki bardzo bolesne doświadczenie, tym bardziej że jeszcze jedno z jej pomnikowych dokonań – gotowe do odlewu – nie ujrzało światła dziennego. Był to pomnik księdza Władysława Bandurskiego – kapelana I Brygady Legionów, biskupa pomocniczego archidiecezji lwowskiej, zmarłego w 1932 r. Wkrótce potem zapadła we Lwowie decyzja o budowie jego pomnika i w czerwcu 1935 r. Obywatelski Komitet postanowił zlecić to dzieło Janinie Reichert. W lipcu 1937 r. zawarta została umowa z artystką. Prace posuwały się stopniowo: 1 lipca 1939 r. warszawska firma odlewnicza L. Kranca i T. Łempickiego przyjęła proponowane warunki. Model przewieziono latem 1939 r. do Warszawy. Odbiór gotowego odlewu miał nastąpić do 1 III 1940, zaś ustawienie dzieła na Placu Cłowym we Lwowie – do 1 VI 1940 r. Los modelu pomnika w Warszawie w 1939 r. był – podobnie jak los gotowego już *Oracza* – przesądzony...

Jaki był ten niedoszły pomnik biskupa Bandurskiego? Przede wszystkim – monumentalny, gdyż sama postać mierzyła 5,60 m. Zgodnie z planem, miał być ustawiony na jasnym czworobocznym postumencie. Postawa sugerująca zdecydowany ruch naprzód – wysoko uniesiona nad głową prawa ręka, jakby zachęcająca idących za nim żołnierzy. Sutanna, stuła, płaszcz o kroju żołnierskiego szynela – ich fałdy potęgowały wrażenie ruchu. Twarz o orlich rysach wywierała duże wrażenie.

Pomniki Lwowa często są obecne w poezji, prozie, wspomnieniach, także w żartach i piosenkach. W grudniu 1938 r. o by-

łych i aktualnych zamierzeniach miasta w tej dziedzinie nieco ironicznie pisała znakomita znawczyni dziejów miasta, Łucja Charwiczowa:

Tasiemcowatymi skrętami oplatają ostatnie dziesięciolecie Lwowa pomnikowe plany. Utworzyło się bowiem parę nowych komitetów, inne przetrwały sprzed wojny. Te ostatnie są komitety budowy pomnika Tadeusza Kościuszki, Juliusza Słowackiego i Marii Konopnickiej. O pierwszym od lat zaległa cisza. Nie rozwiązany jest dotąd problem skompletowania pomnika Słowackiego, jakkolwiek praca art. rzeźbiarza Wittiga nad nim dojrzała już osiągnęła formy. Autorka pomnika Marii Konopnickiej Maria Janina Reichert-Tothowa czuwa już nad jego odlaniem w bronzie, a teren jest już przygotowany w najpiękniejszym punkcie parku Kilińskiego. Ta sama artystka, najpoważniejsza we Lwowie reprezentantka rzeźby monumentalnej, jest twórczynią również in statu nascendi będącego pomnika bpa Wł. Bandurskiego. Zmierzczył zupełnie zainteresowania budową pomnika Marsz. Józefa Piłsudskiego. Ogół wie tylko tyle, że rozpisany konkurs na projekt nie dał zadowalających wyników. Natomiast krzątają się żywo komitety budowy pomników gen. Tadeusza Rozwadowskiego i brygadiera Czesława Mączyńskiego.

Szerokie zamierzenia i plany w dziedzinie pomników przecięta wojna. O powojennym losie lwowskich pomników, zwłaszcza Króla Jana III Sobieskiego, Aleksandra Fredry i Kornela Ujejskiego, wiemy: są dziś w Gdańsku, Wrocławiu i Szczecinie. Po niezrealizowanych dziełach pozostały zapisy w aktach miejskich, notatki prasowe, projekty i zdjęcia. Janina Reichert-Toth, która wraz z mężem Fryderykiem przeżyła wojnę we Lwowie, w czerwcu 1946 r. jednym z ostatnich transportów *repatriacyjnych* przeniosła się do Krakowa, gdzie zmarła w 1986 r. W Krakowie pracowała przy odnowie ołtarza Wita Stwosza, rekonstrukcji pomnika Adama Mickiewicza i – przede wszystkim – zajęła się rzeźbą sakralną. Do końca życia pozostał w niej – mimo osiągniętej tu pewnej stabilizacji, a nawet sukcesów – żal, tęsknota za Lwowem i smutek z powodu niezrealizowanych, a już przecież gotowych, lwowskich pomników Marii Konopnickiej i Władysława Bandurskiego.

Aneta Żuk

I ZNÓW SERCE RADOŚNIE BIJE WE LWOWIE

To miasto ma moc przyciągającą. Kto raz je zobaczył, chce tam wrócić ponownie i jeszcze raz „zanurzyć” się w nie. Tak samo było ze mną. Wcześniej słyżałam o Lwowie i sytuacji na Kresach z opowiadań mojego śp. nauczyciela matematyki Janusza Kotarby – wspaniałego człowieka, który po raz pierwszy rozniecił w nas miłość do ziem utraconych. Stowem i piosenką przybliżył historię Kresów Wschodnich. I kto by pomyślał, że po paru latach, jadąc na wycieczkę w góry, poznam chłopaka, który urodził się we Lwowie i później został moim mężem. Los związał ze sobą dwa miasta Kraków i Lwów – oba bardzo mi bliskie.

Po raz pierwszy zawitałam do tego magicznego miasta w 1990 roku i raz je zobaczywszy już wiedziałam, że będę za nim tęsknić. Potem – pisząc pracę magisterską – wielokrotnie wracałam z pomocą charytatywną czy na jubileusz 180. rocznicy powstania szkoły im. Marii Magdaleny, do której chodził mój mąż Andrzej i jego siostra Bożena. Bardzo interesowała mnie historia, kultura i tradycja tego miasta-symbolu. Czułam się tam od początku jak w miejscu dobrze mi znanym i bliskim, i tak zostało do tej pory.

Bardzo chciałam podzielić się moimi wrażeniami ze znajomymi i dlatego postanowiłam, że ich tam muszę koniecznie zabrać. Od dawna nosiłam się z zamiarem wzięcia udziału w takiej zorganizowanej wycieczce, i w końcu się udało. Uczestniczyli w niej nauczyciele z mojej szkoły im. Tadeusza Kościuszki w Przebieczanach, w której pracuję, oraz z innych szkół w gminie, a także inni znajomi zainteresowani tą wycieczką. Przedstawiłam plan zwiedzania, przybliżając to, co zobaczymy we Lwowie. Wspólnie z grupą z OK TMLiKPW wyruszyliśmy z Krakowa 14 czerwca, w środę wieczorem. Granicę bez większych problemów przekroczyliśmy w Medyce.

MŁODZI KRAKOWIANIE POZNAJĄ LWÓW

Henryk Kleinrok, **MOJE MIASTECZKO**

Z dużym rozrzewnieniem przeczytałem w CL 1/2006 w *Słowniku geograficzno-histerycznym* opis mego rodzinnego miasteczka – Kozłowa. Moje rozrzewnienie tym bardziej się zwiększyło, gdy z mroków wspomnień, zakodowanych gdzieś głęboko w pamięci, przywołani zostali ludzie, którzy byli mi niegdyś tak bliscy, oraz obrazy zdarzeń, w których niejednokrotnie sam uczestniczyłem. Nostalgia, która mnie ogarnia, być może jest wynikiem wspomnień dziecięcego beztróskiego okresu mego życia. Tam rosnę w domu rodzinnym w gronie kochających ludzi. Tam czas upływał mi na zabawach z rówieśnikami, tam pobierałem nauki od wspaniałych i lubianych pedagogów. Tam też przeżyłem dramatyczne wydarzenia podczas wojny pod okupacją sowiecką i niemiecką. Wszystko to powoduje, że wspomnienia tamtych miejsc i czasów nadal wywołują we mnie wiele emocji. Po przeczytaniu opisu w *Słowniku* czuję jednak pewien niedosyt podanych informacji i dlatego pragnę uzupełnić go dodatkowymi danymi, wskazać kilka błędów rzeczowych oraz wyeliminować nieścisłości.

Zacznę od nazwy Kozłów – w pierw osady, następnie wsi, aż wreszcie miasteczka –

która pochodzi z XV wieku (pisemna wzmianka Kossłow z roku 1448). Podczas licznych napadów, płdrowań i pożogi, dokonywanej na Podolu przez ordy tatarskie ciągnące tzw. szlakiem kuczmańskim przez Trembowłę, Tarnopol na Lwów, wielu osiadłych na terenach Podola ludzi szukało dla siebie odpowiednio bezpiecznych miejsc z utrudnionym dostępem lub w większym oddaleniu od szlaku, którym ciągnęli najeźdźcy. Takim bezpieczniejszym miejscem były tereny bagienne, leżące między rzeczkami Wosuszką i Cecorką. Tam osiedleńcy z okolicznych terenów szukali ochrony własnej, zabezpieczenia dobytku i bezpiecznej uprawy ziemi. Według różnych przekazów, wśród tych osadników był cieszący się dużym poważaniem hodowca wielkiego stada kóz, nazywany, a raczej przezywany „Kozłem”, i to ponoć na jego cześć osadę nazwano Kozłowem. Jednak brak jest jakichkolwiek pisemnych danych potwierdzających tę wersję genezy nazwy.

Inna, już zapisana, wzmianka o Kozłowie ujęta jest w piśmie z 31 kwietnia 1467 roku króla Kazimierza IV Jagiellończyka, na mocy którego szlachcicowi Albertowi Borowskiemu przekazano 200 marek polskich na rozbudowę królewskiej wsi Kozłów. Stąd wniosek, że



Kozłów i okoliczne przysiółki należały do Korony Polskiej. Następną wzmianka o Kozłowie odnotowana jest w akcie darowizny z 1502 r., dokonanej przez króla Aleksandra Jagiellończyka na rzecz arcybiskupów lwowskich. Abp Andrzej Róża Boryszewski herbu Poraj w 1501 roku stał na czele poselstwa polskiego, przekazującego koronę polską Wielkiemu Księciu Litewskiemu Aleksandrowi, który w 1502 r. w podzięce darował Boryszewskiemu na rzecz arcybiskupów lwowskich wieś Kozłów, z równoczesnym pozwoleniem zamiany jej na miasto. Darowizną tą objęte były też wsie: Dmuchawiec, Pokropiona, Krasne, Taurów, Plaucza Wielka i Mała, Cecory, Horodyszczce i Słobudka. Król Stefan Batory wydał dnia 22 września 1577 roku rozporządzenie, nakazujące odbudowę Kozłowa zrujnowanego podczas kolejnego najazdu ordy tatarskiej i zbudowanie nowego miasta na prawie magdeburskim. W tym czasie Kozłów wraz z okolicą był własnością Ludwika Budzanowskiego, który, w odpowiedzi na królewski nakaz, zwało i z wielkim zapamiętał zabrał się do rozbudowy miasteczka. Nadanie przez króla praw magdeburskich połączone było z pewnymi przywilejami, a przede wszystkim umożliwiło szybki rozwój miasteczka. Tu w poszukiwaniu lepszych warunków do życia zaczęli zjeżdżać nowi osadnicy, przywożąc ze sobą lepsze sposoby gospodarowania oraz nowocześniejsze metody uprawy roli. W XVI wieku klucz dóbr kozłowskich był w zastawie, jednak około roku 1610 wykupił go arcybiskup Jan Zamojski herbu Grzymała i odtąd dobra te należały do arcybiskupów lwowskich.

Z historii Kozłowa pragnę przytoczyć jeszcze inne wydarzenia, które w chwili obecnej uległy już prawie zapomnieniu, chociaż ślady ich po dziś istnieją. W czasach po rozbiórce Polski Galicja, a w tym i Kozłów, znalazła się pod panowaniem Austrii, w której w roku 1848 zniesiona została pańszczyzna. W tym czasie w wielu miejscowościach na terenie Galicji dla upamiętnienia tego wydarzenia stawiano pomniki. Również i w Kozłowie ustawiono figurę z napisem: *Maj roku 1848. Na pamiątkę zniesienia pańszczyzny. Społeczność Kozłowa*. Pamiętam, że figura ta stała na początku ulicy Przedmieście i przetrwała nawałnice obu światowych wojen. Dopiero w 1950 roku z ogólnego nakazu władzy sowieckiej wszystkie figury z elementami

Wczesnym rankiem dnia następnego dotarliśmy do najważniejszego przystanku naszej wędrówki – do Lwowa. Ranek we Lwowie przywitał nas ponury i mglisty, do tego miasto w bardzo wielu miejscach było rozkopane, obawiałam się nieco tego pierwszego kontaktu. Obawy jednak szybko rozeszły się w promieniach słońca, które przebijało się przez chmury, rozświetlając ulice i ludzi.

Podobnie jak inni współczesni, zadajemy sobie pytanie: co takiego niezwykle jest w tym mieście, że ci, których los zmusił do opuszczenia tych stron, wspominają i tęsknią za nim przez długie lata, że u wszystkich budzi zachwyt i miłość, że stało się miastem legendą? Czy potrafimy to dostrzec i odczuć?

Wiedza, zaczerpnięta z albumów i opisów, że wspomnień moich teściów i ich znajomych, staje się nagle faktem w zasięgu wzroku, myśli i uczuć. Sprawdza się.

Niezwykle udane położenie fizjograficzne dodaje temu miastu szczególnego uroku. Możemy tu podziwiać zarówno piękne kościoły, jak i cerkwie czy synagogi. Wielonarodowa i wielowyznaniowa kultura stanowiła swoistą urodę tego miasta. Szkoda, że w tym zdaniu można posłużyć się już tylko czasem przeszłym.

Kamiennymi śladami tej kultury są budowle różnorodnych stylów architektonicznych, które należą dziś do zabytków klasy zerowej. Ich śladem wiedzie nasza wędrówka. Idziemy wolno po nierównym bruku starych ulic. Przesuwa się czas, a nam się wydaje, że jesteśmy w jego wnętrzu.

Renesansową harmonią urzeka nas Ratusz strzeżony przez dwa lwy. Zachwycamy się barokowymi kościołami Jezuitów i Dominikanów, starą, zabytkową apteką, Arsenalem. Innym naszym przystankiem podziwu i pamięci jest Teatr Wielki.

Po wyjściu z Opery kierujemy się w stronę pomnika Adama Mickiewicza – oddajemy hołd naszemu wieszczowi.

Dzień wędrówki po Lwowie kończymy w Katedrze pod wezwaniem NMP, zwanej Łacińską. To w tej świątyni król Jan Kazimierz składał śluby mające ratować Ojczyznę od najazdu wrogów. W tym roku obchodziliśmy właśnie 350. rocznicę tego wydarzenia. W naszej szkole przygotowaliśmy uroczystą akademię, aby przypomnieć dzieciom tę ważną dla Polski kartę historii. W ka-



religijnymi zostały zburzone, a ślady po nich zatarte. Dopiero w 1990 roku ukraińskie społeczeństwo Kozłowa postanowiło zrekonstruować figurę i ustawić ją na poprzednim miejscu. Figura jest taka sama jak pierwotnie, jedynie napis wykonany jest w dwu językach – polskim i ukraińskim, z dodatkową datą rekonstrukcji. Innym pomnikiem-figurą, jaką pamiętam, była figura, którą postawił mój dziadek Michał Mróz w celu upamiętnienia swego syna Mikołaja, wcielonego do armii austriackiej w 1915 roku. Żandarmi zabrali go z jego uczty weselnej w dniu ślubu. Dziadek ustawił figurę w miejscu, gdzie stał przejściowy lazaret polowy, w którym przypuszczalnie wskutek odniesionych ran zmarł mój wujek Mikołaj. Pamiętam tę figurę, był to metalowy krzyż, ustawiony na kopcu usypanych kamieni, specjalnie przez dziadka uzbieranych na okolicznych polach. Miejsce to przez mieszkańców Kozłowa nazywane było Na Klinach.

Do dziś zachował się w Kozłowie jeszcze jeden ślad z czasów dużo wcześniejszych. Są to dwie groble na rzece Cecorce na Hrecajce, które według opisu obecnego mieszkańca Kozłowa, emerytowanego ukraińskiego nauczyciela historii, pochodzą z 1649 roku. W tym czasie kilka zagonów kozaków Bohdana Chmielnickiego, stacjonujących w Trembowli, zostało wezwanych do wsparcia głównych kozacko-tatarskich sił oblegających zba-

raską twierdzą, w celu odciążenia drogi królowi Janowi Kazimierzowi, śpieszącemu z odsieczą obrońcom Zbaraża. Sławną, bohaterską obronę Zbaraża prowadzili Aleksander Koniecpolski i Jarema Wiśniowiecki z bardzo już wymęczoną, wygłodniałą i mocno zdziętkowaną ilością obrońców. Z Trembowli kozacy, aby jak najszybciej połączyć się z głównymi siłami Chmielnickiego, wyruszyli przez Złotniki, Kupczyńce, Horodyszczce i Kozłów. W Kozłowie rozdzielili się, część poszła przez Pokropiwnę do Jezierny i na Zborów, a pozostali przez Hrecajkę i wieś Cecory. Jednak na Hrecajce podmokłe i bagniste tereny oraz rzeczka Cecorka stanowiły dla kozackiej konnicy przeszkodę nie do pokonania. Musiano usypać dwie groble! Nie wiem na ile opis ten, podany przez ukraińskiego nauczyciela, jest wiarogodny, choć wydaje się całkiem prawdopodobny.

W siedemdziesiątych latach XIX wieku przedstawiciele Kozłowa wystąpili do odpowiednich władz z inicjatywą nadania herbu miasteczku. W związku z tym zwrócono się do znanego lwowskiego historyka i wybitnego galicyjskiego krajoznawcy Antoniego Schneidera, autora niedokończonej *Encyklopedii do Krajoznawstwa Galicji*, z prośbą graficznego opracowania odpowiedniego projektu oraz jego uzasadnienie. W odpowiedzi A. Schneider w 1875 roku przysłał graficzną propozycję, nawiązującą do szlacheckiego rodowego herbu Poraj – na czerwonym tle srebrne, potrójne, pięciopłatkowe róże. Herbem tym posługiwał się Jan Boryszewski, dzięki któremu Kozłów otrzymał prawa miejskie. Projekt został przyjęty przez miejscową władzę, jednak oficjalnie nie został zatwierdzony ani przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Austrii, ani przez cesarza.

Na początku XX wieku Kozłów wraz z przysiółkami Łubianką Wielką i Małą, Zarduką, Przedmieściem wraz z Hrecajką, Podlasiem z Mazepówką oraz z Dmuchawcem liczył około 12 tysięcy mieszkańców. Wyznaniowy podział społeczności Kozłowa wraz z podległymi wsiami i przysiółkami wg *Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego* z 1883 r. wynosił: 4764 wyznawców religii rzymskokatolickiej wliczonych do parafii kozłowskiej; 1373 wyznania grekokatolickiego i 1038 izraelitów. Natomiast w 1939 roku wg archiwalnych danych archidiecezji lwowskiej parafia kozłow-

ska zaliczana do dekanatu brzeżańskiego, liczyła 3834 wiernych.

Miasteczko Kozłów położone jest u zbiegu rzek Wosuszki i Cecorki, stanowiących dopływ Strypy i Dniestru, w odległości 16 km na zachód od Tarnopola. Najbliższą stacją kolejową leżącą na trasie Tarnopol–Lwów jest Jezierna. Do I wojny światowej miasteczko Kozłów posiadało przywilej urządzania siedmiu corocznych jarmarków, a w okresie międzywojennym, dzięki staraniom Stowarzyszenia Przemysłowców, jarmarki odbywały się w czwartek każdego tygodnia. Na jarmarkach tych handlowano bydłem, głównie końmi, a także drobiem i płodami rolnymi zwozonymi z okolicznych wiosek. Przypominam sobie ten gwar i rejwach przy dobijaniu targu między podnieconymi sprzedającymi i kupującymi, czemu nierzadko towarzyszyła grupa kibiców, celowo przez strony sprowadzana. Często z rówieśnikami chodziłem na targowisko, gdzie atmosfera ogólnego podniecenia handlujących udzielała się i nam, co stanowiło niebywałą atrakcję.

Na początku XX wieku w Kozłowie pracowały dwa wodne młyny. Jeden na lewym brzegu Wosuszki, między Łubianką Wielką a Śródmieściem, drugi zaś, w pierw wodny, a po rekonstrukcji mechaniczny sześciowalcowy, napędzany ropnym silnikiem spalinowym. W okresie międzywojennym uważany był za wybitne osiągnięcie techniki i najładniejszy z młynów działających w okolicy. Kierownikiem tego młyna był pan J. Czułowski. Z wysokoprężnym spalinowym silnikiem dieslowskim współpracował generator elektryczny, zapewniający oświetlenie młyna i głównej ulicy miasteczka. Wprowadzenie oświetlenia ulicy wyeliminowało oświetlenie gazowe, co w rezultacie dało znaczne oszczędności w kasie gminy.

W Kozłowie były dwa folwarki. Na terenie jednego z nich (własność arcybiskupów lwowskich) wybudowana była gorzelnia, w której produkowano alkohol jeszcze przed I rozbiorem Polski (1772). Gorzelnia zatrudniała kilkudziesięciu najemnych sezonowych pracowników, których nazywano góralami. Gorzelnia ta od XVIII wieku bez większych przerw pracuje po dzisiejszy dzień. Jedynie niewielka kilkumiesięczna przerwa w pracy powstała w czasie wojny w 1944 r., kiedy to z ogólnie znanych powodów Czerwona Armia wstrzymała swój marsz na zachód. W czasie tych

tedrze wraz z pielgrzymami z Litwy uczestniczymy we mszy świętej – był to dzień Bożego Ciała.

Drugiego dnia, w piątek, wędrujemy śladami króla Jana III Sobieskiego. Zaczynamy od miejsca w którym się urodził. Docieramy do Oleska. Na wierzchołku stromego wzgórza wznosi się zamek wtopiony w rozległy pejzaż. Z góry roztacza się wspaniały widok na całą okolicę. Po zwiedzeniu komnat chwilę jeszcze spacerujemy po rozległym parku, teraz trochę zapuszczonym, ale mającym swój urok. Uwiecznimy jeszcze wspaniałego lwa – to jakby nie było symbol Lwowa.

Następnie udajemy się dalej, aby zwiedzić zamek w Podhorcach. Prowadzi do niego piękna aleja, a napis nad bramą głosi, że miał być miejscem „ucieczki i wypoczynku”. Obok pałacu rozciągają się rozległe łąki usłane różnokolorowym kwieciami. Przynajmniej w przyrodzie nie widać niszczącego działania czasu.

Dalej wędrujemy śladami króla Jana. Zatrzymujemy się w Złoczowie, gdzie Jakub Sobieski, ojciec króla, wybudował zamek. Była to wczesnobarokowa twierdza-rezydencja, pełniąca zarazem funkcję cytadeli. Wzniesiono tu także unikalny pawilon chiński. Podobny był tylko w Petersburgu i pod Berlinem. Zamek ten był ulubioną na wschodzie rezydencją króla Sobieskiego. Widać, że wszystko tu jest odnowione, lśni czystością. Można mieć tylko nadzieję, że i inne budowle na wschodzie ocaleją od zniszczeń.

Późnym popołudniem wracamy do Lwowa i udajemy się na Cementarz Łyczakowski – jedną z najpiękniejszych polskich nekropolii i jeden z największych cmentarzy w Europie. Otacza nas cisza kamieni i cisza czasu minionego. Tu zakończył się trud istnienia dla wielu, którzy zapisali się na trwałe w naszej historii, i dla tych, którzy ją też tworzyli, ale o ich imionach nikt już nie pamięta. Wzruszają nas te mogiły otulone polnymi kwiatami, ziołami, nad którymi pochylają się już tylko gałęzie drzew. Podziwiamy wiele pięknych rzeźb, które stanowią tu swoistą galerię. Zatrzymujemy się dłużej przy grobowcu Marii Konopnickiej, zapalamy znicze. Jedną z moich koleżanek, Asia, kładzie wiązanek kwiatów – jej szkoła za patronkę obrała sobie właśnie Marię Konopnicką. Zatrzymujemy się jeszcze przy wie-

strasznych paru miesięcy miasteczko zniszczone zostało w 80 procentach.

W okresie międzywojennym naczelnikiem Gminy w Kozłowie był Stanisław Ozimek, szwagier mego dziadka, sekretarzem gminy zaś Samuel Katz, ojciec Juliusza, późniejszego konsula PRL-u w Indiach. Samuel Katz, wraz z żoną i drugim synem Kubą, zginął w getcie w Tarnopolu w czasie okupacji niemieckiej. Opiekę lekarską w miasteczku i w okolicznych wsiach zapewniało dwóch lekarzy. Doktor Stefan Zarzycki, chirurg, był synem unickiego duchownego Konstantyna, dziekana kozłowskiego dekanatu. Żona doktora, Natalia Bilińska, wielka ukraińska społecznica, angażowała się w ukierunkowywanie pracy kozłowskiego koła Towarzystwa „Proświta”. Tam zajmowała się głównie wychowywaniem młodzieży ukraińskiej. Pod pretekstem wychowywania młodzieży w duchu narodowej godności wpajała im skrajny nacjonalizm oraz nienawiść do Polaków i Polski. W 1935 roku, po śmierci popa Zarzyckiego, miejsce po nim w kozłowskiej parafii grekokatolickiej zajął jego syn Demian, również skrajny ukraiński nacjonalista. Drugim lekarzem w Kozłowie był żyd, doktor Biner – internista. Posiadał on wielki lekarski autorytet, leczył wszystkich, którzy zwracali się do niego o poradę lub lekarską pomoc. Zakład farmaceutyczny i aptekę prowadził pan Stanisław Blachowski, który w swojej pracowni wytwarzał wiele ziołowych medykamentów.

W czasie okupacji niemieckiej doktor Biner ukrywał się w Kozłowie – jak pamiętam – w domu ukraińskiej rodziny, u niejakiej Jackowej. Kryjówką jego była bardzo mała piwniczka celowo wykopana w pomieszczeniu mieszkalnym. Była tak płytka, że ukrywający się mógł przebywać w niej tylko w pozycji leżącej. Spędzał w niej przeważnie godziny dzienne, wtedy kiedy wejście do domu było otwarte. Żona i syn doktora mieli bezpieczne schronienie w niedalekiej Draganówce w gospodarstwie moich krewnych. Siostra doktora, Natalia, ukrywała się w Jakubowcach w gospodarstwie mojej ciotki Anieli Bem. Natomiast mąż Natalii, inżynier Adolf Keppel, przez całą okupację bezpiecznie ukrywał się w Kozłowie na Habazówce w gospodarstwie Kryplów.

Niestety tragiczny los spotkał doktora Binera, gdyż w lipcu 1944 roku, kiedy to front walk niemiecko-sowieckich w czasie odwrotu hitlerowców zatrzymał się w Kozłowie, dom,

w którym przez całą okupację przebywał doktor, był ostatnią, najdalej wysuniętą placówką niemiecką. Biner został wykryty przez Niemców i konwojowany do Brzeżan. Zapewne wiedział, co go czeka, ponieważ zamknięty w szopie w czasie przerwy w konwojowaniu we wsi Szybalin koło Kozowej powiesił się. Jego syn Czesław, mój kolega, również tragicznie zakończył życie. W kwietniu 1944 roku w pierwszych dniach zatrzymania się naporu wojsk sowieckich Czesław przyszedł z Draganówki do Kozłowa do dawno niewidzianego ojca i tu podczas artyleryjskiego ostrzału zginął, trafiony odłamkiem pocisku.

Wśród wielu ludzi związanych lub pochodzących z bliskiego memu sercu Kozłowa, pragnę wspomnieć kilka osób, które swoją pracą, życiem bądź śmiercią zasługują na wymienienie. Utrwaliłem ich w mej pamięci jako wybitnych czy choćby tylko wyrastających ponad przeciętność, ale godnych przywołania. Do takich pragnę zaliczyć:

- Alojzego Mroza (1906–1941), inżyniera górnika, absolwenta Krakowskiej Akademii Górniczej, który po uzyskaniu dyplomu podjął pracę w Kopalni Wosku Kamiennego w Borysławiu, gdzie po niedługim czasie został mianowany dyrektorem technicznym. Tam w 1941 roku po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej został zamordowany przez oprawców z NKWD.

- Edwarda Mroza (1898–1990), nauczyciela, absolwenta Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Zmobilizowany we wrześniu 1939 roku w trakcie tak zwanej *cichej częściowej mobilizacji*, wpierv brał udział w obronie Warszawy na stanowisku oficera łącznikowego nr 1 w Biurze Transportu Wojskowego przy Dyrekcji PKP na Pradze. Następnie otrzymał rozkaz ewakuacji skarbca darów zebranych na Fundusz Obrony Narodowej z Warszawy do Lublina, a następnie do Lwowa. Internowany na Węgrzech, gdzie przeżył całą wojnę. Dzięki wspaniałej rodzinie patriotów węgierskich wyostał się z obozu dla internowanych i ukrywał się w wielkim majątku rolnym. Po zakończeniu wojny powrócił do kraju i do czasu przejścia na emeryturę był dyrektorem szkoły w Warszawie.

- Zdzisława Kleinroka (1928–2002), lekarza, absolwenta Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrze. Był naukowcem, posiadał wiele zaszczytnych tytułów, w tym: profesora, doktora habilitowanego, wielokrotnego dok-

tora honoris causa. Był członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, wieloletnim rektorem Akademii Medycznej w Lublinie i przez ponad 30 lat Kierownikiem Zakładu Farmakologii i Toksykologii AM w Lublinie. W 1998 r. otrzymał Order Kawalera Maltańskiego (więcej patrz CL 4/03).

● Władysława Kleinroka (1898–1941), syna Franciszka, mieszkańca Kozłowa. Był funkcjonariuszem Policji Państwowej w Tarnopolu. Tylko dlatego, że był policjantem, w 1939 r. po wkroczeniu wojsk radzieckich został aresztowany przez NKWD i uwięziony w Starobielsku, gdzie strzałem w tył głowy został zamordowany w 1941 r. Jego żona z dwiema córkami wywiezione zostały na Sybir, skąd w sierpniu 1942 r. wraz z ewakuowaną armią gen. Władysława Andersa opuściły *nie-ludzką ziemię*. Przez Iran, Irak i Afrykę przedostały się do Europy i ostatecznie zamieszkały we Francji.

● Jana Mroza (†1944), rolnika, który zginął tragicznie, w okrutny sposób zamordowany. Aktu tej zbrodni dokonali miejscowi nacjonaliści ukraińscy z bandy Stepana Bandery. Kazano mu wykopać dół, a następnie zakopano go w nim po szyję i plugiem przeorano. Wszystko to działo się na oczach zrozpaczonej żony i przestraszonej dwójki ich małych dzieci.

● Szczepana Kotowicza (1918–1999), prawnika, studenta UJK we Lwowie i absolwenta Polskiego Wydziału Uniwersytetu Oksfordzkiego. Był autorem wielu artykułów i opracowań historycznych, jak *Liga Narodowa w Ameryce* i *Wkład Polonii Amerykańskiej w odbudowanie Polski*. Był wiceprezesem Stronnictwa Narodowego w Ameryce, a także współzałożycielem i długoletnim wiceprezesem Instytutu Romana Dmowskiego w Stanach Zjednoczonych. Był współautorem czterotomowego dzieła *Wybór pism Romana Dmowskiego* wydane w USA.

Można by wymienić jeszcze wielu innych wspaniałych ludzi, którzy bądź są tam pogrzebani lub tylko swoje korzenie wywodzą z Kozłowa, a rozrzućeni są zdarzeniem losu po całym kraju, a nawet świecie.

Dokończenie w następnym numerze

HENRYK KLEINROK, ur. w Kozłowie k. Tarnopola w 1931. Studia na Politechnice w Gliwicach i Wrocławiu, mgr inż. elektryk, był pracownikiem biur projektowych. Działacz Klubu Tarnopolan w Krakowie.

lu grobowcach i pomnikach, które urzekają swym pięknem.

Na Cmentarzu Łyczakowskim znalazło ostatni spoczynek wielu żołnierzy, i to z różnych pokoleń walczących o niepodległość Polski. Po każdym bowiem wielkim powstaniu narodowym chroniły się przed represjami we Lwowie setki niedobitków. Tu, otoczeni szacunkiem, dożywali swych ostatnich dni, a na grobach ich wznoszono pomniki ozdobione niejednokrotnie patriotycznymi epitafiami. Mnie szczególnie zainteresowali żołnierze Kościuszki, jako że nasza szkoła nosi imię tego narodowego bohatera.

I wreszcie docieramy do zupełnie wyjątkowej narodowej nekropolii żołnierskiej – Cmentarza Obrońców Lwowa z lat 1918–20. Zapalamy znicze na grobach i chwilą zadumy składamy hołd tym, którzy tu spoczywają – młodym obrońcom Lwowa. W tym momencie przypominają mi się słowa piosenki *Orlątko*:

O mamo, otrzyj oczy, z uśmiechem do mnie mów.

Ta krew, co z piersi broczy, ta krew to za nasz Lwów...

Nie wiem czemu, ale zawsze, gdy ją śpiewam czy słyszę, to chce mi się płakać i jakoś tak mi ciężko na duszy.

Wracamy, podchodzą do mnie koleżanki mówiąc, że nie wiedziały, iż tyle historii jest zapisanej na tym cmentarzu. Czujemy jakby nad nami unosiły się duchy dawnych bohaterów. W wielkiej zadumie i milczeniu opuszczamy ten jakże niezwykle cmentarz.

W sobotę ze względu na małą ilość czasu robimy wycieczkę objazdową po Lwowie. Wychodzimy na Kopiec Unii Lubelskiej. Z Wysokiego Zamku widać tonące w zieleni wieże kościołów, kopuły cerkwi i dachy zabudowań. Lwów tonie w zieleni. Park Stryjski, Łyczakowski, Kościuszki, Pohulanka, zachwycają wiosenną urodą drzew i krzewów. W Parku Stryjskim pośród zieleni, za stawem, odnajdujemy pomnik Jana Kilińskiego.

Zwiedzamy również cerkiew św. Jura, w której możemy zaobserwować ceremonię udzielania ślubu. Następnie wysiadamy i oglądamy secesyjny Dworzec Główny. Z okien autokaru z zachwytem podziwiamy neogotycki kościół św. Elżbiety z jego słynnymi wieżami. Po drodze przejeżdżamy też koło pomnika Bartosza Głowackiego. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni naszej przewod-

Adam Jerzy Chowaniec, **CZY UPA WALCZYŁA O**

Pojawiają się publikacje, będące relacjami świadków ludobójstwa ludności polskiej przez nacjonalistów ukraińskich spod znaku UPA w latach wojny i po jej zakończeniu. Była nawet objazdowa wystawa obrazująca metody torturowania ofiar, zmierzające do długich męczarni przed śmiercią.

Zdecydowałem się powrócić do tej bolesnej tematyki, zdeterminowany dwoma przyczynami, tj. zderzeniem oczywistej prawdy, zawartej m.in. w pamiętniku Stanisława Jastrzębskiego pt. *Oko w oko z banderowcami* – z fałszem głoszonym obecnie na Ukrainie na temat UPA, zasługującej jakoby na pełne uznanie, skoro walczyła o niepodległość Ukrainy tylko z Niemcami i Sowietami. Konsekwentnie zatem zaprzecza się jakimkolwiek ludobójstwu Polaków. Autor tego pamiętnika, jeszcze jako 10-latek był świadkiem wielu okrucieństw w swojej rodzinnej wsi Bybło, leżącej w powiecie rohatyńskim, w północnej części województwa stanisławowskiego.

W tej pięknej miejscowości

żyli Polacy, Rusini i Żydzi – w zgodnych sąsiedzkich stosunkach, często w przyjaźni, a nawet nieraz powiązani węzłami rodzinnymi. Wszystko to, niemal błyskawicznie, zmieniły wydarzenia wojny niemiecko-polskiej. Do Rusinów dotarła wnet wroga propaganda ukraińskich nacjonalistów, rychło podchwycona przez duchownych z ambon cerkiewnych. Głoszono więc, że Rusini to Ukraińcy, Polacy i Żydzi uniemożliwiają zaś odzyskanie niepodległości Ukrainy. Przy niskim poziomie intelektualnym ludności wiejskiej głosy takie znalazły szybki odzew. Rusini, już jako Ukraińcy, z miejsca stali się nieprzejednanymi wrogami Polaków i Żydów. Wrogość tę zwiększyło jeszcze nadejście wojsk sowieckich, z którymi ludność żydowska zaczęła od razu współpracować, zwłaszcza przeciwko Polakom. Kierowane na Polaków donosy przez Żydów i Ukraińców powodowały aresztowania, konfiskaty itd. Zaczęły się też napady na Polaków,

początkowo indywidualne, później zbiorowe, przez utworzone bandy nacjonalistów ukraińskich. Życie polskich rodzin stało się coraz bardziej zagrożone, zwłaszcza że dochodziło do zabójstw. Autor wspomina, że apogeum zła wystąpiło z chwilą utworzenia dużej formacji zbrojnej pod nazwą Ukraińskiej Powstańczej Armii (w skrócie UPA). Członków jej zwano potocznie banderowcami, od nazwiska Stefana Bandery, przywódcy całego ruchu niepodległościowego Ukraińców. Trudno było pojąć bezprzykładną, zbrodniczą działalność banderowców. Raz po raz napadali we wsiach na polskie domy, pastwiąc się sadystycznie nad mieszkańcami, bez względu na ich wiek i płeć (ofiarami były niemowlęta, dzieci, dorośli i starcy). Na zakończenie tortur obcinano nieraz głowy. Niewątpliwie jakimś bodźcem dla banderowców było nierzadko poświęcanie przez wspomnianych duchownych narzędzi tortur i mord. Przez cały czas dorosłego już życia autor nie potrafił zatrzeć w pamięci przeżywanej wtedy jako dziecko martyrologii naszego narodu. Haniebne działania bohaterów spod znaku UPA musiał więc utrwalić w pamiętniku, co w języku prawniczym określa się *prawdą, całą prawdą i tylko prawdą*. Stąd też pamiętnik Stanisława Jastrzębskiego zasługuje na szeroką poczytność.

I oto druga przyczyna

powrotu myślami do dramaturgii sprzed ponad 60 lat. Ciężko uwierzyć, że władze ukraińskie dzisiaj patronują banderowcom, którzy organizują zjazdy międzynarodowe swoich byłych członków, defilady w tradycyjnych mundurach, jakieś rocznice itp. Podobno mają oni otrzymać nawet status kombatan-tów, bo *walczyli o niepodległość*. Niezbędne jest przypomnienie, że w rządowych rozmowach między państwowych przed kilkoma laty strona polska wskazała ok.150 tysięcy ofiar, które poniosły śmierć z rąk banderowców. Strona ukraińska zaprzeczyła temu twierdząc, że faktycznie były jakieś ofiary, lecz po obu stronach wśród ludności cywilnej, ale zaistniało to w toku walk ban-

derowców z oddziałami partyzantów polskich. Czyżby tam utajniono przed władzami stan faktyczny? Uzasadnione jest poruszanie wewnętrznych spraw Ukrainy. Otóż mordercza działalność UPA miała miejsce jedynie na polskich terenach, tj. województw: wołyńskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego i lwowskiego, a później na zachodnich obszarach tegoż województwa – na Rzeszowszczyźnie. Wobec często kwestionowanej polskości tych terenów trzeba przypomnieć o administracyjnym podziale Polski, dokonany przez Niemców po kampanii wrześniowej. Niemcy włączyli do swego państwa część naszych ziem zachodnich i północnych – jako niemieckie. Na pozostałym terenie utworzyli Generalne Gubernatorstwo, składające się z dystryktów. Po zajęciu w 1941 r. polskich ziem południowo-wschodnich utworzyli tam następny dystrykt – Galizien. Wszystkie tereny dystryktów określane jako nieniemieckie automatycznie oznaczały ich polskość. Określenie to powtarzano podczas okupacji przy każdej okazji, gdy coś odnosiło się do Polaków.

Wiadomo, że każda organizacja ma jakieś pierwociny. Źródłem powstania UPA, jej korzeniami, była Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, w skrócie OUN. Początki jej w Polsce datują się od czasów przedwojennych. OUN miała tajne komórki, wspomagane przez wrogie nam ośrodki – w Czechosłowacji i Niemczech. Nacjonałiści OUN szerzyli wrogą agitację przeciwko Polsce, głosząc zarazem hasła walki o niepodległość Ukrainy. Pytanie, dlaczego ta „walka” miała odbywać się właśnie na terenie Polski? Dla zdobycia rozgłosu rozpoczęli dokonywanie spektakularnych morderstw. Ofiarą padł minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki, zastrzelony w Warszawie w roku 1934. Kolejne zabójstwo popełniono na Rusinie, pośle na sejm RP, o nazwisku Hołówko. Była to zemsta za jego „niesubordynację”. Dalszymi ofiarami stali się oficerowie policji i kilku funkcjonariuszy.

Trzeba tu podkreślić, że nazwa *Ukrainiec* miała wówczas znaczenie pejoratywne i takiej nazwy używali jedynie nacjonałiści. Pozostała ludność nazywała się Rusinami. Była to nazwa oficjalna. Wielu Rusinów służyło w armii polskiej, brało udział w kampanii wrześniowej oraz otrzymywało odznaczenia bojowe. Istniał też pułk huculski, wchodzą-

niczce O. Grabowskiej, za pokazanie nam tytułu ciekawych miejsc we Lwowie.

Po obiedzie udajemy się na wzgórze Kajzerwaldu. Tam zwiedzamy skansen wsi huculskiej. Mamy namiastkę Huculszczyzny. Panuje tam błogi spokój, jakbyśmy przenieśli się nagle w inny świat. Chaty są pełne uroku i prostoty. Malowniczo wyglądają rosnące przed nimi płomienne maki. Ma się wrażenie, że życie płynie tu leniwie, spokojnie, bez nadmiernego pośpiechu. Wystarczy sięgnąć przed chatą i pozwolić toczyć się czasowi. Wychodzimy z tego jakże odmiennego miejsca, chaty toną w blasku zachodzącego słońca.

Na koniec dnia pałaszujemy pyszne szaszłyki przygotowane przez Józia i Lusię. Po strawie cielesnej, strawa duchowa. Wszyscy wspólnie śpiewamy pieśni patriotyczne, legionowe i harcerskie. Wtóruje nam pełnym basem tato mojej koleżanki Małgosi.

I to już niestety koniec naszej wędrówki po Lwowie. W niedzielę udajemy się jeszcze na mszę świętą do kościoła św. Marii Magdaleny – to piękny barokowy kościół, stojący po królewsku na jednym ze wzgórz lwowskich. Po wyjściu słyszę za sobą głosy: *jeszcze nie jedźmy, zostaniemy jeszcze chwilę...*, tak trudno rozstać się z tym miastem.

Nasz 4-dniowy pobyt we Lwowie dobiegł końca. Jak to miasto pożegnać? Jego herbową dewizą „Leopolis semper fidelis” – „Lwów zawsze wierny” potwierdzają dzieje. Teraz my pozostaniemy mu wierni otaczając go pamięcią i będąc pod ogromnym wrażeniem jego i ludzi tam mieszkających. Dziękujemy za ich gorące serca, radość, humor, mimo że życie nie szczędzi im trosk i kłopotów. Dzięki Polakom tam mieszkającym jest zachowana polskość i pamięć przodków. To jest bardzo ważna rzecz. Ja chcę szczególnie podziękować w imieniu swoim i koleżanek drogiej Pani Stefie, u której mieszkaliśmy. Bóg Ci zapłać za gorące przyjęcie i otwartość serca. Nie zapomnimy długo tego wyjazdu, a wielu z nas jeszcze tam powróci, zabierając ze sobą kolejne osoby, by dzielić się z nimi tym czarownym miastem. Nie dziwię się moim teściom, że tak tęsknią za Lwowem. Tam zostało całe ich dzieciństwo, młodość, przyjaciele, tam zawarli związek małżeński, wychowywali dzieci i cały czas nasiąkali klimatem ich ukochanego miasta. Cóż się więc dziwić, że to właśnie jemu po-

cy w skład XI dywizji piechoty ze Stanisławowa.

Zgoła inaczej postępowali nacjonaliści. Już w sierpniu 1939 r. przyłączyli się do dywersantów, tzw. V kolumny, zaś podczas wojny ostrzeliwali polskich żołnierzy. Po kapitulacji naszych wojsk atakowali żołnierzy powracających z pola walki, mordując ich, celem zdobycia broni i wyładowania swojej nienawiści.

Tereny Polski Wschodniej,

zajęte przez Sowieców, stały się widowiskiem zmasowanych ataków na społeczeństwo polskie, zarówno ze strony NKWD, jak i nacjonalistów OUN. Każdy działał tu odrębnie, ci ostatni byli najbardziej agresywni na terenach wiejskich (wspomina o tym autor omawianego pamiętnika). Po kolejnym zajęciu przez armię niemiecką naszych terenów w 1941 r. nastąpiła pełna kolaboracja nacjonalistów ukraińskich z władzami niemieckimi, pod kątem wspólnej eksterminacji ludności polskiej. Czynnie uczestniczyła w tym utworzona policja ukraińska. OUN przekazywała do gestapo dokładnie opracowane, imienne spisy i adresy przedstawicieli najwyższych grup inteligencji polskiej. Nie minęło wiele dni od wejścia Niemców do Lwowa jak na Wzgórzach Wuleckich odbyła się egzekucja ponad 20 znanych uczonych (niektórych wraz z synami). Nie ma wątpliwości, kto „doradzał”, kogo w pierwszym rzędzie należy rozstrzelać. Dokonał tego niemiecko-ukraiński batalion „Nachtigall”. Kolejna egzekucja, tym razem ponad 200 przedstawicieli inteligencji stanisławowskiej, odbyła się niebawem w Czarnym Lesie pod Stanisławowem. Najliczniejszą grupę stanowili nauczyciele szkół wszystkich typów. Morderstwa te stanowiły niepowetowane straty i nie były odosobnione.

W tym eksterminacyjnym działaniu nadszedł rok 1943 – rok istotnych wydarzeń. Na froncie wschodnim zaznaczyła się coraz większa przewaga armii sowieckiej, po klęsce VI armii niemieckiej pod Stalingradem oraz klęsce w największej bitwie pancerniej – pod Kurskiem. Niemcy wycofywali się na „z góry upatrzone pozycje”. W tym też roku odbyła się w Teheranie konferencja trzech mocarstw. Oficjalnie dotyczyła dalszego przebiegu wojny, ale niedwuznacznie wskazywała, kto w przyszłości będzie

dominował na Wschodzie. Wydarzenia te nie rokowały – przynajmniej w najbliższych latach – odzyskania niepodległości przez Ukrainę. Na przekór tym faktom właśnie w tymże roku 1943 Ukraińcy rozbudowali organizacje niepodległościowe.

Na czele stała Ukraińska Główna Rada Wyzwoleńcza pod kierownictwem Stefana Bandery. Podlegał mu bezpośrednio Roman Szuchewycz (pseudonim Tarasa Czupryni), będący równocześnie naczelnym dowódcą Ukraińskiej Powstańczej Armii. Kolejnym szczeblem w tej hierarchii UPA był Główny Sztab Wojskowy, poniżej zaś – Wojskowe Sztaby Krajowe, oddzielne dla formacji UPA, rozlokowanych w poszczególnych naszych województwach. Były więc: UPA-północ – wołyńskie, UPA-wschód – podolskie, UPA-zachód – stanisławowskie i lwowskie oraz UPA – zakierzoński kraj, tj. Rzeszowszczyzna. Tym ostatnim rejonem dowodził Myrosław Onyszkewycz (pseud. Orest i in.). UPA dzieliła się: na kuriny (bataliony), sotnie (kompanie), czoty (plutony) i roje (drużyny). Ilość tych pododdziałów w każdym kurinie była różna. Polityczną stroną UPA kierował Krajowy Prowidnyk, któremu podlegali prowidnicy niższych szczebli. Nie sposób odgadnąć, na co liczyło wówczas kierownictwo tak dużej organizacji zbrojnej. A przecież znajdowali się tam także ludzie posiadający odpowiedni poziom znajomości problematyki politycznej i światowej. Jeżeli np. liczyli na wybuch III wojny światowej, to takie nadzieje rozwiła identyczna jak w Teheranie konferencja jałtańska trzech mocarstw w roku 1945, oddająca po wojnie Sowiecom dominację nad całą Europą wschodnią, co było równoznaczne z końcem marzeń o niepodległości Ukrainy. Tym bardziej niedorzeczna była ścisła kolaboracja z Niemcami, pomimo kilku wspólnych celów, a to walki z partyzantką sowiecką (a także z Gwardią Ludową) oraz z wielkimi zresztą oddziałami polskimi. Ciekawostką była ochotnicza służba w partyzantce sowieckiej wielu Ukraińców. Jednakże szczytem wiernopoddaństwa Niemcom było utworzenie w 1943 r. ukraińskiej dywizji SS Galizien, wchodzącej w skład korpusów wojskowo-policyjnych SS. Formacje te uznane były podczas wojny za najbardziej brutalne wobec jeńców i ludności cywilnej. Prawdopodobnie nacjonaliści ukraińscy próbowali zapomnieć, że

właśnie formacje SS w roku 1941 na zajętych terenach masowo eksterminowały ludność ukraińską. Ta dywizja ukraińska została rozbita przez Sowietów w bitwie pod Równem w 1944 roku. Resztki jej włączyły się wraz z banderowcami do ludobójstwa ludności polskiej, pozostali zaś uciekli z Niemcami na zachód.

Z kolei odpowiedzi wymaga, jak ustosunkowywali się Niemcy do UPA i w ogóle do nacjonalizmu ukraińskiego. Istnieją dowody na brak zaufania. Niewątpliwie Niemcy orientowali się, jak niski poziom umysłowy cechuje banderowców, czego m.in. przykładem były stosowane przez nich okrucieństwa przewyższające nawet metody stosowanych przez Gestapo. Nie pozwalano działać banderowcom w miejscach, gdzie stacjonowały jakieś jednostki niemieckie. Znane są też przypadki aresztowania banderowców, a nawet ich rozstrzeliwania. Fakt taki miał miejsce w Stanisławowie przy pl. Mickiewicza. Była to podobno kara za jakieś rabunki, nb. z reguły dokonywane przez banderowców w trakcie napadów.

Bezlitośnie mordowanej przez banderowców ludności polskiej usiłowały bronić, lecz tylko w granicach swoich możliwości, oddziały polskie AK i Samoobrony. Były one mniej liczebne niż UPA, nie miały takiego uzbrojenia i co równie ważne – nie posiadały prawie żadnego zaplecza, chociażby żywieniowego, skoro ludność polska była systematycznie obrabowywana, także przez ukraińskich sąsiadów. Większą formację stanowiła Wołyńska Dywizja AK. Określenie „dywizja” nie odpowiadało w pełni temu pojęciu wojskowemu, gdyż była znacznie mniej liczebna i bez typowego uzbrojenia.

Wszystkie te braki polskich jednostek

nadrabiane były bezgranicznym bohaterstwem i poświęceniem w obronie Rodaków. Przeciwno sobie miały one: UPA, Niemców, partyzantów sowieckich wraz z Gwardią Ludową. Czy w tej sytuacji były w stanie zapobiec masowemu morderstwu? Niezależnie od nierównych szans w starciach z wrogami oddziały polskie unikały ich w pobliżu siedzib polskich czy ukraińskich. Nie można jednak zaprzeczyć, że w kilku przypadkach na przestrzeni całego okresu wojny były ofiary wśród ludności ukraińskiej. Zaistniały one w wyniku nieudanych zasadzek ban-

zostali wierni na zawsze, zostawiając tam swoje serce.

Na pożegnaniu w Krakowie wszyscy uczestnicy byli wdzięczni za zorganizowanie tej wycieczki i zapewniali, że będą ją pamiętać do końca życia, a ja z łezką w oku i nadzieją jeszcze tylko dodam:

Może uda się, że powrócę znów i zobaczę miasto Lwów – kochane...

I na pewno nie tylko ja...

2006

ANETA ŻUK, ur. 1969 w Krakowie. Ukończyła studia na Wydz. Filozoficznym UJ w zakresie nauczania początkowego, a następnie studia podyplomowe na Wydz. Humanistycznym AP w Krakowie – kierunek bibliotekoznawstwo i informacja naukowa. Obecnie pracuje w Szkole Podstawowej w Przebieczanach oraz w gimnazjum w Sławkowicach.

Ewa Tracz

Zostanie w mej pamięci...

Anetko, dwukrotnie przeczytałam Twój tekst i bardzo się nim wzruszyłam. Odżyły we mnie wspomnienia tamtej uroczej i sentymentalnej wycieczki do Ojczyzny naszych praojców. Prosiłaś, żeby coś dodać, jakieś emocje, jakieś słowa... To niemożliwe, bo wszystko, co najpiękniejsze można było rzec o Lwowie, to Ty już zrobiłaś! Po mistrzowsku powiązałaś słowo z emocjami, malowniczo opisałaś piękno tego niezwyklego miasta. Przez moment czułam, jakby czas się cofnął i jakbym znowu znajdowała się w tym magicznym miejscu. Lwów... polski – ale nie nasz; piękny – lecz zaniedbany; z bogatą historią – ale jakże mało znana! Gdybym miała zupełnie szczerze podzielić się z kimś refleksjami związanymi z pobylem we Lwowie, to powiedziałabym, że do momentu wycieczki nie byłam świadoma, co (my – Polacy) utraciliśmy. Tak niewiele wiedziałam o tym mieście, o jego przeszłości, o rodakach tu zrodzonych. Nie



derowców, ukrytych w domach ukraińskich. Po ich wykryciu otwierali ogień do akowców, co doprowadzało do obustronnej wymiany ognia, i w rezultacie – do ofiar. Strona ukraińska wspomina obecnie podobno o kilkuset ofiarach. Jeżeli nawet liczba ta nie jest zawyżana, to i tak nie pozostaje w żadnej proporcji do ofiar po stronie polskiej. Poza tymi przypadkami oddziały polskie nie atakowały ludności ukraińskiej, chociażby i dlatego, by nie powodować późniejszej ich zemsty na Polakach.

Na stosunek tej ludności do Polaków decydujący wpływ miała wciąż agitacja nacjonalistów ukraińskich, ogarniętych opętającą wręcz nienawiścią do wszystkiego co polskie. Niejeden raz wtórowały temu i słowa niektórych duchownych z ambon cerkiewnych. Nacjonałiści szermowali hasłami, że *jeden Polak zabity to jeden metr niepodległości Ukrainy* oraz że *każde dziecko polskie to gadzina, którą trzeba ubić...* Nic dziwnego, że takie hasła ściśle realizowali banderowcy, pozbawieni podstawowych zasad człowieczeństwa. Z tych przyczyn i oni sami narażali się ludności ukraińskiej, gdy bez zgody konfiskowali zbyt wiele żywności, żywy inwentarz, lub też uzupełniali swoje szeregi tamtejszymi ludźmi.

Postępowanie banderowców szczególnie okrutne było w odniesieniu do małżeństw mieszanych, tj. polsko-ukraińskich. Banderowcy sami mordowali współmałżonka narodowości polskiej albo kazali to uczynić współmałżonkowi narodowości ukraińskiej, grożąc, że w przeciwnym przypadku zamor-

dują ich dzieci względnie innych członków najbliższej rodziny – Ukraińców. Po takich „pouczających zabiegach” banderowców wrogami ich stawały się osoby poszkodowane, automatycznie zmieniając swój stosunek do Polaków. Naturalnie nie stanowiło to czegoś wyjątkowego. Bywały też jednak przypadki, że ktoś z mieszkańców ukraińskich po odejściu banderowców zabijał odkrytego gdzieś Polaka, nawet dziecko.

Wśród nacjonalistów ukraińskich nie było jednolitych poglądów w sprawach polskich. Jedni akceptowali brutalność i terroryzm, inni zaś – zwłaszcza zamieszkali w aglomeracjach miejskich – niejednokrotnie byli bardziej powściągliwi. Jeszcze inni, nie bacząc na osobiste zagrożenia, ostrzegali np. przed aresztowaniem przez policję ukraińską lub jeszcze przed czymś gorszym, a nawet ukrywali osoby zagrożone. Takie przypadki nie należały do wyjątków. O tym z wdzięcznością należy pamiętać. OUN potrafiła być bezlitosna także dla własnych obywateli, uznanych za „zdrajców”.

Tymczasem niekorzystna stawała się dla nacjonalistów sytuacja na froncie wschodnim. Przesuwał się on już do granic dzisiejszej Polski. Zapewne obawa przed spotkaniem z armią sowiecką spowodowała około połowy 1944 r. przemieszczenie sporych sił UPA na Rzeszowszczyznę – 7 kurinów, w tym 17 sotni, łącznie ponad 2500 ludzi, z tendencją do dalszego zwiększania liczebności poprzez zasilanie szeregów ludnością miejscową (Ukraińcami i Łemkami). Zgodnie z instrukcją UPA, ludność ukraińska miała obowiązek udzielania banderowcom wszechstronnej pomocy w zakresie wyżej już wspomnianym. Zatem i w tych rejonach powtarzał się identyczny scenariusz, z częścią jeszcze zdarzającymi się osobistymi tragediami małżeństw mieszanych.

Banderowcy mieli na tej ziemi najkorzystniejsze – w porównaniu z dotychczasowymi – warunki do realizacji ostatniego etapu kilkuletniego ludobójstwa. Górski, zalesiony teren, zwłaszcza Bieszczad, z utrudnionym nieraz dostępowiem szczególnie ciężkiego sprzętu wojskowego, umożliwiał banderowcom bezpieczne działania, a w razie potrzeby krycie się w górach i wśród swoich rodaków. Przewidując interwencje wojska, wykopali podziemne kryjówki i bunkry, minując tereny w najbardziej nieprzewidywal-

nych miejscach. Wijące się wśród wzgórz drogi sprzyjały zasadzkom, z których chętnie korzystano. Bezkarność tych band trwała ponad dwa lata. Nieliczne posterunki milicji i jednostki wojska raczej musiały same się bronić, aniżeli bronić ludności. Dziwna była zaiste bierna postawa władz w ciągu całego tego okresu. Krążyły pogłoski o rzekomej chęci Kremla przesunięcia granicy ZSRR właśnie na te tereny.

Wreszcie coś się zmieniło: w kwietniu 1947 r. śmierć pod Baligrodem gen. Świerczewskiego pod kulami sotni krwawego Hrynia zainicjowała ogromne działania wojska i organów bezpieki pod kryptonimem akcji „Wisła”. Wkrótce jednak okazało się, że nawet te siły wojska nie bardzo mogą sobie poradzić z likwidacją band, które – co najważniejsze – miały doskonale zorganizowaną współpracę z miejscową ludnością. Stąd więc malały szanse pełnego zakończenia walk. Tym samym byłyby kolejne ofiary wśród ludności, nie tylko polskiej, gdyż w leśnym terenie trudno było odróżnić banderowców od cywilów, a banderowcy chętnie – jak zawsze – lubili kryć się wśród nich.

Jedynym słusznym, bezspornym rozwiązaniem, gwarantującym uniknięcie dalszych strat wśród ludności i wojska, okazało się przesiedlenie ludności, co pozbawiło banderowców możliwości prowadzenia nadal walk z powodu braku zaopatrzenia: żywnościowego, kwaterunkowego i kadrowego. Nie wszyscy przesiedleńcy okazywali niezadowolenie. Wielu z nich wołało tym sposobem zerwać kontakty z banderowcami, którzy brutalnie egzekwowali własne potrzeby. Brak możliwości dalszego działania zmusił banderowców do ucieczki, i to w różnych kierunkach. Ci, którzy przedostali się na Wschód, na ogół wpadali w ręce NKWD, ci zaś, którzy chcieli pozostać w kraju, w większości zostali aresztowani. Niektórym udało się uciec za granicę, na Zachód, i tam, z wcześniejszymi jeszcze uciekinierami (którzy ewakuowali się z Niemcami) osiedlili się później w Anglii i Kanadzie. U nas w kraju pozostały jeszcze punkty kontaktowe OUN-UPA, lecz i te po jakimś czasie zlikwidowały organa bezpieczeństwa. Tak oto przedstawiała się rzekoma walka UPA o niepodległość – bo ani z Niemcami, ani z Sowietami (nie licząc utarczek z partyzantką sowiecką).

jest to zapewne skutek *czwórki* z historii, ale czasów, w których przyszło nam zdobywać gruntowną wiedzę o Polsce, o jej historii. W tamtych trudnych dla Ojczyzny czasach mało było odważnych nauczycieli, którzy mówili o tym wprost. W domu rodzinnym też się wiele nie rozmawiało o ziemiach utraczonych. Być może był to temat tabu, a może ja byłam mało uważna i mało dociekliwa. Moja niewiedza o Lwowie była na tyle duża, że do dziś wstyd mi za samą siebie. Jednakże wdzięczna jestem losowi (i oczywiście Tobie też, Anetko), że mogłam spacerować polskimi uliczkami po mieście, które choć terytorialnie nie należy dziś do Polski, to zawsze w sercach i umysłach będzie swojskie, bliskie, po prostu nasze. Cieszę się, że dzisiejsza młodzież (a więc i moje dzieci) ma pełny dostęp do źródeł historycznych, wobec tego bogatszą wiedzę o losach Ojczyzny. Wolność słowa, brak cenzury, jawność faktów, bezpośredniość – to istotne elementy, umożliwiające obywatelom pełną świadomość narodową. Gdy wspominam Lwów (bez przesady) ogarnia mnie żal za rdzennymi ziemiemi, wspaniałą architekturą, zabawkami, nawet za „skrawkiem” nieba, które choć też polskie, musiało pozostać poza granicą Ojczyzny. Gdzieś w głębi serca czuję smutek, że to co rodzime, bezpowrotnie zostało nam odebrane. Lwów, miasto „osierocone”, oderwane niczym dziecko od matki. Tak czuję i tak myślę o tym pięknym zakątku. Z sentymentem wspominam zaułki, kawiarenki, alejki, wybrukowane uliczki, bo one kojarzą mi się z ukochanym Krakowem (bliźniaczą siostrą Lwowa). Kto choć raz ujrzał obydwa miasta, musi przyznać, jak wiele mają wspólnego, i potwierdzić fakt, że należą do tej samej „matki”. Dziś lepiej rozumiem słowa popularnej piosenki: ... *bo gdybym się jeszcze urodzić miał znów, to tylko we Lwowie* i przyznaję, że i ja ponownie mogłabym się tu narodzić, ale tylko wówczas, gdyby nad miastem powiewał biało-czerwony sztandar, a obok charakterystycznego dla tego miejsca lwa rozpościerał swe skrzydła polski orzeł. Lwów ma dla mnie jeszcze jeden wymiar... baśniowy. Mam wrażenie, że czas się tam zatrzymał lub wolniej płynie. Otulony mgłą, wydawał się przy pierwszym spotkaniu jakby uśpiony, tajemniczy, zakłęty. Magia tego miejsca jest niezwykła. Nie trzeba „wrzucać pianażka” (tak jak do solankowego jeziora

Nie przypadkiem starałem się

dość dokładnie przedstawić ostatnie działania UPA i akcję „Wisła” oraz przyczyny przesiedlenia ludności ukraińskiej. Obecnie bowiem potępia się oficjalnie tę akcję, a szczególnie przesiedlenia. Mówi się więc o samym fakcie przesiedlenia, z pominięciem istotnych jego przyczyn. Nadmieniam, że wszystkie informacje dotyczące omawianej akcji uzyskałem – po latach – od przedwojennego kapitana Wojska Polskiego, ponownie zmobilizowanego i uczestniczącego w tejże akcji. Później wraz z innymi oficerami aresztowano go pod zarzutami: „agenta imperializmu” i „wroga socjalizmu”. Aresztowanie i zarzuty dowodzą bezspornie jego wiarygodności i patriotyzmu, a był dobrym moim znajomym.

W kontekście minionych lat i likwidacji – na terenie Polski – upornej UPA pamięć o jej ofiarach i należy im hołd winny mieć właściwy, trwały charakter. Tam daleko, na utraconych ziemiach Rzeczypospolitej, pozostały na zawsze tysiące okaleczonych zwłok naszych rodaków. Zapewne nieznanym jest już dzisiaj wiele mogił, często zbiorowych – dzieci, kobiet i mężczyzn. Nie znamy też na ogół nazwisk, ale ich dusze proszą o pamięć, bo zginęli za Polskę.

A jak z tą pamięcią jest obecnie? Po wojenne pokolenia, zwłaszcza najmłodsze, przeważnie koncentrują swoje zainteresowania na teraźniejszości. Wydarzenia wojenne oraz ten jeden z najtragiczniejszych rozdziałów naszej historii – ludobójstwo, wspomina się raczej okazjonalnie. Dokładnie opracowane wydawnictwa i wygłaszane prelekcje stanowią zarówno zachętę, jak i przypomnienie patriotycznego obowiązku przybliżenia tragicznych faktów. Celowe byłoby też wizualne uczczenie ofiar, np. nazwami ulic czy placów, nie mówiąc już o pomnikach. Przemawia za tym jeszcze jeden argument, a to honorowanie UPA na Ukrainie, bo walczyła o niepodległość. Jeżeli więc gdzieś tak wyróżnia się katów – tym bardziej należy czcić ich ofiary.

Kierujemy się prawdą, że naród, który zapomina o swojej chlubnej i czasem tragicznej przeszłości – nie jest wart przyszości! A naród polski ma wiele do zapamiętania...

Notka biograficzna autora w CL 1/2000

w Wieliczce lub do Morskiego Oka), aby ponownie tu wrócić. Bez groszowego datku samemu chce się powtórnie odwiedzić ten urokliwy zakątek Ojczyzny.

Wspominając Lwów, nie sposób pominąć jego mieszkańców, a zwłaszcza ludzi, którzy nas gościli. Prości, szczerzy, dobroduszni, niezwykle otwarci, po prostu – zwyczajni. Myśląc o nich odnoszę wrażenie, że nie zostali jeszcze skażeni przypadłościami współczesnego świata, zwłaszcza nadmierną konsumpcją, próżnością, wygodnictwem. Na pewno mają swoje małe grzeszki (bo kto ich nie ma), ale i tak w tej małej dziedzinie nam nie dorównują. Szczęść im Boże!

Czego życzyć temu miastu? *Niech czas płynie dalej swoim tokiem, miasto niech zachwyca swym urokiem, siły natury niech nie niszczą kamieni, na których wyrta jest prawda i historia tego grodu, niech na lwowskie niebo zabłąka się czasem polski ptak i rodzimie zaświergocze, niech lwowskie piosenki sławią piękno tego miejsca, niech nigdy nie zabraknie ludzi dobrej woli i czystych serc, którzy podtrzymywali będą pamięć o Lwowie i jego bohaterach.*

Polski Lwów na zawsze zostanie w mej pamięci. Wróć tu kiedyś.

EWA TRACZ, ur. 1965 w Wieliczce. Ukończyła studia na Wydz. Filozoficznym UJ w zakresie nauczania początkowego, a także na UJ studia podyplomowe – kierunek edukacja i reforma oraz pedagogika specjalna. Od 1986 pracuje w Szkole Podstawowej w Przebieczanach.

Z ostatniej chwili

Ze Lwowa nadeszła zaskakująca wiadomość o wstrzymaniu wydawnictwa „Gazety Lwowskiej” (ostatni numer 12/07 z 30 VI). Na to miejsce wchodzi dwutygodnik „Kurier Galicyjski”, który stanowił dotąd (od X 2005, pierwotnie pod tytułem „Z Grodu Revery”) wkładkę do GL, przygotowywaną w Stanisławowie. Redaktorem naczelnym jest Marcin Romer, zaś zastępcą Irena Masalska, dotychczasowa redaktorka naczelna „Gazety Lwowskiej”. Ta druga nominacja potwierdzałaby dobitnie upadek „Gazety Lwowskiej”.

Bliższych informacji o przyczynach „rewolucji” nie mamy, liczymy jednak, że wkrótce – oficjalnie lub nieoficjalnie – napłyną.

Maciej Dęboróg-Bylczyński

ŻYCIE MUZYCZNE GALICYJSKIEGO

Dzieje szkolnictwa muzycznego we Lwowie nierozzerwalnie związane są z dziejami kultury muzycznej tego miasta. Już pod koniec XVIII wieku istniała i funkcjonowała tzw. Akademia Muzyczna J. Elsnera, która łączyła muzyków zawodowych z amatorami. Twór ten był czymś na kształt stowarzyszenia filharmonicznego. Koncerty amatorów i przyjezdnych półprofesjonalistów inspirowane były też za sprawą miłośnika muzyki – F.X.W. Mozarta (syna Wolfganga Amadeusza Mozarta).

Starania tego ostatniego zaowocowały w 1838 roku zatwierdzeniem statutu Towarzystwa Muzycznego, które od następnego roku (1839) przyjęło nazwę Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego (zwanego też w tych latach Towarzystwem Wspierania Muzyki w Galicji – Das Verein zur Bevorderung der Tonkunst in Galizien). Prężna działalność towarzystwa od samych początków jego ukonstytuowania się zainicjowała powstanie podobnych towarzystw na terenie Galicji i Bukowiny (np. w Brodach – ok. 1858, Czerniowcach – 1862, Złoczowie – 1869, Towarzystwo Przyjaciół Muzyki w Tarnopolu – 1877, i. in.).

W samym Lwowie w okresie autonomicznym notuje się ponadto ok. 40 stowarzyszeń śpiewaczych i chórów. W 1854 roku rozpoczęto działalność dydaktyczną przy GTM-ie pod nazwą konserwatorium. Początkowo był to zakład niewielki. Jego profesorami byli: Jan Ruckgaber (teoria muzyki), Henrietta de La Roche (śpiew solowy), Wojciech Smoszyński (śpiew solowy i chóralny), August Tomasz Braun (skrzypce), Johann Josef Woltman (wiolonczela), Josef Jeficka (kontrabas) i Carl Brunhöher (instrumenty dęte). W 1854 roku konserwatorium liczyło 43 uczniów. Rozwój uczelni możliwy był dzięki wybitnym muzykom, jakich we Lwowie nigdy nie brakowało. Jednym z nich był Karol Mikuli (1819–1897) – pianista, kompozytor, uczeń Fryderyka Chopina. Mikuli zaawiadywał uczelnią do 1887 roku, kiedy to

założył własną szkołę muzyczną. Na stanowisku dyrektora zastąpił go kolejno Rudolf Schwarz i Mieczysław Sołtys.

Szacuje się, że w latach 1839–1918 istniało we Lwowie ok. 150 szkół muzycznych różnego typu i o różnym poziomie i czasie trwania. Wiele bowiem z nich istniało zaledwie rok, czasem dwa lata. Ponadto w 1911 roku utworzono lwowski oddział Austriackiego Związku Muzyczno-Pedagogicznego, który zrzeszał wszystkich nauczycieli muzyki w stolicy Galicji. Przy związku funkcjonowała biblioteka, bogato zaopatrzona z zbioru nutowe, pozycje z zakresu harmonii, historii muzyki, kontrapunktu czy kształcenia słuchu. Doskonale prezentowała się również czytelnia związkowa, która zatrudniała fachową siłę w postaci przeszkolonego bibliotekarza.

Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne powołało też (we wrześniu 1910 roku) Komitet Obchodu Szopenowskiego, na którego czele stanął dr Aleksander Mniszek-Tchorznicki. W ramach lwowskich obchodów setnej rocznicy urodzin Fryderyka Chopina zorganizowano szereg odczytów, koncertów i spotkań naukowych, których pokłosiem było obszernie sprawozdanie w postaci Księgi Pamiątkowej przedłożonej Komitetowi Obchodu, wydanej w 1912 roku.

W drugim ważnym ośrodku kulturalnym Galicji – Krakowie – ton życiu muzycznemu nadawało Towarzystwo Operowe i założone w 1866 roku Towarzystwo „Muza”. Rok później towarzystwo otworzyło dla swoich członków szkołę muzyczną, w tym czasie liczącą ok. 60 uczniów. W latach 1899–1908 działało jeszcze w Krakowie (powstałe z inicjatywy społecznej) towarzystwo muzyczne „Harmonia”. Było ono skupione na organizowaniu cywilnej orkiestry dętej celem uświetniania narodowych imprez odbywających się w mieście.

Natomiast jesienią 1918 roku powołano Krakowskie Towarzystwo Operowe, a pod jego opieką amatorski chór mieszany i bibliotekę.

Istotną rolę w obrazie artystycznym Lwowa pełniła prasa. Na przełomie XIX i XX wieku wychodziło w stolicy prowincji galicyjskiej kilkadziesiąt tytułów prasy. Żywot wielu z nich był bardzo krótki. Niektóre (jak np. „Życie – dwutygodnik polityczny, społeczny i ekonomiczny”, wychodzący w latach 1893–1894 pod redakcją Artura Cybańskiego-

go i Edwarda Webersfelda) zaznaczyły swą obecność na rynku prasowym, by po roku, dwóch zaniechać działalności.

Wśród dzienników lwowskich największy zasięg czytelniczy miała istniejąca od 1811 roku „Gazeta Lwowska”. Do roku 1913 redaktorem naczelnym dziennika był Adam Krechowicki. Pełnił on również funkcję cenzora przedstawień teatralnych przy urzędzie Namiestnictwa. Parał się również krytyką, pomieszczając na łamach swej gazety sprawozdania z lwowskich premier teatralnych. „Gazeta Lwowska” publikowała też liczne informacje o wydarzeniach muzycznych w ośrodkach zachodniej Europy i Rosji. W latach 1888–1895 (oraz w 1898) recenzentem muzycznym „Gazety Lwowskiej” był absolwent lwowskiego konserwatorium w klasie ucznia Fryderyka Chopina – Karola Mikulego – Stanisław Niewiadomski. Warto dodać, że od 1887 roku piastował on stanowisko dyrektora opery lwowskiej i lwowskiego konserwatorium. Przez jego klasę kompozycji przewinęło się wielu wybitnych muzyków (m.in. Henryk Jarecki i Zdzisław Jachimecki). Nie poprzestając na niezwykle cennych merytorycznie recenzjach muzycznych w „Gazecie Lwowskiej”, publikował także w „Echu Muzycznym, Teatralnym i Artystycznym” czy „Słowie Polskim”. O popularności „Gazety Lwowskiej” w środowisku inteligencji lwowskiej niech zaświadczą jej nakłady (od 910 egzemplarzy w 1892 roku – do 3500 egz. w roku 1913). Po ustąpieniu Niewiadomskiego wysoki poziom krytyki muzycznej utrzymywali m.in. Alojzy Bruckman, Seweryn Berson, Adolf Chyliński czy Dante Baranowski.

W latach 1890–1914 wychodził ponadto miesięczny dodatek kulturalny do „Gazety Lwowskiej” – „Przewodnik Naukowy i Literacki”. Poziom „Przewodnika” kształtowało liczne grono profesorów Uniwersytetu, pomieszczając tu swoje szkice z zakresu historii literatury, teatru i muzyki. Wśród nich byli: Kazimierz Twardowski, Wojciech Dzieżduszycki, Zdzisław Jachimecki czy Ferdynand Hoesick.

Od 1895 roku „Gazeta” musiała konkurować z nową gazetą codzienną – „Słowem Polskim”. Jego założycielem był Tadeusz Romanowicz – działacz społeczny i polityczny. Ale rangę najpotężniejszego dziennika Lwowa uczynił ze „Słowa Polskiego” Stanisław

Szczepanowski. Do 1902 roku gazeta używała roczne nakłady dochodzące do 10 000 egz. Od 1897 r. wzmocniła swoją ofertę literacką o nowy dział: „Tygodnik artystyczno-literacki”. Jego redaktorem przez rok (1902–1903) był profesor UJK i poeta – Jan Kasprowicz. „Słowo”, podobnie jak i „Gazeta” dbało o wysoki poziom literacko-artystyczny. Redaktorzy prowadzący dział muzyczny nie ograniczali się do serwisów informacyjnych, publikując niejednokrotnie obszerne krytyczne recenzje z przedstawień operowych i koncertów.

Jednym z czołowych redaktorów „Kuriera Lwowskiego” był polityk i galicyjski intelektualista – Bolesław Wysłouch. Pomimo konkurencji dwóch (wspomnianych wcześniej) gazet codziennych udało się mu rozszerzyć profil „Kuriera”, czyniąc z niego niemal pismo społeczno-kulturalne, osiągające 11 000 egzemplarzy (w 1909 roku). Sprawozdania z lwowskiego życia muzycznego pisywał do „Kuriera” Stanisław Meliński (w latach 1885–1910). Obejmowały one działalność opery, operetki i Towarzystwa Muzycznego we Lwowie czy towarzystw śpiewaczych.

Także „Kurier” posiadał swój literacki dodatek wychodzący pt. „Tydzień”, a od 1909 roku – „Na ziemi naszej”. Na ich łamach poruszano twórczość kompozytorów europejskich, recenzowano lwowskie wydarzenia operowe i operetkowe. Od 1909 roku (po przystąpieniu do współpracy redakcyjnej Ludomira Różyckiego) poświęcano wiele miejsca modernizmowi w muzyce. Poza lwowskimi artykułami publicystycznymi Różycki zamieszczał w „Kurierze” liczne rozprawy cechujące się wysokim poziomem i niekwestionowaną znajomością tematu.

Wartość kulturotwórcza galicyjskich towarzystw artystycznych (choćby Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego, towarzystw śpiewaczych itp.) jest niekwestionowana. Istnienie zaś przy tych społecznych instytucjach czytelni i bibliotek wyraźnie wspierało ich działalność. Ta – wraz z inicjatywą wydawniczą i księgarską, organizacją życia kulturalnego, krytyką muzyczną i teatralną pomieszczaną w lokalnej prasie specjalistycznej i codziennej, odczytami czy pogadankami – konsolidowała bogate i różnorodne życie artystyczne galicyjskiej stoli-

dokończenie na str. 28

Z Bogusławem Kołczem

dyrektorem Akademickiego Liceum i Gimnazjum im. Króla Bolesława Chrobrego w Nowym Sączu, rozmawia Janusz M. Paluch

Redakcji naszego kwartalnika Nowy Sącz zawsze kojarzy się z postacią dr. Jerzego Masiora. Jego nie ma już wśród nas. Pamięć o nim jest jednak kultywowana m.in. w szkole kierowanej przez Pana. To bardzo chwalebne, ale dlaczego właśnie ta szkoła?

Dr med. Jerzy Masior związany był z naszą szkołą – najpierw IV Liceum Ogólnokształcącym, a po przekształceniu Akademickim Liceum i Gimnazjum im. Króla Bolesława Chrobrego w Nowym Sączu – od początku istnienia placówki. Znany był w naszym mieście jako człowiek o zainteresowaniach iście renesansowych – lekarz, społecznik, poeta, malarz, reżyser teatralny, harcerz, żeglarz, animator kultury. Przy rozlicznych funkcjach społecznych był także założycielem sądeckiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, niestrudzonym i charyzmatycznym piewą miłości do swojej utraconej małej ojczyzny. Z ogromną przyjemnością i zaangażowaniem spotykał się z młodzieżą, czytał wiersze, śpiewał piosenki, uczył ich wykonywania, godzinami snuł opowieści i zarażał pasją o nieznanym nam i urastającym do rangi mitu Lwowie – mieście zakazanym dotąd w świadomości powojennych pokoleń Polaków. Nieklamany szacunek do Pana Doktora, serdeczna więź, a z czasem prawdziwa przyjaźń, jaka połączyła nas z sobą, zaowocowały koncertami poezji i piosenki lwowskiej (Jerzy Masior sam pisał teksty i komponował muzykę) w naszej szkole, a wreszcie pierwszym, mającym wówczas – w 1994 roku – posmak egzotyki, dość ryzykownym i karkołomnym dla młodych ludzi – wyjazdem do Lwowa. Od 1994 roku tych wypraw naszych uczniów



było ponad dwadzieścia. Najpierw z Doktorzem, potem, gdy już stan zdrowia mu nie pozwalał, bez niego – ale w stałym kontakcie, wreszcie od 2004 roku już tylko Jego śladami i ku Jego czci.

Proszę nam opowiedzieć o formach krzewienia wiedzy o Kresach.

Jako polonista znalazłem w Doktorze wspaniałego nauczyciela, mistrza i druha. Wychowany na studiach uniwersyteckich w stanie wojennym poznawałem literaturę tzw. drugiego obiegu, odsłaniającą prawdę o ziemiach utraconych i zabranych, o martyrologii Polaków na Kresach, o micie Kresów, utrwalonym od czasów romantyzmu w kulturalnej i patriotycznej świadomości Polaków. W swojej pracy pedagogicznej od końca studiów szukałem najlepszych sposobów oddziaływania na emocje coraz bardziej biernej i bezideowej młodzieży. Doszedłem do wniosku, że jednym ze sposobów może być odsłanianie tajemnic historii i kultury, przemierzanie literackich szlaków w dziewiczych niemalże i nieodwiedzanych dotychczas miejscach, prowadzenie lekcji w aurze ukazywania pożytków z odkrywania fascynującej przeszłości i zaczytywania się w zakazanych przez system komunistyczny tekstach. Stąd też – najpierw sam, potem z młodzieżą, przecierałem od połowy lat dziewięćdziesiątych szlaki litewskie, białoruskie i ukraińskie. Dotarliśmy m.in. do Wilna, Grodna, Katynia, nad Świteż i Niemien, musieliśmy stanąć również nad Ikwą w Krzemieńcu, w Rudkach Fredrowskich i w samym Lwowie. Byliśmy tam, gdzie nie

mogli lub bali się dotrzeć inni, stawaliśmy się robinsonami zapomnianej polskiej kultury. Jeździliśmy do Lwowa w okropnych warunkach, wśród paczek z żywnością i książkami dla potrzebujących rodaków, czekaliśmy godzinami na granicy, drżeliśmy na widok kolejnego zatrzymującego nas milicjanta czy równie skorumpowanego, próbującego dorobić się na Polakach urzędnika. Spaliśmy w komunistycznych, pozbawionych jakichkolwiek standardów lwowskich hotelach, jedliśmy w ahigienicznych warunkach, obserwowaliśmy biedę na ulicach, płakaliśmy na zmaltretowanym Cmentarzu Orłąt i wśród potrzaskanych polskich mogił na Łyczakowie. I właśnie ten płacz – to wzruszenie stało się naszym najcenniejszym darem od Lwowa i Kresów. Wzruszenie, którego nie da się przeżyć w Paryżu, Rzymie, Londynie czy Nowym Jorku. Tam też jeździmy – dzisiaj, w innych czasach. Lecz Lwów jest jeden na świecie. Każda wyprawa do Lwowa przygotowywana była przez Doktora. Przychodził do uczestników wycieczki – zawoziliśmy na Kresy zawsze pierwszoklasistów, rozpoczynających naukę w liceum – stawał przed mapą przedwojennej Polski i rozpoczynał fascynującą lekcję historii. Nakładały się na nią wspomnienia z dzieciństwa, opowieści lwowskiego harcerza, żołnierza AK, doświadczenia powojenne, dokumenty związane z prześladowaniami Polaków na Wołyniu, losem polskich pamiątek kultury we Lwowie, walką z polskością na Kresach. Zdjęcia i makietę Cmentarza Obrońców Lwowa wywoływały wstrząs w młodych słuchaczach. Budziły nieprzepatą chęć złożenia holdu Orłętom,

tym, którzy umierali za Lwów i tym, którzy po wojnie cierpieli we Lwowie. Zaczytywaliśmy się w literaturze kresowej, chłoniliśmy pierwsze przewodniki, książki Barbary Wachowicz i Jerzego Janickiego, studiowaliśmy życiorysy Fredry, Konopnickiej, Zapolskiej, Ordon, uczyliśmy się, kto to był Hemar, a kto Zbierchowski. Dowiadaliśmy się o lwowskich – zakazanych w szkole dotychczas – korzeniach i wierszach Herberta. Czekaliśmy na Lwów. I tam właśnie – we Lwowie – z Doktorem przeżyaliśmy katharsis. Stawaliśmy przy krzyżu Jurka Bitschana, wchodziliśmy boczną, zastoniętą przed Polakami bramą na zrujnowane i odkrywane mogiły Orłąt, wyrzucaliśmy chwasty, stawiliśmy przed tragicznie wymownymi oczodołami katakumb, oglądaliśmy fotografie sprzed władzy sowieckiej. Cmentarz Orłąt od pierwszych wypraw był dla nas świętością. Porażał ogromem zniszczeń, ale wzbudzał respekt i poczucie polskiej dumy. Spontanicznie zostawialiśmy dary na jego odbudowę i z radością corocznie widzieliśmy efekty tej odbudowy. Przed Łukiem Chwały pokazywaliśmy drogę, którą wjeżdżały czołgi sowieckie, by zniszczyć pamięć o Polsce, wskazywaliśmy miejsca po lwach z polskimi tarczami, szukaliśmy wygnanych lwów na rogatkach miasta, szukaliśmy wodów polskośći Lwowa na jego domach i drogach. Wracaliśmy zbudowani. Tych wrażeń nie dawała uczniom i do dziś nie daje żadna inna zagraniczna wyprawa.

Organizowane przez Pana wyjazdy mają również charakter niesienia Polakom na Kresach pomocy. Jakiej pomocy tam jeszcze potrzebują?

Od 1994 roku, kiedy zaczęliśmy wyjeżdżać do Lwowa, charakter naszej pomocy ulega oczywiście zmianom. Początkowo w autobusie brakowało miejsca dla uczniów, bo wszędzie, aż pod dach wstawialiśmy paczki z odzieżą, środkami czystości, książkami. Wieźliśmy upominki świąteczne dla Polaków w Katedrze, zostawialiśmy dary w parafiach w Żydaczowie i Chodorowie, odwiedzaliśmy z paczkami



Rudki, Krzemieniec, Tar-nopol. Odwiedzaliśmy polskie szkoły we Lwowie i przekazywaliśmy potrzebne rzeczy dla uczniów i nauczycieli. Potem, na kolejne wyprawy, zbieraliśmy pieniądze przekazywane przez nas środowiskom polskim i Komitetowi Od-budowy Cmentarza. Do tych darów i takiej pomo-cy nie trzeba było nikogo z uczestników naszych wypraw namawiać. Zda-rzało się, że po powrocie z wycieczki starali się sami organizować dary dla Polaków na Kresach. Chcieli pomóc tym, którzy żyją w znacznie gorszych od nich samych warunkach. Czuli, że to jest ich obowiązek i radość. Dzisiaj takim obo-wiązkiem dla nas wszystkich stało się oca-lenie polskich kościołów, zabytków kultury, pamiątek w Ossolineum, Galerii Obrazów. I wyciąganie wniosków z lekcji udzielanej naszym pokoleniom przez pokolenia po-przedników, poległych za Lwów.

Jak sądzę współpracujecie z tamtejszymi szkołami polskimi. Czy oprócz zorganizowanej wymiany młodzieży po tej współpracy zostanie jakiś ślad?

Od kilku lat pomoc jest bardziej ogra-niczona. Kiedyś organizowaliśmy wspólne lwowskie śpiewanie, wymiany międzyszkol-ne, organizowaliśmy wyjazdy nauczycieli. W zmieniającej się od kilku lat sytuacji lwowskie szkoły mają sporo podręczników i ksią-żek, w mniejszym stopniu oczekują też pol-skiej pomocy. Grupy uczniów z dzisiejszej Ukrainy zapraszane są stale do Polski. Spo-ro grup ze Lwowa i Kresów przyjeżdża do Nowego Sącza i na Ziemię Sądecką. Młod-zież ze szkół im. Marii Konopnickiej i św. Marii Magdaleny odwiedza także nasze mi-asto, goszczona jest w sądeckiej szkole im. Orłąt Lwowskich, przychodzi do naszego li-ceum. Młodzieży i ich rodzicom ze Lwowa żyje się dziś lepiej, nadal jednak ciężko żyją rodacy na Wołyniu i w wioskach pod Lwo-wem, nadal pomocy potrzebuje Cmentarz Łyczakowski, Cmentarz Janowski (kwate-ra Obrońców Lwowa), Cmentarz Orłąt. Ale



Młodzież z Nowego Sącza przy grobie Salomei Słowackiej-Becu na cmenta-rzu krzemienieckim. Na płycie nagrobka siedzi dr Jerzy Masior, w głębi czyta wiersz Wieszcza dyr. Bogusław Kołcz. Obok stoi p. Jadwiga Guśławska

najważniejsza jest dziś pamięć. I szacunek dla przeszłości. Ktoś, kto wejdzie w mury Akademickiego Liceum i Gimnazjum w No-wym Sączu, czuje się jak we Lwowie. Kory-tarze szkolne, sale lekcyjne pełne są gablot, plansz, obrazów dokumentujących kilkana-ście wypraw i kilkanaście lat naszych zwią-zków z tym miastem. Gromadzimy pamiątki, albumy, nagrania, przygotowujemy projek-ty, piszemy artykuły, uczestniczymy w au-dycjach radiowych i reportażach telewizyj-nych. Od 2002 roku odniesienia do patrio-tyzmu wśród Polaków na Kresach znajdują się w podręczniku licealnym *Barwy epok (Li-teratura i kultura*, wyd. przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne w Warszawie), któ-rego jestem współautorem. W 2006 roku po-wstała szkolna Izba Lwowska im. Doktora Jerzego Masióra, małe multimedialne mu-zeum wiernego Miasta i Kresów. Muzeum otwarte dla wszystkich i stale się rozrasta-jące o kolejne ekspozyty i pomieszczenia. W październiku 2007 kolejna grupa młod-zieży naszej szkoły wyjedzie do Lwowa. Uzyskaliśmy pomoc z rządowego progra-mu „Patriotyzm jutra” i nakręcimy materiał filmowy dla telewizji, związany z edukacją patriotyczną na Kresach. Miejsc dla chęt-nych już dzisiaj brakuje.

Kiedy rozmawialiśmy przed kilkoma dnia-mi, powiedział Pan, że właściwie tylko na Kresach są takie miejsca, w których można młodych ludzi uczyć patriotyzmu... Czy moż-na to rozumieć w ten sposób, że na naszej młodzieży to, co u nas – królewskie groby na Wawelu, mogiły powstańców warszawskich

na Powązkach, miejsca bitewne – nie robią już wrażenia?

Po pierwszej wyprawie do Lwowa jeden z uczniów napisał: „Tam polskość krzyczy ze ścian”. Po innej drugi uczeń stwierdził, że po przekroczeniu powrotnej granicy, ucałował polską ziemię z radości, że wrócił... Lwów wywołuje nieznaną gdzie indziej uczucia. Młodzież prowadzona przez smętnych przewodników mija znudzona kolejne muzea na świecie, wychowana na kolejnych filmach wojennych i masakrycznych horrorach widzi we wszystkim, co im się pokazuje, także filmową – czytaj: nie-realną, obojętnie odbieraną rzeczywistość. We Lwowie natomiast ich odhumanizowany świat wyobraźni zdaje się jeszcze ożywać. Śmierć rówieśnika wydaje się namacalna, bezpośrednia, list Jurka Bitschana do ojca odbierany jest przez pryzmat ich młodych bez trosk problemów, liście z alejek łyżczakowskich nabierają barw także tamtego, przedwojennego listopada. Rok temu na Cmentarzu Orląt my – sądeczanie zorganizowaliśmy koncert dla Jurka Bitschana. Były skrzypce, gitara, znicze. Śpiewaliśmy „Orlątko”, składaliśmy wieńce. Kilka lat wczes-

niej w tym samym miejscu śpiewaliśmy dla Doktora. Jerzy Masiór, schorowany, słuchał nas przez telefon komórkowy ze swojego pokoju w Nowym Sączu. Płakaliśmy wraz z nim. Podczas otwarcia szkolnej Izby czter-nastoletni gimnazjaliści ściskali w dłoniach liście z Łyczakowa, wkrótce potem pojawiły się u nas sadzonki łyżczakowskich cyprysów, a ostatnio oryginalna, zabroniona na cmentarzu we Lwowie tabliczka „Nieznany Obrońca Lwowa”. Wszyscy, którzy odwiedzają naszą szkołę i naszą lwowską Izbę Pamięci, ci, których nasz Doktor wychował dla swego Lwowa i zaraził jego miłością, takimi obrońcami się stają.

Serdecznie dziękuję Panu Dyrektorowi za rozmowę.

BOGUSŁAW KOŁCZ, ur. 1963 w Nowym Sączu, absolwent filologii polskiej UJ, dyrektor Akademickiego Liceum i Gimnazjum, prowadzonego przez Wyższą Szkołę Biznesu – National Louis University w Nowym Sączu. Współautor podręczników do nauczania literatury w szkole średniej, autor ogólnopolskich programów i publikacji z zakresu nauczania języka polskiego oraz edukacji estetycznej i regionalnej, inicjator popularyzowanej w regionie i mediach (prasa – „Semper Fidelis”, „Gazeta Lwowska”, „Głos Nauczycielski”, „Cracovia Leopoldis” i in., radio, TV) edukacji kulturalnej i patriotycznej na Kresach (Litwa, Białoruś, Ukraina). Uczeń, współpracownik i przyjaciel dra Jerzego Masióra (1924–2003), kultywujący jego pamięć i działalność dla Nowego Sącza i Lwowa (koordynator pomocy charytatywnej dla rodaków na Kresach, sekretarz sądeckiego oddziału TG „Sokół”, organizator Izby Lwowskiej im. dra Jerzego Masióra i festiwalu piosenki lwowskiej w Nowym Sączu). Nagrodzony Krzyżem Drugiej Obrony Lwowa 1939–1944 oraz Złotą Odznaką Zasłużonego dla TMLiKPW.

Izba Lwowska



cy. Owa różnorodność form i metod docierania do czytelnika, widza, słuchacza, owo przenikanie się (i wzajemne uzupełnianie) inicjatyw uczelnianych czy publicystycznych służyło budowaniu społeczeństwa aktywnego w sferach kultury i nauki.

BIBLIOGRAFIA:

Dziadek M, 2002: *Polska krytyka muzyczna w latach 1890–1914. Czasopisma i autorzy*. Cieszyn.

Mazepa L. (red), *Musica Galiciana. Kultura muzyczna Galicji w kontekście stosunków polsko-ukraińskich (od doby piastowsko-książęcej do roku 1945)*. Rzeszów. t. 1 (1997) – 3 (1999).

Obchód setnej rocznicy urodzin Fryderyka Chopina i 1 Zjazd Muzyków Polskich we Lwowie. Księga pamiątkowa przedłożona przez komitet obchodu, 1912. Lwów.

Reizes-Dzieduszycki J., 2005: *Książka i biblioteka w działalności polskich towarzystw naukowych młodzieży akademickiej we Lwowie w okresie autonomii galicyjskiej*. Katowice.

Jadwiga Ciechanowska

WSPOMNIENIA NAFTOWCA (1)

W styczniu tego roku zmarła w Krakowie JADWIGA CIECHANOWSKA, lwowianka, aktywna członkini TMLiKPW. Urodziła się we Lwowie w 1916 r., zmarła w wieku 91 lat, pochowana w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Rakowickim. Poniżej prezentujemy jej wspomnienie z wielu lat pracy w instytucjach związanych z górnictwem i przemysłem naftowym i gazowniczym, na tle stosunków przed wojną i w czasie obu okupacji we Lwowie. Tekst napisany w 1982 r. został po raz pierwszy wydrukowany w czasopiśmie „Technika Poszukiwań Geologicznych Geosynoptyka i Geotermia”, nr 3–4/97.

Naftowiec – zapewne, aby nim być, trzeba mieć odpowiednie kwalifikacje. Może nim być zatem wiertnik z dużą praktyką, chemik lub geochemik, geofizyk lub też geolog, którego prace badawcze zakończyły się sukcesem, specjalista inżynierii złożowej, a także cała rzesza zatrudnionych w górnictwie i przemyśle naftowym. Ale czy może nim być ktoś, kto tylko ocierał się o ten przemysł, w praktyce niewiele mając z nim wspólnego, kto jednak przyjęty został na członka stowarzyszenia naftowego i nawet uznany za jego rzeczoznawcę?

U mnie wszystko zaczęło się od znajomości języków. W ich uczeniu się miałam pewną łatwość, angielski zaś znałam od dzieciństwa. Pierwotnie zamierzałam studiować na Wydziale Mechaniki Politechniki Lwowskiej, jednak ojciec, profesor tejże uczelni, wyperswadował mi to: *A co byś zrobiła w fabryce, gdyby robotnicy nie chcieli wykonywać twoich poleceń?* Uważał widocznie, a było to w latach trzydziestych, że kobieta w takiej sytuacji nie dałaby sobie rady, nie mając odpowiedniego autorytetu. Jakkolwiek w wielu dziedzinach był bardzo postępowy, to jednak w niektórych przypadkach jego poglądy były iście XIX-wieczne. Ze studiów technicznych nic więc nie wyszło, choć do techniki pozostało mi jednak pewne zacięcie.

Tymczasem w chwili, gdy mogłam rozpocząć studia filologiczne, katedra angielski przy Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, prowadzona przez profesora Władysława Tarnawskiego, została zlikwidowana, podobnie jak kilka innych (m.in. prof. Stanisława Ruziewiczza – matematyka z UJK, później profesora na Akademii Handlu Zagranicznego, prof. Zygmunta Klemensiewi-

cza – fizyka na Politechnice Lwowskiej, twórca szklanej elektrody). Trzeba było zdecydować się na inny kierunek studiów. Wybrałam tzw. eksportówkę, tj. Wyższą Szkołę Handlu Zagranicznego (przemianowaną później na Akademię Handlu Zagranicznego), gdyż języki obce odgrywały tam dużą rolę.

Głównym językiem był francuski, którego naukę pobierałam wcześniej w Krakowie, przez cztery miesiące, u doskonałego pedagoga, pani Studnickiej, matki profesora prawa UJ Franciszka Studnickiego. Nauka szła mi dość łatwo. Wysoki poziom tego języka na AHZ zapewniały prowadzone od drugiego roku studiów wykłady wymagającego profesora Zygmunta Czernego z UJK, m.in. w zakresie geografii gospodarczej Francji. Na pierwszym roku była jedynie korespondencja handlowa w języku francuskim. Ojciec mój uważał, że powinien mi wystarczyć słownik etymologiczny, postugiwałam się więc jedynie *Larousse*m, co było bardzo pożyteczne, gdyż zmuszało mnie to do intensywnej pracy. Co do angielskiego – byłam rozczarowana. Traktowany był jako język nadobowiązkowy, toteż wszelkie wysiłki niezwykle sumiennego lektora, flegmatycznego pana Charlesa Irvina niewielkie dawały rezultaty, w przeciwieństwie do lektoratu języka niemieckiego, dynamicznie i bardzo interesująco prowadzonego przez dra Aleksandra Dąbrowskiego, który nauczył mnie języka nowoczesnego (po 7-letnim pobieraniu nauki tego języka w gimnazjum). Języki stanowiły tylko małą częśćkę ogromnej liczby wykładów i ćwiczeń związanych z kierunkiem Akademii.

Studia zakończyłam dyplomem w grudniu 1938 r. Latem tego roku odbyłam praktykę zagraniczną w Banku Estonii. Był to mój drugi wyjazd za granicę. Po raz pierw-

szy wyjechałam w 1935 r. do Anglii wraz z prof. Henrykiem Arctowskim i jego żoną Amerykanką Jane z d. Addy, wielką polonofilką – jako sekretarka profesora.

Oczywiście po studiach chciałam jak najprędzej rozpocząć pracę, aby mieć jakieś własne pieniądze. Nie miałam wielkich wymagań co do strojów, byłam jednak młodą dziewczyną, dla której, chociaż wychowanej skromnie i raczej surowo, wygląd zewnętrzny odgrywał pewną rolę, zwłaszcza, że od 15. roku życia nie miałam matki, a ojciec na sprawy ubioru zupełnie nie zwracał uwagi. Nie miałam najmniejszego rozeznania w możliwości zatrudnienia się. Wiedziałam na pewno, że w pracy czysto biurowej, bankowości, księgowości niewiele zdziałam (egzamin z tego przedmiotu był jedynym, jaki musiałam powtarzać), do handlu zaś nie miałam zamiłowania, choć wielu ówczesnych absolwentów AHZ pociągała Gdynia jako rozwijający się ośrodek handlu zagranicznego.

Warunki domowe wiązały mnie ze Lwowem, będącym także ośrodkiem przemysłu naftowego, gdzie różne firmy naftowe miały swe placówki. A nafta to też języki, zwłaszcza angielski. Zorientowawszy się w moich planach i wahaniach, ojciec tym razem postanowił mi pomóc i ułatwić zdobycie pracy, do której tak się rwałam. Zrobił dla mnie wyjątek, nigdy bowiem nie starał się nam pomagać tam, gdzie uważał, że powinniśmy, tj. moi bracia i ja, radzić sobie sami.

Zaprowadził mnie do inż. Brunona Szymańskiego, absolwenta Politechniki Lwowskiej, wówczas dyrektora technicznego firmy „Gazolina” SA, bardzo zdolnego i wybitnego fachowca. Centrala „Gazoliny” mieściła się przy ul. Leona Sapiehy 3, na rogu ul. Łąckiego. Zostałam przyjęta 16 maja 1939 r. na 3-miesięczny okres próbny z pensją 100 zł miesięcznie brutto. Zostałam także wezwana przed oblicze inż. Mariana Wieleżyńskiego, założyciela „Gazoliny”. Był to starszy pan o dużych niebieskich oczach pod krzaczastymi brwiami. Czulałam się onieśmielona, toteż rozmowa była raczej krótka. Zapewne zachęcał mnie do solidnej pracy. Dyrektorem administracyjnym był pan Szczęsny Tarnowski. Muszę zaznaczyć, że tytuły dyrektorów nie były w „Gazolinie” oficjalnie ustalone, pracownicy stosowali je sami.

100 zł miesięcznie, to było i mało i dużo. Mało – jeśli porównać z pensją mej przyjaciółki z lat dziecińczych, Aliny Krygowskiej (córci profesora matematyki), której matka była również Angielką jak moja. Alina skończyła filologię angielską przed wojną w Poznaniu. Zaczęła pracować może rok lub dwa wcześniej ode mnie i jej pierwsza pensja w „Stomilu” wynosiła 600 zł. 100 zł znaczyło jednak dużo dla kogoś, kto tak jak ja nie miał nic poza drobnym kieszonkowym.

Inż. Marian Wieleżyński rozpoczął pracę w przemyśle naftowym w 1901 r. Wspólnie z inż. Władystawem Szaynokiem ubolewał nad niesłychanym marnotrawstwem gazu ziemnego odprowadzanego przy wydobyciu ropy naftowej, toteż w 1912 r. pojechali razem do USA celem zapoznania się z przemysłem gazu ziemnego. Po powrocie do kraju, w 1913 r. założyli „Zakład Gazu Ziemnego M. Wieleżyński” i „Gaz Ziemny” Sp. z o.o. Zbudowali też pierwszą w Europie gazolinarnię kompresyjną, a następnie dwie gazolinarnie absorpcyjne. Z powyższych dwóch przedsiębiorstw w 1916 r. powstała „Gazolina” Spółka z o.o., przekształcona w 1920 r. w spółkę akcyjną z siedzibą we Lwowie.

W latach 1916–22 istniała „Spółka-Institut Metan” przeniesiona jako Chemiczny Instytut Badawczy do Warszawy, w której m.in. pracował też Ignacy Mościcki.

Niewiele wówczas wiedziałam o „Gazolinie” poza tym, że zajmowała się eksploatacją gazu ziemnego. Miałam tam m.in. prowadzić korespondencję zagraniczną, poza tym poznać maszynopisanie, a raczej nauczyć się pisać na maszynie z przyjętym powszechnie układem czcionek. Dotychczas bowiem korzystałam z małej, tzw. walizkowej maszyny mojego ojca, której układ czcionek dostosowany był specjalnie do języka polskiego. Nie pamiętam, jakiej produkcji była ta maszyna. Ojciec uważał, że maszyna tego typu jest najlepsza dla Polaka, gdy tymczasem we wszystkich biurach używano *underwoodów* i *remingtonów* ze znanym układem czcionek, nie uwzględniającym specyfiki języka polskiego w zakresie częstotliwości występowania poszczególnych liter.

Wkrótce nabrałam wprawy w maszynopisanu, co później okazało mi się bardzo pomocne. W pierwszej połowie 1939 r. po-

południami chodziłam na kurs stenografii, której początki opanowałam na AHZ. Otrzymywałam polecenia tłumaczenia na angielski korespondencji bieżącej. Zdarzyło mi się kiedyś, że oddałam dyrektorowi Szymańskiemu list w języku angielskim napisany przeze mnie – jak uważałam – bardzo starannie na papierze firmowym „Gazoliny”. Dyrektor Szymański wezwał mnie, pokazał mi list przysłany z Anglii czy Stanów Zjednoczonych, zwracając uwagę, że w tym liście nie było ani jednej pomyłki czy też śladu wytarcia błędnie napisanego znaku, podczas gdy w liście napisanym przeze mnie była jedna przetarta litera. Papier był bardzo dobry, jednak widać było przetarcie. Tak uczono mnie porządnie pracować. Nieraz przychodziła mi na myśl ta scena, gdy po latach trzydziestu kilku dostawałam do sygnowania pisma zawierające adres oraz jedno czy dwa krótkie zdania, w których były trzy, a nawet pięć przecięć. Raz przytoczyłam moje doświadczenie – z pewnym skutkiem, muszę przyznać.



Ladywiga Ciechanowska w latach 20. XX w. (opisywanych, we wspomnieniu)

Z tegoż papieru firmowego „Gazoliny” dowiedziałam się o rozległej działalności firmy, jak choćby o tym, że posiadała rafinerie i gazoliniarnie w Borystawiu, kopalnie gazu w Daszawie, kopalnie ropy w Goricach i Dębicy, gazownię w Stryju, Gdyni i Kołomyi, hutę żelaza w Chodowicach, gazociąg Daszawa–Lwów, Borysław, Drohobycz, Chodorów, placówki sprzedaży swych produktów w Gdyni, Lwowie, Łodzi, Poznaniu, Toruniu, Warszawie i Wilnie.

Powoli poznawałam pracowników „Gazoliny”. Jako stenotypistka pracowała pani Irena Brulińska, uważana za bardzo dobrą siłę, a także Irena Rzewuska z d. Czeczcel, żona Leona. Oboje Rzewuscy jako młode małżeństwo po rewolucji w Rosji wywieźli cały pociąg różnych dóbr z majątku na Ukrainie i w latach dwudziestych, bawiąc się szaleńczo – utracili wszystko. Pani Ire-

na dzielnie zabrała się do pracy, utrzymując dwie córki, Lelę i Titę, a także męża, gdyż hrabia Rzewuski nie był przyzwyczajony do pracy. Zaprzyjaźniłam się z Basią Zdanowską, która od razu po maturze zaczęła pracować w księgowości „Gazoliny”, pomagając matce w utrzymaniu trojga rodzeństwa. Była ode mnie młodsza o pięć lat i już prawie rok pracowała w „Gazolinie”, gdy ja dopiero zaczynałam. Bardzo mi imponowała i była dla mnie uosobieniem szlachetności. Przy-

jaźń nasza przetrwała po dziś dzień. Sekretarką, a właściwie prawą ręką dyrekcji była przystojna, miła i robiąca na mnie wrażenie osoby bardzo bystrej i energicznej Ela Przedzymirska, prawnik. Pensja jej po kilku latach pracy wynosiła 600 zł. Była dla mnie przykładem możliwości, jakie „Gazolina” dawała młodym osobom.

Charakterystyczną postacią w „Gazolinie” był inżynier Józef Kowalczewski, przystojny mężczyzna w średnim wieku, z brodą przy-

proszoną sliwizną. O ile mogłam się zorientować, był osobą bardzo cenioną i poważaną, a prowadzone przez niego wiercenia znacznie przyczyniły się do określenia zasięgu złóż gazowych w Daszawie i ustalenia podstaw rozwoju „Gazoliny”. Był kierownikiem kopalń w Daszawie i Stryju, a od 1936 r. w centrali lwowskiej sprawował ogólny nadzór nad gospodarką kopalnianą „Gazoliny”.

Kasjerem był Tadeusz Zagórski, dawny oficer, bardzo usłużny i miły w obejściu, po wrześniu 1939 r. wywieziony do ZSRR. Prokurentem był p. Preidl, głównym księgowym pan Marian Nowakowski, szefem personalnym pan S., były lotnik, który po odejściu ze służby czynnej w lotnictwie mógł nadal pracować „w cywilu”. U niego też zwalniałam się bez trudu, gdy wymagały tego sprawy osobiste.

W laboratorium chemicznym kierowanym przez inż. M. Wieleżyńskiego pracowali spe-

cialiści, m.in. dr inż. Bolesław Manasterski, nad zbadaniem i wyzyskaniem gazu ziemnego jako surowca w przemyśle chemicznym. Było też kilku techników, m.in. Antoni Sabatowski (syn lekarza reumatologa), później też młody Śliwiński, syn jednego z woźnych. W 1930 r. laboratorium to zostało przekształcone w Instytut Gazowy.

W „Gazolinie” zatrudniani byli też studenci, głównie Politechniki Lwowskiej, do obliczania z tarcz zarejestrowanego zużycia gazu. Za swą pracę otrzymywali swego rodzaju stypendium w wysokości 100 zł (potem 200 zł, gdy mieli dobre wyniki na studiach).

Możliwości, jakie „Gazolina” dawała swoim pracownikom, były rozliczne. Wspomnę o tych, które mnie, nowemu pracownikowi, pierwsze rzucały się w oczy. Przede wszystkim w „Gazolinie” obowiązywał 6-godzinny dzień pracy – od 8 rano do 14, co przy powszechnie obowiązującym wówczas 8-godzinnym, tylko niekiedy 7-godzinnym dniu pracy, stanowiło wyjątek i duże udogodnienie dla pracującego, które bardzo sobie ceniłam. Każdy pracownik – a więc i ten na okresie próbnym – dostawał co miesiąc bon na 5 l benzyny, które w dowolnym czasie mógł zrealizować w stacji benzynowej lub opłacić nim przejazd taksówką. Po trzech miesiącach, mając trzy bony, pojechałam ze znajomymi na małą wycieczkę do Mikotajowa nad Dniestrem.

Każdy pracownik po roku z pracownika prowizorycznego przechodził na pracownika stałego, co było zastrzeżone w umowie, a tym samym otrzymywał możliwość nabycia akcji imiennych przedsiębiorstwa i korzystania z remuneracji rozdzielanej corocznie w wysokości co najmniej równej tantiemom Rady Zawiaodowej. Te i inne prerogatywy i obowiązki określał statut nazwany umową z pracownikami stałymi. Toteż robotnicy, wiertacze (np. bracia Jedyncy) i inni specjaliści byli bardzo dobrze sytuowani, doskonale ubrani, mieli własne samochody, co w tamtych czasach nie było tak powszechne jak dziś.

„Gazolina” – co podkreślano z naciskiem – była firmą pracującą w oparciu o kapitał polski. Stanowiła pod tym względem wyjątek, gdyż inne firmy naftowe opanowane były przez kapitał obcy. Zatrudniała niemal wyłącznie Polaków, z wyjątkiem bodajże

dwóch Ukraińców. Dążeniem i marzeniem – w dużej mierze spełnionym – inż. Marianna Wieleżyńskiego było utworzenie w wolnej Polsce firmy naftowej z kapitałem polskim i pracownikami polskimi, co konsekwentnie realizował, opierając organizację firmy na solidaryzmie, czyli na idei uwłaszczenia pracowników. Wykorzystanie i zatrudnianie polskich inżynierów i techników było hasłem Zjazdów Naftowych odbywających się corocznie, począwszy od roku 1928. Lata międzywojenne stały się okresem dynamicznego rozwoju firmy. Swą różnorodną działalność opierała w owym czasie na gazie ziemnym wydobywanym w Zagłębiu Daszawskim, którego obfitość – w przeciwieństwie do malejącego wydobycia ropy naftowej – zapewniła jej trwały rozwój i pozwalała skutecznie bronić polskiego stanu posiadania w tym Zagłębiu.

Po trzech miesiącach, przełamawszy nieśmiałość, za namową koleżanki poszłam do dyr. Tarnowskiego i poprosiłam o podwyżkę. Otrzymałam 150 zł. Niedługo się nią jednak nacieszyłam, bo 28 sierpnia zostałam zmobilizowana i skierowana na 15-dniową praktykę do Szpitala Wojskowego przy ul. Łyczakowskiej. Jak wiele młodych kobiet przesłam w czasie studiów szkolenie Czerwonego Krzyża, a także uczestniczyłam w kursie i odprawach Obrony Przeciwożarowej i Lotniczej. Wojna zbliżała się wszak nieuchronnie, chociaż nie w pełni zdawałam sobie z tego sprawę. Były jednak różne niepokojące sygnały. Chyba jeszcze w czerwcu na pierwszej stronie „IKC-a” ukazała się enigmatyczna, groźnie brzmiąca notatka, z której wynikało, że na bocznych torach w jakiejś miejscowości w Czechosłowacji, zajętej już częściowo przez Niemcy, od tygodni stoją odstawione wagony bydłące z zakratowanymi okienkami, z których wizerają blade twarze. Bez żadnych komentarzy. W biurach i urzędach wydane zostały polecenia robienia zapasów żywności na trzy miesiące czy pół roku. „Gazolina” ułatwiła to swoim pracownikom.

W kilka dni po wybuchu wojny, 4 września 1939, Szpital Wojskowy, gdzie zostałam odkomenderowana jako pielęgniarka, przeniesiono do nowoczesnego szpitala przy ul. Kurkowej, nadając mu numer 604. Wraz

z koleżanką ze studiów Anną Zagajewską zostałam przydzielona do łóżek rannych.

Naloty na miasto zaczęły się od pierwszego dnia. O godz. 11.30 zbombardowano fabrykę części samolotowych w okolicy Dworca przy ul. Krótkiej. Zginął tam wówczas ojczym mojej szkolnej koleżanki. Deorganizacja życia codziennego spowodowana nalotami była ogromna. Niedaleko szpitala na wzgórzu było stanowisko artylerii przeciwlotniczej. Gdy ogłaszano alarm lub gdy zbliżały się samoloty nieprzyjacielskie i artyleria zaczynała je ostrzeliwać, ranni żołnierze, którzy jeszcze nie otrząsnęli się z pierwszych okropnych przeżyć na polu bitwy, schodzili tłumnie wąskimi schodami do schronu, jak kto mógł – o kulach i bez kul. Był to przykry widok ludzi przerażonych i bezbronych. Opanowując strach zostawałam na górze przy tych, którzy nie mogli czy nie chcieli się ruszyć i zostawali w łózkach. Asystowałam przy mniejszych zabiegach. W szpitalu spotkałam znaną mi z gimnazjum i harcerstwa Danusię Nowicką, zawodową pielęgniarkę z prawdziwego powołania, która teraz z ogromnym oddaniem opiekowała się ciężej rannymi.

7 września zjawił się mój brat Wiktor z kolegą. Ich szkoła w Warszawie przy ul. Puławskiej (Szkoła Podchorążych Lotnictwa, Grupa Techniczna) w pierwszym dniu wojny została zbombardowana, a młodych oficerów i podchorążych rozpuszczono, kazano im jechać na południe Polski i przejść do Rumunii. Zawartość dwóch waliz, które mój brat z kolegą zostawili u nas w domu, ratowała nas w późniejszych czasach. Brat zatrzymał się w domu na jedną noc i ruszył dalej. Przed granicą rumuńską spotkał dwóch pozostałych braci, Artura i Kazimierza, którzy również, jak większość młodych, wyszli ze Lwowa. Wiktor prosił swego zwierzchnika, aby pozwolił im jechać razem z nim, ten jednak odmówił.

Przez dom nasz przewinęło się wielu ludzi. 9 września zjawił się u nas wyższy rangą oficer zawodowy w na pół cywilnym ubraniu i powoławszy się na jakieś koneksje, poprosił ojca o parę cywilnych butów. Dostał nową parę butów Artura, któremu potem – gdy w półtora roku później szedł do więzienia – bardzo by się przydały.

Archiwum

Pamiętki Lwowskich kolei

Nasz Czytelnik p. Józef Mehal nadesłał nam z Kłodzka dwa niezwykle zdjęcia:



1. Kolarze lwowscy w montowni maszyn we Lwowie (zapewne w warsztatach kolejowych), r. 1910. Jednym z przedstawionych na zdjęciu jest ojciec Pana Józefa, Władysław Mehal, późniejszy Obrońca Lwowa w 1918 r.



2. Pociąg pancerny *Dowbór* – chyba na stacji w Przemyślu, jak ocenia p. Józef. Zdjęcie związane jest zapewne z Obroną Lwowa, gdyż na jego odwrocie wymieniony jest jeden z oficerów, Józef Kwaśniak z pułku Strzelców Lwowskich.

Kulminacją naszych ówczesnych przeżyć był dzień 17 września, gdy przez radio usłyszeliśmy przemówienie Mołotowa, że Związek Radziecki idzie na pomoc braciom Białorusinom i Ukraińcom na ziemiach polskich. Oznaczało to przekroczenie naszych granic wschodnich przez Armię Radziecką i płynące stąd konsekwencje. 22 września Lwów został oddany. 27 września padła Warszawa.

W szpitalu przebywałam dwa miesiące, nie orientując się, że wśród rannych byli wysokiej rangi wojskowi, m.in. gen. Anders, których czekały ciężkie przejścia. Kto mógł, przedzierzał się w cywila. Po dwóch miesiącach wezwał Ankę Z. i mnie naczelnym lekarz (płk. Sadliński?), który okazał się ojcem naszego kolegi z AHZ, w kilku zdaniach podziękował nam za dobrą służbę i zostałyśmy zwolnione.

Wróciłam na ul. Leona Sapiehy 3. Uprzednio, 25 września, w „Gazolinie” wyplacono nam 2,5-miesięczne pobory z góry. Zdołałam jeszcze kupić sobie parę solidnych półbucików i kilogram włóczki popularnego gatunku, która potem okazała się skarbem.

W „Gazolinie” zastałam duże zmiany. W sierpniu powołano do wojska inż. Zygmunta Butlera. Na kilka tygodni zostałam przydzielona do pracy w konsumie zorganizowanym na miejscu w „Gazolinie”, prowadzonym przez nowo przyjętego inż. rolnika Romualda Namysła. Każdy starał się gdzieś zaczepić. Było mnóstwo uciekinierów z zachodniej i centralnej części Polski. Inżynier Namysł energicznie zdobywał różne produkty, które rozdzielane były między pracowników.

Wiele osób usiłowało przedostać się na zachód. Mówiono, że dyrektor Tarnowski i Ela Przedzrymirska także postanowili dostać się na zachód przez San. O Eli dowiedziałam się po latach, że znalazła się w Anglii, obecnie jest wdową, panią Reichert. Wielu z tych, którzy przeszli rewolucję 1917 r. i lata po niej, ogarnął paniczny strach. Za wszelką cenę chcieli uciec. Należała do nich Irena Rzewuska. Córki jej wyjechały już wcześniej z pierwszą falą uciekinierów. Pani Rzewuska zlikwidowała mieszkanie i z jedną walizką postanowiła przekroczyć granicę na Sanie. Udało się jej to i po wojnie zamieszkała w Krakowie, aby wreszcie na kilka ostatnich

lat swego życia wyjechać do Anglii do jednej z córek, gdzie zmarła.

Dowiedziałam się, że inż. Szymański został aresztowany przez NKWD. Nigdy go więcej nie widziałam, a los jego pozostał nieznanym. Inż. M. Wieleżyński ukrywał się, choć nadal pracował w swoim laboratorium. Jako założycielowi i współwłaścicielowi firmy groziło mu stale niebezpieczeństwo. Za młodu był członkiem PPS (po jej rozłamie nawiązał współpracę z Józefem Piłsudskim). Przed I wojną światową znany był wśród działaczy lewicy, podobnie jak jego żona Jadwiga z d. Siedlecka, która w latach 1904–05 była kurierką PPS między Galicją a Kongresówką. M. Wieleżyński współpracował z Konem, spotykał się z Leninem w Zakopanem i – jak dowiedziałam się później od mgr Gruszczyńskiego, byłego pracownika „Gazolinie” – dzięki interwencji żony Kona pozostał w swoim laboratorium.

„Gazolina” została przejęta przez władze radzieckie. Pierwszym Rosjaninem, z którym się zetknęłam, był lejtnant Lewickij, oficer NKWD w mundurze i w czapce z niebieskim otokiem. Podczas jednego z licznych zebrań czy szkoleń, które tym razem odbywało się na wolnym powietrzu, stałam wraz z kilkoma osobami z biura. Nieoczekiwanie dołączył do nas lejtnant Lewickij, który zapytał mnie – zdawało mi się przyjaźnie – „Kak wasza familia”. Nie znając jeszcze rosyjskiego, słowo „familia” rozumiałam jako „rodzina” i zaczęłam mu uprzejmie opowiadać o moich czterech braciach – ku konsternacji obecnych, gdyż do pewnych spraw nie należało się przyznawać lub mówić o nich jak najmniej.

7 listopada, w rocznicę wybuchu rewolucji październikowej według starego kalendarza, odbył się wielki pochód, na którym obecność była obowiązkowa. Zbiórka miała miejsce o godz. 6.30 rano, po czym przeganiano nas z jednej ulicy na drugą. Nie pamiętam, gdzie się odbył i jak wyglądał punkt kulminacyjny tego święta. Po jedenastu godzinach przechodzenia z ulicy na ulicę, zdawało nam się bez celu, zmarniętym i przemoczonym pozwolono nam pójść do domów.

23 listopada odbyła się rejestracja pracowników w „Gazolinie”. 4 grudnia zebrało nas ponownie, gdyż w grudniu mieliśmy głosować za przyłączeniem ziem polskich

od tzw. linii Curzona na wschód – wówczas zresztą nie mówiono o linii Curzona – do ZSRR i mieliśmy stanowić część Ukrainy. Przedtem odbywały się w „Gazolinie” liczne zebrania, na których przemawiali niektórzy pracownicy. Do pracy przyjmowano różnych specjalistów. Administrację rozbudowano. Przyjęto m.in. niejakiego Jakuba Feinera, byłego przedsiębiorcę budowlanego, z pochodzenia zdaje się Żyda, dobrze ubranego, niezbyt postawnego, koleżeńskiego. Jego sytuacja nie była łatwa ze względu na status przedwojennego przedsiębiorcy. Jakież było nasze zdziwienie, gdy przemawiając na którymś z zebrań przedwyborczych zaczął

używać zwrotów *nasze słoneczko Stalin*. Gdy przyszli Niemcy, zastrzelili go na progu jego domu na Pohulance.

W „Gazolinie” zaczęto mówić o związku zawodowym i wkrótce miały się odbyć wybory do władz związkowych. Przygotowywał nas do tego lejtnant Lewickij. 11 grudnia zebrał się, aby przeprowadzić te wybory do Komitetu Zakładowego. Na przewodniczącego Komitetu miał być wybrany kolega Brylak. Był zdenerwowany i przestraszony, widocznie nie czując się na siłach do podjęcia narzuconej mu roli. Tymczasem z sali padały inne kandydaty. Trudno się dziwić, że dawni pracownicy „Gazoli-

Nie upraszczajmy

W „Naszym Dzienniku” z 19–20 maja br. ukazała się **rozmowa z prof. Piotrem Jaroszyńskim**, kierownikiem Katedry Filozofii Kultury na KUL, przeprowadzona przez P. Czartoryskiego-Szilera, pt. *Kresy pamięci*. Tekst ciekawy i sprawiedliwy, ale najciekawsza jest zawarta na samym początku informacja, że w Drohiczynie w czasie imprezy poświęconej gen. W. Andersowi *narodziła się inicjatywa powołania Narodowego Muzeum Kultury Kresów*.

Przypomnijmy sobie, że po naszej inicjatywie, zgłoszonej przed dwoma laty i popartej przez wiele wybitnych osób (pisaliśmy o tym parokrotnie) posypały się kolejne, podobne, które jakby „z księżycy spadły”, bo każdy z wnioskodawców (lub grona wnioskodawców) uznał swą inicjatywę jako coś całkiem nowego, oryginalnego, ani słowem nie nawiązując do pierwszej idei, która wyszła od nas. Z wyjątkiem jednej, żadna dotąd nie wyszła poza słowa, ta jedna zaś – w Warszawie – wybuchła, ale przyszłości nie widać.

Nikt z kolejnych inicjatorów nie wpadł na pomysł, by się z nami porozumieć, zapoznać się z ideą i najpełniej jak dotąd opracowanym programem, skorzystać z doświadczeń, także i z tego względu, że jesteśmy najbardziej zaawansowani w działaniach i uzgodnieniach. Każdy nowy inicjator chce być tym pierwszym, a w sumie działa na szkodę sprawy. Nie wiemy, kto jest pomysłodawcą z Drohiczyna ani gdzie można coś na ten temat przeczytać.

Przypomnijmy na koniec, że nasza idea to *Instytut Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich*, a każde słowo w tym tytule ma swoje znaczenie i swoją wagę. Obejmuje wszystkie cząstkowe pomysły zgłaszane przez nowych odkrywców.

Oczywiście rozmowa z prof. P. Jaroszyńskim nie dotyczy bezpośrednio koncepcji NMKK, zawiera jednak wiele ważnych tematów i myśli, które warto zapamiętać. Oto jeden z fragmentów wypowiedzi:

Festiwal Kultury Kresowej [w Mrągowie – przyp. red.] na pewno jest inicjatywą pozytywną, ale na mój gust za bardzo ukierunkowaną na to, za czym nie przepadam, a więc na zbyt mocno wyeksponowaną ludowość (brak wyższej kultury szlacheckiej i arystokratycznej), a także ukazuje Kresy w formie takiego skansenu, a więc czegoś, co jest trochę sztuczne. Ogólnie zaobserwować można następującą tendencję: Kresów nie da się całkowicie wymazać, więc przekazuje się pewien obraz, ale bardzo uproszczony, zredukowany...

O to właśnie chodzi.

ny” chcieli wybrać do Komitetu Zakładowego osoby, o których wiedzieli, że sprostają temu zadaniu i będą bronić ich praw. Po tajnym głosowaniu okazało się, że Brylak, kandydat lejtnanta Lewickiego, i jego lista przepadła. Teraz dopiero dowiedzieliśmy się, co to znaczy wolne wybory. Wściekły lejtnant Lewickij wstąpił na podium i waląc pięścią w stół uznał nasze wybory za nieważne, po czym z wrzaskiem zaczął nam klarować, jak mamy głosować i kogo wybrać. Słuchaliśmy tego przerażeni. Głosowanie odbyło się po raz drugi i Brylak został jednomyślnie wybrany na przewodniczącego Komitetu Zakładowego. Wracaliśmy do domu po północy.

Z dniem 1 stycznia 1940 r. „Gazolina” SA została przemianowana na trest „Ukrgaz” i zorganizowana na nowych zasadach. Przyjechał nowy dyrektor, Bogdanow. Niskiej postury, łysy, w przeciwieństwie do innych Rosjan chodzących po cywilnemu, ubierał się z ukraińska, w czarną koszulę z krajką wokół szyi i zapięcia, wyrzuconą na spodnie wsunięte w czarne buty. W „Ukrgazie” językiem urzędowym był rosyjski, inaczej niż w przedsiębiorstwach podlegających administracji miejskiej, gdzie obowiązywał język ukraiński. Podlegaliśmy ministerstwu w Moskwie (Narkomnieft SSSR). Wprowadzono 6-dniówki w miejsce dotychczasowego 7-dniowego tygodnia pracy, przy utrzymaniu powszechnego wówczas 8-godzinnego dnia pracy. Do tego dochodziły codziennie 2-godzinne obowiązkowe lekcje języka rosyjskiego, którego większość pracowników nie знаła. Uczono nas z elementarzy (*chleb da kasza piszczka nasza*), których było pod dostatkiem. Uczono nas również pieśni rosyjskich, które miały nam wpoić przywiązanie do nowej ojczyzny – (*ja drugoj takoj strany nie znaju, gdzie tak wolno diszit czelowiek*). Dnie mieliśmy całkowicie wypełnione, nie mówiąc o tym, że sześciodniówki zupełnie wyróciły dotychczasowy tryb życia z niedzielnym wypoczynkiem – teraz wolny był co szósty dzień. O Soborze Watykańskim jeszcze się nie śniło, msze święte odprawiane były tylko rano i nie było możliwości wysłuchania jej wieczorem, gdy niedziela była dniem roboczym. Pierwsze święta Bożego Narodzenia też były dniami pracy.

Wszelkie spóźnienia były wykluczone. Dyr. Bogdanow okazał się służbistą, wszyst-

ko musiało być zgodne z przepisami i wykonywane „po planu”. Gdy komuś spóźnienie zdarzyło się po raz pierwszy, dostawał *wygawor* (naganę), za drugim razem *wygawor z predupreżdzeniem* (nagana z ostrzeżeniem), a za trzecim razem szedł do więzienia odprowadzany pod karabinami przez sowieckich żołnierzy. Podobnie, gdy ktoś nie przyszedł do pracy. W razie choroby musiał przedłożyć zwolnienie lekarskie w ciągu 24 godzin. Przedtem, za „Gazolinę”, wystarczyło zgłosić chorobę; tylko przy dłuższej, poważniejszej chorobie trzeba było to udokumentować zaświadczeniem lekarza, choćby domowego. Nikt nie nadużywał zwolnień lekarskich, każdemu bowiem zależało na pracy. Pracownicy sami przestrzegali dyscypliny. Wprowadzone obecnie zmiany wydawały się drakońskie. W ciągu zimy kilkakrotnie przeszedłam gripę. Za każdym razem drżałam, czy dostanę się do lekarza i otrzymam zwolnienie, aby je przedłożyć w terminie. Widziałam, jak różnych *progulszczikow* odprowadzano pod strażą. Utworzono komisje z pracowników, które miały odwiedzać chorego, aby w razie potrzeby służyć pomocą, a zarazem sprawdzać, czy chory rzeczywiście leży.

W „Ukrgazie” zaprowadzono nową organizację. Został utworzony i rozbudowany dział planowania, dotychczas nie istniejący. W „Gazolinie” pewne działania zakładano z góry i postępując według określonych założeń, osiągnano należyte rezultaty. Obecnie „Ukrgaz” objął gospodarkę gazem ziemnym na całym obszarze przyłączonym do Ukrainy i jego zadania były większe. Do Działu Technicznego, do którego zostałam przydzielona, został skierowany również jeden *planirowczik* w osobie towarzyszkii Baryszewy. Była to pierwsza Rosjanka, z którą zetknęliśmy się bezpośrednio, gdyż jakiś czas siedziała z nami w jednym pokoju. Stale z otówkiem w ręku coś pilnie obliczała. Była to młoda osoba, skromnie ubrana, która stale nas poczula. Raz ktoś niebacznie zażartował z NKWD, a lwowiacy, wiadomo, chętnie żartowali, nawet gdy „nie było im do śmiechu”. Zareagowała natychmiast: z *NKWD nielzja smiejatsia, wy nie znajetie, szto to NKWD* – powiedziała ostro. Rzeczywiście nie wiedzieliśmy, wkrótce jednak mieliśmy się przekonać.

W „Ukrgazie” utworzony został tajemniczy *Specodiet* (oddział specjalny). Była to już kompletna nowość. Mieścił się w osobnym pokoju z zakratowanym oknem, drzwiami obitymi grubą żelazną blachą z małym okienkiem, przez które załatwiał strony Rosjanin, pochodzący z Leningradu tow. Elbert, wyglądający na inteligentnego Żyda. Prawdopodobnie przechowywano tam materiały znane dzisiaj jako *ściśle tajne* lub *poufne*, jednak nauczeni doświadczeniem, nie pytaliśmy się o nic i raczej omijaliśmy ten pokój. Wszystkie te metody działania były nam nieznanne, toteż napawały nas one lękiem,

W księgowości szefem został dotychczasowy pracownik „Gazoliny”, Polak o nazwisku Roman Trusz (syn malarza), bardzo koleżeński i biegły w swej specjalności. Ponadto pracowały tam Basia Zdanowska i Hanka Lachs-Kulowa (po wojnie w Sopocie). U Hanki właśnie lejtant Lewickij zauważył w szufladzie obrazek Matki Boskiej, który stał się przedmiotem jego naigrywań i pytań w rodzaju *co to i na co to*. Na sekretarkę dyr. Bogdanowa zaangażowano Polkę, Irenę Kucką, której nazwisko wymawiano z rosyjska Kuckaja. Przyjęto również p. Jadwigę Jasińską władającą biegle rosyjskim i obznajomioną z maszyną z rosyjskim alfabetem. Była zdaje się z zawodu śpiewaczką i na uroczystościach popisywała się śpiewem. Po wojnie zamieszkała w Krakowie.

Prowadzenie biblioteki i archiwum powierzono Polce, nowo przyjętej Jadwidze Schwarz. Jadwiżka, jak ją nazwaliśmy, bardzo życiowo wyrobiona, doskonale potrafiła współżyć w nowych warunkach z nowymi towarzyszami pracy, była taktowna i koleżeńska. Po wojnie przeniosła się do Poznania i tam założyła rodzinę. Biblioteka zgromadziła dotychczasowe zbiory „Gazoliny”, stale uzupełniane nabywanymi dziełami rosyjskimi. Poza księgozbiorem Jadwiżka sprawowała pieczę nad kalkami rysunków technicznych, doskonale zinwentaryzowanymi i przechowywanymi w specjalnych szufladach w biurach byłej „Gazoliny”. Rysunki stale uzupełniane były nowymi, a w razie potrzeby udostępniane. Dział Techniczny często z nich korzystał i praca w nim przebiegała według dawnej praktyki i metod wypracowanych w „Gazolinie”. Nie dublowano pracy raz wykonanej.

Naczelnikiem Działu Technicznego, którego pełna nazwa brzmiała Lwowski Oddział Eksploatacyjny trestu „Ukrgaz”, był Polak, inż. Wiktor Wiśniewski, a jego prawą ręką był inż. Franciszek Bourdon, obaj dawni pracownicy „Gazoliny”. Trafiłam na dobrych szefów. Mieli oni w swej pieczy wszelkie instalacje gazu ziemnego w mieście. Gaz ziemny – w odróżnieniu od gazu miejskiego, dostarczanego z Gazowni Miejskiej – miał inne własności fizykochemiczne, toteż wymagał odrębnych instalacji, dysz pomiarowych, zaworów, palników itp. We Lwowie został on doprowadzony na obrzeża miasta, podczas gdy w śródmieściu był gaz miejski. Ideą byłego dyrektora i założyciela „Gazoliny” inż. Wietrzyńskiego było jak najszersze zastosowanie gazu ziemnego jako taniego paliwa w przemyśle i gospodarce energetycznej, toteż szereg zakładów przemysłowych, które znajdowały się poza śródmieściem, stosowało jako paliwo gaz ziemny. Również gospodarstwa domowe pozostające w zasięgu sieci gazu ziemnego mogły go stosować. Było to paliwo bardzo ekonomiczne i w porównaniu z węglem czy koksem bardzo czyste, nie było problemów związanych z wynoszeniem czy wywozieniem żużla.

Dokończenie w następnym numerze

RODZINA CIECHANOWSKICH we Lwowie

Dobrze znana we Lwowie gałąź tej krakowskiej rodziny została zapoczątkowana przez ojca Jadwigi, wybitnego profesora Politechniki Lwowskiej, ZYGMUNTA Ciechanowskiego (1873–1966). Jego żona, Henny Deppe, była Angielką. Mieli pięcioro dzieci:

WIKTORYN, lotnik WP i RAF, zginął w Bitwie o Anglię w 1944 r.

ARTUR, student medycyny na UJK, zaginiony we Lwowie w czerwcu 1941 r., niewątpliwie zamordowany przez Sowietów

KAZIMIERZ, architekt, absolwent Politechniki Lwowskiej, po II wojnie we Wrocławiu

JADWIGA

HENRYK, ur. 1930, absolwent ASP w Krakowie, konserwator sztuki.

Jacek Króliński, Helena Skurska

RUDOLF WEIGL I JEGO DZIEŁO

W pięćdziesiątą rocznicę śmierci

Każde pokolenie powinno zadbać o utrwalanie dokonań wybitnych jednostek, będących wzorem do naśladowania dla innych. O potrzebie przypomnienia i uczczenia wielości zasług Rudolfa Weigla, biologa, profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, już przed wojną zaliczonego do światowej czołówki uczonych, dyskutowano od dawna, szczególnie w gronie tych, którzy go znali, a w wyniku ekspatriacji zamieszkali po wojnie we Wrocławiu. Wydanie w czasach PRL wspomnień o tym naukowcu, cieszącym się wysokim uznaniem wielu ośrodków naukowych (m.in. Instytutu Pasteura w Paryżu), natrafiało na liczne przeszkody natury politycznej i finansowej. Dopiero w dobie ostatnich przemian ustrojowych zaistniały warunki do uczczenia dorobku badawczego i niepodważalnych zasług wielkiego twórcy skutecznej szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu, jednej z najgroźniejszych chorób ludzkości, która zwłaszcza w czasie wojen pochłaniała setki tysięcy ofiar, dziesiątkując armie i ludność cywilną.

Czynnik etiologiczny tyfusu plamistego – *Rickettsia prowazeki*, został odkryty stosunkowo późno. Do jego ustalenia dopomogły – opłacone życiem – badania Rickettsa i Prowazeka, odkrycie przez Nicolle'a przenosiiciela, którym okazała się wesz odzieżowa, oraz prace Sergenta i Da Rocha-Limy. Istniejąca wówczas technika mikrobiologiczna nie dawała szans hodowli żyjącego wyłącznie wewnątrz komórki drobnoustroju, a w konsekwencji przygotowania skutecznej szczepionki przeciwko durowi plamistemu. Koncepcja wykorzystania do tego celu wszy karmionych na chorych okazała się nierealna. Pozostawała więc jedynie możliwość sztucznego zakażenia wszy.

I tu rozpoczęła się doniosła rola Weigla, łączącego w sobie gruntowną znajomość anatomii i fizjologii owadów, pomysłowość eksperymentatorską i – co miało tu szczególne znaczenie – bardzo rozwinięty zmysł techniczny. Jako jeden z pierwszych wprowadził on do mikrobiologii metodę hodowli zarazka w żywym organizmie, wykorzystując do tego celu wszy, mogące być użyte nie w setkach, lecz w tysiącach osobników, na których można było dokładnie prześledzić cały rozwój zakażenia.

Rudolf Stefan Weigl urodził się 2 września 1883 r. w Przerowie na Morawach z ojca Fryderyka i matki Elżbiety z d. Krosel. Poczucie narodowości polskiej zawdzięcza szczególnie kolejom swego życia. We wczesnym dzieciństwie, po śmierci ojca, który zginął w wypadku, matka wraz z dziećmi wyjechała do Wiednia, gdzie poślubiła Polaka – Józefa Trojnara, profesora gimnazjum. Wkrótce cała rodzina przeniosła się do Małopolski, gdzie ojczym otrzymał stanowisko dyrektora gimnazjum w Jaśle, potem w Tarnopolu, a na koniec w Stryju. Gimnazjum młody Rudolf Weigl rozpoczął w Jaśle, po czym po otrzymaniu w roku 1903 świadectwa dojrzałości w Stryju podjął studia na Wydziale Przyrodniczym Uniwersytetu Lwowskiego. Był uczniem Benedykta Dybowskiego, badacza fauny Bajkału, oraz Józefa Nussbauma-Hilarowicza, twórcy lwowskiej szkoły przyrodników. Pod ich kierunkiem prowadził prace z dziedziny cytologii i zoologii eksperymentalnej. W 1907 r. został promowany na doktora filozofii oraz rozpoczął pracę jako asystent w Katedrze Zoologii. W 1913 r. został habilitowany i otrzymał nominację na docenta zoologii, anatomii porównawczej i histologii. W czasie I wojny światowej został zmobilizowany do armii austriackiej. Specjalizował się w pracowni bakteriologicznej Filipa Eisenberga w Wiedniu, a następnie zdobywał doświadczenie w różnych laboratoriach szpitali wojskowych. Wspomagany przez Austriackie Ministerstwo Wojny, podjął badania nad tyfusem plamistym w obozach jeńców i uchodźców na Morawach i w Czechach, a następnie w Tarnowie i Przemysłu, gdzie choroba ta robiła ogromne spustoszenie. Zdemobilizowany w 1918 r., został asystentem przy Katedrze Histologii i Embriologii Wydziału Lekarskiego we Lwowie. W tym samym roku

został powołany na stanowisko kierownika Wojskowego Laboratorium Bakteriologicznego w Przemyślu, a w rok później – już jako parazytolog Wojskowej Rady Sanitarnej Ministerstwa Spraw Wojskowych – objął kierownictwo w Pracowni Badań nad Tyfusem Plamistym, dotowanej przez Ligę Narodów i Polską Akademię Umiejętności. Przemyśl stał się miejscem fundamentalnych badań i narodzin szczepionki przeciwko tyfusowi plamistemu. Pomysł R. Weigla zamiany sztucznej pożywki – na której zarzek nie dawał się hodować – na biologiczną, którą stanowiły zdrowe wszy, a także odkrycie techniki ich zakażenia zapewniły burzliwy rozwój badań nad tą chorobą i nad uzyskaniem odpowiedniej szczepionki. W uznaniu zasług, R. Weigl jako przyrodnik, a zarazem student II roku medycyny został mianowany profesorem zwyczajnym i po opuszczeniu Przemyśla, objął w roku 1920 Katedrę Biologii Ogólnej na Wydziale Lekarskim UJK we Lwowie, w ramach którego powstał następnie Instytut Badań nad Tyfusem Plamistym. W tym samym roku wyprodukowaną szczepionką uodparniał lekarzy oraz pozostały, szczególnie narażony na zakażenie personel.

W dużym skrócie proces wytwarzania szczepionki obejmował m.in.:

– hodowlę zdrowych wszy, żywionych przez karmicieli – od wyjścia z jajeczek do uzyskania dojrzałości – ok. 12 dni. Karmienie wszy odbywało się przez przyłożenie i przyciśnięcie do skóry ramienia lub uda wyciętego z drewna pudełeczka (rozmiary 5–6 cm x 3–3,5 cm o wysokości 1 cm), którego jedną ścianę stanowiły szczelne drzewiczki, a drugą była siatka młynarska do przesiewania mąki w młynach, przez którą znajdujące się w pudełeczku wszy wklwwały się w skórę ssąc krew. Po takim zabiegu w wyniku gęstych ukłuć na skórze zostawała czerwona plama;

– zakażenie przez laborantów „strzykaczy” zdrowych wszy przez wstrzykiwanie szklaną kapilarą zakażnej zawiesiny do odbytu. Przed tym zabiegiem wszy były fiksowane w miniaturowych, mocowanych na drewnianym, klawiaturowych kleszczykach, przytrzymujących szyję wszy, nie uszkadzając głowy ani tułowia. Omówione wyżej urządzenia znajdowały się jeszcze w 1950 r. w pracowni leptospirowej* w PZH we Wrocławiu u prof. Józefa Zwierza, który przed wojną zajmując się na Polesiu riketsjami u szczurów zrobił doktorat u prof. Weigla we Lwowie;

– żywienie wszy zakażonych przez karmicieli aż do pełnej aktywności zarazka (ok. 5 dni),

– przejęcie zakażonych i odkarmionych wszy przez preparatorki, które wypreparowane skalpelem jelita pasożyta zadawały w mózdzieru roztworem fizjologicznym, zawierającym 0,5% fenolu, a następnie dokładnie rozcierały i oddziaływały od części stałych przez odwirowanie;

– oznaczenie wartości uodparniających każdej serii szczepionki na zwierzętach doświadczalnych i rozlanie jej specjalnym aparatem do ampulek. Zestaw złożony z 3 ampulek szczepionki zawierał łącznie materiał 90 jelit z zabitych wszy (I amp. – 15 jelit, II – 30 i III – 45).

Rudolf Weigl, zaproszony w 1937 r. przez Ligę Narodów, wziął czynny udział w międzynarodowej konferencji ekspertów w Genewie, wygłaszając referaty o metodach zwalczania tyfusu plamistego. W styczniu 1939 r., zaproszony przez Towarzystwo Lekarskie w Sztokholmie, wygłosił odczyt nt. swych prac badawczych oraz nawiązał kontakty i współpracę z tamtejszymi instytutami naukowymi. W tym samym roku wyjechał na kilka miesięcy do Abisynii, celem zbadania różnych typów występującego tam zarazka wywołującego tyfus plamisty i opracowania skutecznych szczepionek. Zaraz po powrocie do kraju miał uruchomić pięć instytutów produkujących szczepionkę. Niestety prace te przerwała wojna.

Po zajęciu Lwowa przez władze sowieckie Zakład R. Weigla rozbudowano jako oddzielną jednostkę w obrębie powstającego Sanitarно-Bakteriologicznego Instytutu Lwowskiego, a on sam objął w nim stanowisko kierownika naukowego. Celem zlikwidowania licznych groźnych endemicznych ognisk tyfusu plamistego w Karpatach założył specjalne laboratorium w górach w Wysocku. Zaproszony w 1940 r. przez Ministerstwo Zdrowia w Moskwie na Zjazd Najwyższej Rady Uczonych ZSRR wygłosił szereg odczytów w Moskwie, Leningradzie, Charkowie i Kijowie z zakresu biologii zarazka duru osutkowego oraz metod walki z nim.

Przed wkroczeniem Niemców do Lwowa NKWD wymordowało w więzieniach lwowskich kilka tysięcy aresztowanych, zaś po ucieczce Rosjan formacje SS i Gestapo zamordowały grupę 23 lwowskich profesorów i ich najbliższych. Zakład prof. Weigla, produkujący szczepionki głównie dla wojska, podporządkowano władzom niemieckim jako „Institut für Fleckfieber und Virusforschung”. Podczas okupacji niemieckiej

pod nadzorem profesora działały we Lwowie trzy zakłady produkcji szczepionek, których znaczną część podczas odwrotu armii niemieckiej wywieziono do Niemiec. W 1944 r. R. Weigl opuścił Lwów udając się do Krościenka nad Dunajcem, gdzie w małej założonej przez siebie pracowni kontynuował prace. W 1945 r. objął Katedrę Bakteriologii Ogólnej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, po czym w 1948 r. przeniósł się do Poznania, obejmując Katedrę Biologii Ogólnej Uniwersytetu, gdzie pracował do 1951 r. Zmarł w Zakopanem 11 sierpnia 1957 r.**

Prof. Rudolf Weigl należał nie tylko do najwybitniejszych biologów i mikrobiologów polskich, ale i świata. Obok metody hodowli zarazka tyfusu plamistego opracował mikroserologiczną metodę diagnozowania zarazków z grupy riketsji, nazwaną przez Charlesa Nicole'a – *reakcją Weigla*. Rozwinięcie na szeroką skalę produkcji jego szczepionki w czasie wojny stworzyło możliwość uodpornienia około 20 mln ludzi (głównie wojska), co w konsekwencji przyczyniło się do ochrony terenów działań wojennych od szerzenia się epidemii tyfusu. W czasach okupacji sowieckiej i niemieckiej (1939–44), kiedy to dążono do wyniszczenia polskiej inteligencji, położył nieocenione zasługi jako kierownik Instytutu Tyfusowego we Lwowie. Praca w Instytucie chroniła bowiem przed aresztowaniami, a może i przed śmiercią, przed różnymi represjami oraz wywozem na roboty do Niemiec nie tylko wybitnych uczonych, ale i kilkuset młodych ludzi, studentów przedwojennych uczelni Lwowa oraz absolwentów lwowskich gimnazjów, którzy zaraz po wojnie tworzyli fundamenty pod nową bazę naukową. Wśród nich byli również członkowie Armii Krajowej, konspiracyjni harcerze, a także wielu z tych, którym szczepionka uratowała życie m.in. w obo-



zach w Oświęcimiu i Majdanku oraz w getcie lwowskim i warszawskim. Wśród współpracowników R. Weigla znaleźli się ponadto przedstawiciele środowiska weterynaryjnego, z których część zaraz po wojnie wyjechała na odzyskane Ziemie Zachodnie, gdzie wraz z innymi tworzyła zręby Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu***.

W lutym 1940 r. prof. Weigl nie skorzystał z propozycji Nikity Chruszczowa, sekretarza KPZR, przyjęcia tytułu akademika we Wszechzwiązkowej Akademii Nauk w Moskwie wraz z objęciem stanowiska dyrektora Instytutu. Będąc Polakiem z wyboru, w 1943 r. na propozycję zastępcy H. Himmlera – gen. Katzmanna, objęcia katedry na Uniwersytecie w Berlinie, utworzenia instytutu pod jego kierownictwem oraz podjęcia starań o przyznanie nagrody Nobla odpowiedział, że chociaż nie zapiera się swego pochodzenia, to jednak nie podpisze *Reichlisty*, jako że zmiana narodowości byłaby niełojalnością w stosunku do społeczeństwa polskiego, z którym

czuje się związany, tym bardziej że pracownia i Instytut we Lwowie droższe są mu niż każde inne. Kiedy dotknięty tą wypowiedzią kat lwowskiego getta wspominał o rozstrzelanych na Wzgórzach Wuleckich kolegach, Weigl odpowiedział: *Życie dziś stało się smutne i beznadziejne... Jeśli pan, generale, dasz rozkaz mnie rozstrzelać, to chociaż dla rodziny będzie to tragedia, to jednak w gruncie rzeczy wyrządzi mi pan przysługę, a otoczenie święcie czcić będzie moją pamięć*. Zakład we Lwowie był ośrodkiem naukowym z którym nawiązywali kontakt uczeni z całego świata. Weigl z wręcz lekkomyślną hojnością przekazywał im swe koncepcje naukowe, które szybko realizowali bez podawania źródła. Niestety, potwierdzające te fakty listy zagranicznych ko-

40

respondentów, jak i kopie odpowiedzi Weigla skradziono w czasie przeprowadzki do Krościenka.

Przyczyny przemilczania znaczenia badań i koncepcji naukowych R. Weigla są natury obiektywnej i subiektywnej. Choć torował drogę nowej myśli i był jednym z nielicznych przedstawicieli polskiej nauki, będących tak blisko Nagrody Nobla, której po raz pierwszy nie dostał trochę ze względu na jej statut, a trochę z własnej winy, drugi raz, ponieważ nie chciał wyrzec się polskości, a trzeci, na skutek przedziwnych komplikacji politycznych, to jednak pozostając w cieniu innych, mniej od niego znaczących nazwisk, podzielił los większości prawdziwych prekursorów wielkich odkryć oraz idei burzących dotychczasowe, uznane przez autorytety poglądy. Zapomniany przez historyków nauki, powinien jednak zostać zauważony i utrwalony przez swoich rodaków, którym ofiarował dzieło swego życia, a niejednokrotnie życie uratował. Zarówno wobec wyniosłych, jak i malutkich był nadzwyczaj skromny, bezpośredni, uważny i rzeczowy. Promieniowała od niego robiąca wrażenie i wzbudzająca respekt osobliwa siła wewnętrzna. Były jego współpracownik, a po wojnie profesor med. oraz mgr filozofii w zakresie chemii Uniwersytetu Wrocławskiego – Tomasz Cieszyński na znak należnego mu hołdu podkreśla: *Rudolf Weigl był wielki jako Uczony, wielki jako Polak i wielki jako Człowiek. Dzieło jego życia, przysparza chwały Polsce i całej Ludzkości.*

Prof. Rudolf Weigl był członkiem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, Towarzystwa Naukowego we Wrocławiu i w Warszawie, Belgijskiego Towarzystwa Biologicznego, Belgijskiego Towarzystwa dla Badań Chorób Tropikalnych, członkiem korespondentem Belgijskiej Królewskiej Akademii Medycyny, członkiem honorowym Towarzystwa Lekarskiego w Lublinie oraz Nowojorskiej Akademii Nauk. Jako zdecydowanemu przeciwnikowi ustroju komunistycznego w Polsce, dopiero po śmierci nadano Weiglowi Krzyż Komandorski OOP z Gwiazdą. Za swoją działalność uhonorowany jednak został szeregiem innych odznaczeń. I tak posiadał najwyższe odznaczenie papieskie – Order Rycerski św. Grzegorza Wielkiego, przyznany mu przez papieża Piusa XI za zasługi w zwalczaniu epidemii tyfusu w kra-

jach misyjnych oraz Order Leopolda (Belgia). Został również wyróżniony m.in. nagrodą państwową I stopnia za całokształt prac, zwłaszcza w dziedzinie walki z dudem osutkowym.

Opracowano w oparciu o materiały Ogólnopolskiej Sesji pt. *Prof. Rudolf Weigl i działalność jego Instytutu Tyfusowego we Lwowie w okresie 1939–1944*, Wrocław 1997, Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej oraz informacje własne.

PRZYPISY

- * Pracownia leptospirowa zajmuje się odzwierzęcymi chorobami zakaźnymi, których rezerwuarem są głównie gryzonie (przy. red.).
- ** Prof. Rudolf Weigl został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie (przy. red.).
- *** Z dostępnych źródeł wynika, że w Instytucie Weigla zatrudnieni byli m.in.: Stanisław Chudoba (karmiciel), zoolog, późniejszy profesor WSR we Wrocławiu; Krynicki (strzykacz), lekarz weterynarii; Tadeusz Lic (strzykacz), lekarz weter.; Lesław Lewandowski, dr weter., WSR/ AR we Wrocławiu; Kazimierz Myczkowski (pracownik biofermy), prof. WSR we Wrocławiu; Andrzej Nespiak (strzykacz), biolog, profesor, mykolog; Lesław Ogielski (kontroler bakteriol.), prof. WSR we Wrocławiu; Gustaw Poluszyński (karmiciel), biolog, prof. Uniwersytetu we Wrocławiu; Roman Repa (karmiciel), lekarz weter.; Adam Seniów (karmiciel), dr weter., prof. biologii AWF; Antoni Żebracki (kierownik biofermy), lekarz weter., serolog, naucz. akadem. WSR we Wrocławiu i prof. ART w Olsztynie.

JACEK KRÓLIŃSKI, ur. 1947 w Katowicach. W 1971 ukończył studia na Wydziale Weterynarii WSR we Wrocławiu, doktorat 1978. Odbił liczne staże naukowe krajowe i zagraniczne. Od 1974 pracownik naukowy uczelni i instytutów weterynaryjnych. Od 1980 adiunkt, prowadzi zajęcia dydaktyczne z lekarzami i słuchaczami uczelni oraz działalność naukową – dorobek liczy obecnie 112 prac. Redaktor naczelny Biuletynu Dolnośląskiego Instytutu Lek.-Weter. Interesuje się problematyką historyczną, w tym lwowskiego ośrodka naukowego weterynarii do II wojny światowej.

HELENA SKURSKA, ur. 1922 we Lwowie. Absolwentka szkoły SS. de Nôtre Dame. Po maturze, w czasie wojny, pracowała jako laborantka w Instytucie Immunologii im. Behringa przy ul. Zielonej we Lwowie. Studia farmakologiczne, rozpoczęte we Lwowie, ukończyła we Wrocławiu, 1948. Pracowała w Instytucie Immunologii i Terapii Doświadcz. we Wrocławiu oraz w laboratorium fabryki „Pollena”. Obecnie na emeryturze.

Alfred Senze

Z TAMTYCH LAT, Z TAM-

Według relacji radia londyńskiego, od lutego 1941 r. zaczyna się, a następnie nasila z dnia na dzień przetrwanie wszystkich rodzajów broni niemieckiej na granicę sowiecką. Zbliża się więc nieuchronnie zwanie obu kolosów i dojrzenia kryptonim planu „Barbarossa”. Niemcy żądają umożliwienia wybudowania autostrady do Królówca, wysuwając pod adresem ZSRR nowe terytorialne rozszczenia. Na ulicach Lwowa i podmiejskich szosach prowadzących w kierunku Przemysła pojawiają się duże ilości wojsk sowieckich różnych formacji. Także na lotnisku w Skniłowie uderza wzmożony ruch samolotów. Niektóre ciężarówko obładowane kobietami i dziećmi zdążają znowu w kierunku odwrotnym, do Tarnopola. Przeprowadzana zostaje dyskretna ewakuacja sowieckich rodzin.

Około godz. 4 rano dnia 22 VI '41 zabudzony zostaje bardzo silnymi detonacjami. Pierwsze kroki kieruję ku oknu i widzę wyraźnie kilka samolotów pikujących na lotnisko w Skniłowie, nad którym unoszą się gęste kłęby dymu. Odległość od mojego mieszkania do lotniska wynosi ok. 1,5 km, a do szosy ok. 1 km. Na niej nieprawdopodobny szum i warkot pojazdów mechanicznych. W ciągu pół godziny zjawiają się moi współlokatorzy, odsuwają mnie od okna, zabraniając wychodzenia z domu. Nieomal w ciągu kilku minut biegnącym pod willą, gdzie mieszkam (ul. Grochowska 28), torem kolejowym przejeżdża sowiecki pociąg pancerny. Z jego wozów wystrzelują całe serie z karabinów maszynowych, a kule rozszarpują dachówki, ramy okien i tynk. W sąsiedniej willi stojących w oknie gospodarza i jego syna zabijają na miejscu. Na okolicznych ulicach jest bezwzględna pustka. Trzeciego dnia raniem udaję się pieszo na uczelnię. Kilkakrotnie jestem kontrolowany przez sowieckich żołnierzy. Na terenie uczelni kręci się trochę żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym z hełmami na głowie. Przez dyrekto-

ra Instytutu zostajemy zawiadomieni o koniecznym zebraniu się wszystkich pracowników o godz. 11 w sali wykładowej Anatomii Patologicznej. Idziemy tam prawie wszyscy z wyjątkiem woźnych. Ścisk niesamowity tak w ławkach, jak i przejściach. Przy pulpicie dyr. Czinczenko, obok stoją Paszczenko i Czabotarew. Są wybitnie zdenerwowani. Nie dziwimy się, bo według relacji portiera Dyszcakowskiego, zostali wczesnym raniem przywiezieni autem wojskowym przez NKWD z okolic Tarnopola. Uciekali z całą masą cywili sowieckich. Czują się więc jak dezerterzy. Pod drzwiami sali wykładowej pilnuje nas wszystkich oraz ich NKWD. Zebranie zagaja Paszczenko, informując w krótkich słowach o zdradzieckim napadnięciu przez Niemców na ZSRR. Nawołuje do absolutnego spokoju i podjęcia normalnej pracy do czasu, w którym agresor nie spotka się z należytą odprawą przez niezwykniętą armię czerwoną. Po kilku zdaniach ilustrujących jej niezwyknięte boje wyuczyny oraz wyższości komunizmu nad kapitalizmem prosi o zabranie głosu przez kogoś z obecnych na sali. W tym momencie wszyscy wstają, kierując się ku wyjściu i podniesiona ręka chętnego do zabrania głosu doc. Parnesa nie zostaje zauważona. Zresztą sami dygnitarze sowieccy byli już poza salą.

Ta minutowa zwłoka ratuje życie wszystkim obecnym na tym zebraniu. Słyszając warkot zbliżających się samolotów zbiegam wraz z kilkoma uczestnikami zebrania, kryjąc się w podziemiu toalety Anatomii Patologicznej tego budynku. Inni uciekają do budynku Anatomii Opisowej, znajdującego się o 30 m dalej. Jedna z rzuconych bomb wybucha w sali, gdzie przed chwilą odbywało się zebranie, demolując ją wraz z sąsiednim pomieszczeniem. W sali zebrania pozostały jedynie szczątki sprzętaczki. My wszyscy uniknęliśmy nieprawdopodobnej masakry, ale nie obyło się bez ofiar. Pod da-

chem otwartego pomieszczenia, w podwórzu dla koni, rozpoznają zwłoki dr. R. Skurskiego. Naprzeciw na ławce parkowej, w pełnej jakby zadumie i zdziwieniu, znieruchomiła ciało dr. Augustyna. Ranni zostali: prof. Mikulaszek, dr Eliasiewicz oraz w brzuch jeden z wykładowców marksizmu i leninizmu. Przeniesiony przez nas i położony na stole prosektoryjnym w najbliższym sąsiedztwie Anatomii Opisowej, jęczał wołając: *Boh, pomyłuj (Boże, zmiłuj się)*. Schyleni zaś nad jego osobą sowieccy kompani odsunęli mnie od stołu mówiąc: *on jest nieprzytomny i nie wie co mówi*. Nie korygując ich wypowiedzi, odchodzę wiedząc, że jest całkiem przytomny, a obecnym chodziło wyłącznie o usunięcie świadka wzywania przez niego pomocy do Boga. Nie były to zresztą tego rodzaju odosobnione przypadki. Szwagier, który był dyżurnym ruchu na dworcu kolejowym Lwów-Kleparów, słyszał wyraźnie u ciężko rannych bojców sowieckich podobne prośby, kierowane pod adresem Stwórcy. Sprowadzone karetki pogotowia zabierają naszych rannych, a ja wracam do domu. W całym mieście na trasie powrotu wyraźne zamieszanie. Od czasu do czasu przejeżdżają ciężarówki wyładowane po brzegi żołnierzami z bronią skierowaną do ludzi idących chodnikami, jako zabezpieczenie przeciw jakiegokolwiek akcji z ich strony.

W porze nocnej widać wyraźne wybuchy, pożary i łuny nad miastem. Na Zamarstynowie pali się kompleks rafinerii Szprachera. Płoną także towarowe dworce kolejowe. W centrum dopalają się słynne „krakidały”, a przy ul. Kazimierzowskiej „brygidki”. Więzienne pomieszczenia zlane zostały przez pracowników NKWD benzyną, a potem podpalone dla zatarcia śladów zmasakrowanych, pomordowanych więźniów. Przeważnie byli to polscy męczennicy. Rankiem kolejnego, 2. lub 3. dnia, wracają do Lwowa pierwsze zmotoryzowane oddziały wojsk niemieckich na motocyklach i rozpoczyna się dalszy ciąg okupacji. Żołnierze robią masowo zdjęcia na terenie więzienia Łąckiego i w „brygidkach”. Przy ul. Łąckiego oprawcy bolszewicy nie zdążyli jeszcze spalić zwłok, stąd makabryczne widowisko zmasakrowanych ciał. Zdjęciom tym towarzyszy szloch ludzi usiłujących rozpoznać zwłoki najbliższych czy znajomych.

Na uczelni zmiany. Zniknęły chorągiewki sowieckie przy bramie głównej, zastąpione sino-żółtymi. Także studenci pełniący wartę przy tej bramie mają niebiesko-żółte opaski na przedramieniu. Przy tym wejściu zostają zatrzymani i dopiero po rozmowie wartowników z innymi studentami okupującymi portiernię zostają wpuszczony na teren uczelni. W tym pierwszym dniu świętowania Wolnej Ukrainy na uczelni nie wszyscy Polacy zostają do niej wpuszczeni. Zależało to od decyzji samowolnie wybranego komitetu kierowanego przez doc. Grzyckiego, a współpracującego z władzami niemieckimi, które zajęły Akademię.

Na terenie Kliniki Ortopedycznej jest niemiecka kuchnia polowa, chętnie rozdzielająca zupę. Kto z pracowników chce, może z niej korzystać. Jest oczywiście tylko przez dwa dni na terenie uczelni. Wszyscy pracownicy otrzymują także pół bochenka czarnego jak ziemia chleba dziennie. Studia zostają zawieszane, a nasze zajęcia ograniczają się tylko do obsługi pacjentów. Z wykładowców nie zostali wpuszczeni na teren uczelni: prof. Markowski i doc. Hamerski. Dowiadujemy się także o tragicznej śmierci asystenta Katedry Anatomii Patologicznej – dr. Rene Machalskiego.

Wymieniony zatrzymany zostaje niedaleko uczelni przez pierwsze wjeżdżające zmotoryzowane na motocyklach oddziały armii niemieckiej. Poproszony o dokumenty, w pierwszej kolejności podaje dowód sowiecki, potem polski i zupełnie nie proszony wyciąga własny dowód osobisty francuski. Siedzący na motocyklu żołnierz z półksiężycem żandarmerii każe mu się odwrócić i całą serią kul z ręcznego karabinu maszynowego powala go na chodnik. Ginie na miejscu. Drugi przykrywa ciało zmarłego rozłożoną gazetą i razem odjeżdżają. Potraktowano go jak szpiega. Takich ciał przykrytych gazetami w pierwszym dniu panowania nadludzi – tak na ul. Kochanowskiego, jak i innych we Lwowie – spotkać można było więcej. Żołnierze Ukraińskiej Dywizji „Nachti-gal” dostąpili przeciw wielkiego zaszczytu wracania do Lwowa wraz z żołnierzami niemieckimi. Różnili się tylko od żołnierzy niemieckich niebiesko-żółtymi naszywkami na naramiennikach. Niektórzy na głowie mieli nawet charakterystyczne tzw. siczówki (od Siczy). Pierwszymi ich ofiarami wy-

zwalania Ukrainy byli Żydzi i Polacy. Na ulicach pojawiają się już pierwsi Żydzi z białymi opaskami i gwiazdą Dawida. Masowo przychodzą do Akademii studenci różnych lat studiów z chęcią ich kontynuowania. Na ich temat ciągle brak jest wiadomości. Nie dziwimy się, bo Lwów znajduje się jeszcze w strefie przyfrontowej. Nie otrzymujemy także żadnego wynagrodzenia, przy uczelni trzymają nas tylko kartki reglamentacyjne na tłuszcz, cukier, chleb, mięso, mąkę i papierosy. Dzięki temu zlikwidowane zostają typowe dla czasów sowieckich kilometrowe kolejki. Dla ścisłości dodam, że czasem brak w sklepach wymienionych na kartkach towarów. Jako klinicysta nawiązuję ściślejszy kontakt z terenem, zwłaszcza z wsiami polskimi. Tak jak Sokolniki czy przedmieścia Pohulanka, Kleparów, pełne są krów, koni, świń i kur. Honorarium pobieram tylko w produktach spożywczych; między innymi duży, okrągły, wypiekany w piecu chleb aromatem swoim budzi u przechodniów zrozumiałe zainteresowanie. Od czasu do czasu w Rzeźni Miejskiej kupuję krew i poszerzam swoją specjalizację weterynaryjną o wyrób kaszanki i bulczanki. Nadają się do jedzenia, co potwierdzają przez długi czas żyjący domownicy.

Udział Nachtigalu i gestapo w pomordowaniu profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki i AMWet. we Lwowie był bezsporny. Zginęło wielu profesorów, w tym z naszej uczelni – prof. Hamerski. Ta masakra, jako wyraz typowej współpracy Ukraińców z gestapo, była świadomym aktem zniszczenia inteligencji polskiej z przygotowaniem miejsc dla wykładowców ukraińskich. Powtórzyła się więc akcja, tylko w nieco ostrzejszym wydaniu z dnia 6 XI 1939 r., kiedy to gestapo uwięziło 170 profesorów, docentów, asystentów oraz kilku studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zasilili oni obozy w Oświęcimiu, Mauthausen i inne, z których wielu już nigdy nie wróciło. Pamięć zaś uśmierconych lwowskich profesorów, wyrażona pomnikiem na terenie Politechniki Wrocławskiej z napisem *Nasz los przestroga*, jest zbyt skromnym dowodem strat, jakie poniosły krajowe wyższe uczelnie działalnością hitlerowską. W odniesieniu do podanego na pomniku napisu przez pewien czas tłumaczono jego treść wybitnie humorystycznie i złośliwie. Traktowano go jako przestrozę dla warto-

ści i intratności zawodu nauczyciela akademickiego w państwie komunistycznym. Miało tu na uwadze nie tylko sprawę wynagrodzeń, ale i traktowanie autonomii wyższych uczelni, których działalność podporządkowana była PZPR.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym czasie, kiedy dokonano masowej zbrodni na profesorach lwowskich, wracając raz z uczelni ulicą Kopernika, zderzam się prawie z tęgim policjantem niemieckim, idącym w towarzystwie kobiety. W policjancie poznaję dr. Franciszka Naumyka, a w kobiecie jedną z urzędniczek cukrowni w Kazimierzy Wielkiej. Dr Franciszek Naumyk był w Kazimierzy Wielkiej sejmikowym i rzeźniarzem lekarzem weterynarii. Był również moim przełożonym w czasie zwalczania pryszczycy w 1938 r. w powiecie pińczowskim. Jesteśmy wszyscy bardzo speszeni i po kilku zdaniach rozstajemy się. Wymieniony, podający się w okresie okupacji hitlerowskiej za Ukraińca, później zdezerterował z armii niemieckiej, pozostawiając swój mundur w toalecie dworca kolejowego w Krakowie. Uciekł potem wraz z wycofującą się armią niemiecką i po zakończeniu działań wojennych w Europie wyładował w USA, gdzie w Detroit urzędował jako rzeźniarz weterynaryczny. Prześladowuje mnie ciągle myśl, czy jego przyjazd do Lwowa w czasie masakry naszych profesorów był przypadkowy, czy też przybył on dla wzmocnienia lwowskiego gestapo. Z doniesienia podanego w „Medycynie Weterynaryjnej” wynika, że odwiedzającym go lekarzom weterynarii, uczestnikom wycieczki z Polski, podawał się jako narodowości polskiej.

ERRATA

W numerze CL 2/07, w dziale *Nowe książki* na s. 66 (po prawej u góry) nastąpiło zniekształcenie informacji o tytule książki i jej wydaniu. Pierwszy akapit powinien brzmieć następująco:

Z Redakcji (...) wpłynęło do nas kolejne wydawnictwo: książka Czesława Kuriaty pt. *Galop do Wielkiego Lasu. Wołanie Wołynia (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza...)*. A więc nie jej wydawnictwo i z pominięciem przyimka z (Wołynia).

Serdecznie przepraszamy.

Niezbyt jasna sytuacja Polaków na terenach zajętych przez Niemców wyjaśniona została z początkiem września 1941 r. Ukraińcy byli przekonani, że ziemie te oficjalnie im zostaną przyznane. Otrzymujemy zaproszenie na Uniwersytet Jana Kazimierza. Według programu zebrania, specjalny wysłannik Hitlera i gubernatora Franka przedstawić ma specjalny dekret dotyczący tych ziem. Mając na uwadze aresztowanie pracowników naukowych Uniwersytetu Jagiellońskiego, zastanawiamy się, co z tym fantem robić. Czy nie jest to przypadkiem powtórka łapanki krakowskiej? Zaproszenie to traktujemy chytrze. Ukraińcy idą chętnie, mając na uwadze swój interes oraz czując się względnie bezpieczniejsi. Ja z Cisowskim (Strońc) dołączamy do grupy Rusinów z Zajcem i Sawczukiem na czele. Dookoła Uniwersytetu oraz w pobliskim parku brak policyjnych i wojskowych aut. Także w uniwersyteckich pomieszczeniach, holu, korytarzu, brak żołnierzy i policji mundurowej. Z biciem serca wchodzimy do Uniwersytetu, zajmując miejsca w głównej auli. W tym tłumie trudno odróżnić Ukraińców od Polaków. Jak wezmą, to wszystkich razem.

Referującym jest prof. Koch z Berlina. Witając bardzo uprzejmie zebranych, w swoim krótkim referacie nawiązuje do chlubnych staroniemieckich tradycji tych ziem. Mówi o Galicji i Lodomerii, w której do dzisiaj zamieszkują osadnicy pochodzenia niemieckiego. Ziemie te nigdy nie należały do Ukrainy i zostały bezprawnie do niej włączone. Ukraińcy muszą pomóc armii niemieckiej w zdobyciu znajdującej się jeszcze we władaniu Sowietów ich ziem. Przypomina, że w okresie sowietyzacji ich ziem i tworzenia kolchozów zginęło około 8 milionów ich ukraińskich przodków. Obecnie czekają na wyzwolenie.

Ażeby zaś rozwiązać jakiegokolwiek wątpliwości, odczytuje dekret podpisany przez Hitlera i gubernatora Franka o włączeniu tych ziem do Generalnej Guberni, obejmującej dawne ziemie Polski. Granicą rozdzielającą Niemcy od Ukrainy jest dawna granica Polski oparta o rzekę Zbrucz. Z wyjątkiem Żydów, Polacy, Ukraińcy, Rusini, Niemcy i innej narodowości mieszkańcy nabywają od tej chwili wszystkich praw zastrzeżonych równouprawnieniem. Nieprzestrzeganie tego dekretu będzie surowo i bezwzględnie ka-

rane przez sąd wojskowy do czasu objęcia sądownictwa przez administrację niemiecką. Sawczuk delikatnie ściska mi moją dłoń, gratulując sukcesu. Jest mi wprawdzie lżej na sercu, ale zdaję sobie dokładnie sprawę z przewrotności tego dekretu, który bynajmniej nie chroni Polaków od dalszych represji. Ukraińcy wracają wściekły osobną grupą, udając się wszyscy natychmiast do komisarycznego przedstawiciela uczelni – prof. Grzyckiego. Od tej chwili ich wrogi do nas stosunek jeszcze bardziej się nasila. Z wyjątkiem prof. Grzyckiego rozmawiają wyłącznie po ukraińsku.

Wprawdzie dotąd nie ma najmniejszych oznak rozpoczęcia studiów, ale otrzymane w złotówkach zaliczki oraz chwilowy przyjazd kilku niemieckich profesorów urzędujących w rektoracie stwarza nadzieję na ich rozpoczęcie. Czynne są tylko kliniki. Asystenci zakładów teoretycznych po cichu handlują, a oficjalnie karmią własną krwią wszy w specjalnych klatkach przyczepianych na nogi lub ręce. Służą one do wyrobu szczepionki przeciwko tyfusowi brzuszemu według metody lwowskiego profesora Weigla. Jest nawet i taki cwaniak, który mimo że jest studentem, nawiązuje kontakt z firmą Bayer i korzystając z bezpłatnych lekarstw, szeroko uprawia praktykę na małych zwierzętach. Ten chory megaloman posługiwał się nawet później tytułem profesora, mimo że go jeszcze nie posiadał. Przez większość był podejrzewany o kolaborację z Niemcami.

W kwietniu 1942 r. przylatuje wreszcie pierwsza jaskółka, informująca o możliwości otwarcia studiów. Przyjeżdża prof. Miesner z Hanoweru i dostajemy pierwsze wynagrodzenia. Są one głodowej wysokości, ale liczą się ciągle przede wszystkim kartki żywnościowe. Rzecz zastanawiająca, że prof. Miesner rozmawia osobno z każdym Polakiem, unikając wyraźnie prowadzenia rozmowy z Ukraińcami. Z tych ostatnich utrzymuje tylko żywy kontakt z prof. Grzyckim. W rozmowie natomiast z Polakami wyraża dość często uszczypliwe i krytyczne uwagi pod ich adresem. Jesteśmy ostrożni i uprzedzamy każdego z Polaków, który jest proszony na rozmowę z nim. Jest krótko, podobnie jak i prof. Schaaf, przeniesiony na dyrektora Veterinaramtu do Krakowa. Dekret o kreowaniu studiów przywozi kolej-

dokończenie na s. 48

Marcin Hałas***Jesień chwyta za gardło***

*Obce flagi
na murach znajomych,
jesień chwyta za gardło
we Lwowie.*

*Inna mowa,
inne cerkwie w kościołach,
inne pomniki na miejscu
osieroconych.*

*Co mamy robić,
jakie wiersze napisać,
Lwowski Panie Jezu Frasobliwy.*

Bytom, 1991

Bogdan S. Kasprovicz***Drugie pokolenie***

*Wy szczęśliwi
wam w Bytomiu
Gliwicach Wrocławiu
piszą na nagrobkach
urodzony we Lwowie
Stanisławowie
Drohobyczu
uszlachetniając najskromniejsze
blaszane tabliczki
drewniane krzyże...*

*My
z marzeń ulepieni
i snów
nie naszych
znikąd mierzymy
donikąd
obcy wszędzie
bezdumni
choć zamieszkali...*

*My
rzeczywistość słów
tylko znający
i pamięć
co też nie nasza
jednak
w sztandary Hemara
w Miasto Herberta
w pociągi Zagajewskiego
wierzymy
wierzymy
wierzymy...*

Bytom, 2005

Marcin Hałas*** * ***

*Drużyna lwowskiej „Pogoni”
tuż przed rozpoczęciem meczu:
Albański, Jeżewski, Lemiszko... –
mój dziadek gardło zdierał
na trybunach stadionu
przy Stryjskiej.*

*Tym samym głosem krzyczał ojciec
– daleko od Lwowa, w Bytomiu,
gdzie w barwach „Polonii”
wybiegał na murawę
Łyczaków, Zamarstynów, Kleparów.*

*Tych, których na polu karnym przeciwnika
nikt nie mógł przechytryć – wykiwała
historia.*

Zostali na spalonym.

*Ale przecież staną jeszcze razem
w szeregu,
patrząc słońcu w twarz, z polskim orłem
na piersiach, kiedy gdzieś w górze
Niebieski Sędzia odgwiżdże
znowu zwycięstwo dla Lwowa.*

1995

Lesław Nowara***Dom na kolanach***

*Moja matka opowiada dom
jej słowa
układają podłogę pod osmolone ściany
naciągają na głowę drewniany strop
nad rodzinnym Samborem
rozpinają czarne od samolotów niebo*

*drewniany dom
ciężki od zapachu siana
kłęka
i modli się do ziemi*

*pod otwarte okno
podkradają się ukraińskie łodzie
ich wiosła kruszą Dniestr jak szkło
z wszystkich okien powoli wyciekają
szyby*

*Moja matka opowiada dom
stary dom
zburzony
do ostatniego słowa.*

Franciszek Jaworski

Wały Hetmańskie

Niniejsze opowiadanie zaczerpnięliśmy z książki pt. „Lwów stary i wczorajszy” (Lwów 1910).

[...] Są Wały Hetmańskie i wielkie, i ładne, i imponujące do tego stopnia, że nikt by nie pomyślał, że przed niecałymi stu laty spacerowała sobie tędy koza Mechla Arona, że krowy szczypały tutaj trawę i obskubywały liście z drzew, a już wcale nieprawdopodobnym się wyda, aby ktoś mógł sobie tutaj rozpiąć sznur od drzewa do drzewa, a na tym sznurze suszyć mokre koszule i inne sekretne części ludzkiej garderoby.

A jednak koza Mechla Arona jest faktem historycznym i krowy pasące się, i bielizna jednego z obywateli lwowskich. Magistracko-austriacki *Bauamt* przy końcu osiemnastego wieku ciągle się spotykał z takimi niespodziankami, urządzanymi mu przez patriarchalne zwyczaje obywateli lwowskich, a chociaż praszczurowie dzisiejszych dygnitarzy podatkowych umieli już wyzyskać tego rodzaju fakty dla celów fiskalnych, okładając właścicieli kóz, krow i mokrej bielizny karami „konwencjonalnymi”, to przecież zdarzały się i takie fakty, które mogły być co najwyżej tylko zanotowane w protokole. Do tych należy tradycyjna złośliwość pauprów lwowskich, którzy ze świeżo urządzonych i splantowanych Wałów wyrwali z korzeniem dopiero co zasadzone i z Zimnej Wody sprowadzone drzewa, burzyli nocami ławki kamienne, niszczyli trawniki i w inny jeszcze sposób zanieczyszczali „Haupt-promenade”, jedyne *rendez vous* eleganckiego Lwowa przy końcu wieku osiemnastego.

Około roku 1776 rozpoczęto na gruzach dawnych fortyfikacji miejskich urządzać miejsce spacerowe, dzisiejsze Hetmańskie Wały, i w ten sposób zniszczono krajobraz, który przez kilka wieków dumą nappełniał serce lwowianina. Wał miejski – wysoki, obronny, odgraniczony z jednej strony czystym jeszcze naoczas strumieniem Pełtwi, a z drugiej strony od ulicy Hetmań-

skiej fosą miejską. Za nią mur warowny, przerwany w jednym tylko miejscu, gdzieś na linii głównego wchodu do Dyrekcji Skarbowej furta jezuicką z kopulastym szczytem, a od niej most zwodzony, prowadzący ku jezuickiemu folwarkowi, na błota i łąki zaścielające obecną

ulicę Jagiellońską i staw na miejscu, gdzie dzisiejszy pasaż Hausmana. Był bowiem krajobraz w okolicach Wałów Hetmańskich zgoła różny od dzisiejszej pryncypalności ulic Karola Ludwika, Jagiellońskiej, Kopernika, Sykstuskiej, placu Mariackiego. Już w roku 1840 pewien „gość z prowincji”, przyjechawszy po 60 latach na nowo do Lwowa, dziwił się bardzo ogromowi kamienic Hausnera, Penthera, Dreznera, Hofmana, które pokrywały plac Mariacki od dzisiejszego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego po hotel Żorża. Wielka część tych kamienic przeobraziła się dziś w prawdziwie wielkomiejskie gmachy. Około zaś roku 1780 na całej ulicy Karola Ludwika „nic innego nie było tylko bagna i trzęsawiska. Kilka domków rozrzuconych tu i ówdzie na ulicy Jezuickiej (dziś Jagiellońska), dwa domki na Sykstuskiej, a jak cała Szeroka ulica (dziś Kopernika) – wszystko było błotniste, same moczary, trzęsawiska zarosłe trzciną – tam na kaczki wyśmienicie polowano”.

Most prowadzący na folwark jezuicki, czyli do dzisiejszego Ogrodu Pojezuickiego, bywał wielokrotnie przyczyną niemiłych wypadków. Raz panny lwowskie, wystrojone z bajecznym przepychem i śpieszące na uroczystość obłóczyn pewnej swojej koleżanki w klasztorze Marii Magdaleny, załamały się tutaj, spadły do Pełtwi i musiały wrócić do domu „z większym wstydem niż bólem”. Bywało także, że w czasie trwogi wojennej most się łamał pod napo-



Wały Hetmańskie w czasach przedrozbiorowych. W obrębie murów widoczne (prawdopodobnie) wieża kościoła Jezuitów i kościółek św. Ducha



rem chroniących się do miasta, a furta jezuitska zapchana tłumem gnany paniką, z trudnością przed wrogiem zamknąć się dawała.

Rząd austriacki użył rumowiska z murów miejskich do częściowego usypania fosy i wyrównania terenu pod przyszłą promenadę. Była zaś ta promenada początkowo podobna zupełnie do wału wzniesionego na przeszło 4 stopy ponad okoliczny poziom. Na tym wzniesieniu zasadzono aleję drzewną, lecz korzystanie z przechadzki po niej było o tyle utrudnione, iż w wale znajdowało się kilka przerw, niepokrytych pomostem, a służących do przepędu bydła. Dwie śluzy u wylotu ulicy Akademickiej i Karola Ludwika utrzymywały wodę w odpowiedniej wysokości,

Później fosę od strony ulicy Hetmańskiej zasypano, a na samych wałach stanęły rzędem kioski z lemoniadą, które przerodziły się później w „budki sodowe” znajdujące się dziś jedynie w szczątkowych okazach na Wałach Gubernatorskich. Pawilon letni cukierni Wolfa był punktem zbornym złotej młodzieży, a drewniane szalety kawiarniane były targowicą interesów, na których określenie dziennikarstwo dzisiejsze używa terminu „handel żywym towarem”. Jeżeli mamy wierzyć takiemu na przykład Kratterowi, który przy końcu osiemnastego wieku wrażenia swoje lwowskie i galicyjskie spisał w dwu tomach, to handel ten, dzisiaj tak słusznie tępiony, znajdował się wówczas we Lwowie w pełnym rozkwicie, cieszył się protekcją ówczesnego dyrektora policji, a cnota niewieścia należała wtedy do największych i wyjątkowych rzadkości.

Ze względu jednak na to, że szalety owe kawiarniane należą już do przeszłości, nie warto rozpisywać się i o cnotcie niewieściej, na którą one były tak bardzo zażarte, wspo-

mniej jednak wypada o tej publiczności, która nad niewonnym brzegiem Pełtwi szukała świeżego powietrza i wytchnienia, a znachodziła ponadto bardzo dogodny teren do wzajemnych obserwacji, do krytycznych uwag i flirtu. Wspomiany już wyżej szlagon z prowincji tak opisuje to pierwsze pokolenie lwowian, które zalegało Wały Hetmańskie przy końcu osiemnastego wieku:

„Wtenczas panie chodziły w kusych i opiętych szlafrokach, wygorsowane jak na kulik, mając fryzury na głowie jakby pudła, a na onych fryzurach pełno kwiatów, jak na jakiej mogile, pod którą parę szkieletów ludzkich spoczywało. A to było *a la mode!* Gdybyś mopanku widział staniki aż na plecach, suknię u dołu ze szlarkami, trzewiki żółte lub czerwone, albo lilila, z różą na środku, rękawiczki poza łokcie, pończoszkowej roboty *a la dziur* – tak ci zabawne jak lalki w katarynce. – Chłopcy zaczęli się przebierać z francuska, nosili kamizelki po kolana, fraczki do połowy piersi i wążutki ogonek, jakby na opędzenie much, a stanik prawie na środku pleców, fryzury dziwaczne i kapelusze z wielkimi kryzami, lecz chociaż słońce świeciło – zawsze pod pachą, noszone. W takiej gali zdybywałem ich w dniu świąteczne na Wałach lub po Rynku spacerujących, starzy tylko nosili kapoty i kontusze. Żydów zaś widziałeś wszędy co niemiara, a wszyscy jakby kruki czarne, w racimorowych kapotach, z wierzchu mantel, nie przymierzając z długimi rękawami, Żydówki nosiły złotem naszywane napierśniki i bogate bindy na głowie, ubierały się w szuby lub jupki jedwabne, wyszyte różnymi kwiatami, a tak to jest mi dziś śmieszne, jak gdybym się patrzył na komediantów”.

I śmiałyby się zapewne nasz pocziwy szlagon jeszcze bardziej, gdyby mu było dane

doczekać krynoliny, która w pękatych swych kształtach przez długie lata królowała na Wałach Hetmańskich, lub też dzisiejszych olbrzymich kapeluszy.

Aż do szóstego dziesiątka lat ubiegłego stulecia stanowiły Wały Hetmańskie *rendez vous* dla eleganckiego świata lwowskiego, który wyparty stąd został dopiero przez tak zwaną „czarną giełdę”, co na długie lata stała się klątwą tego miejsca. Już w r. 1874 biadał korespondent warszawskich „Kłosów”: „Wały, zwłaszcza w części przytykającej do placu Mariackiego, stały się targowicą giełdową, rojącą się grupami finansistów wyznania mojżeszowego, które tu całe dnie przepędzają w oczekiwaniu na telegramy giełdowe, oddani załatwianiu operacji finansowych. Wszelkie protesty i usiłowania, aby oczyścić przechadzkę publiczną z tego natłoku, tamującego cyrkulację, były bezskuteczne. Forowana wielokrotnie rozkazami władzy policyjnej giełda uliczna powraca tutaj zawsze, drepcąc z wolną w jednym kółku, aby tym sposobem wyłamać się pozornie spod zakazu tamowania przejścia publicznego nieruchomym pozostawianiem w miejscu. Tak tedy najpiękniejsza część Wałów od świtu do późnego wieczora jest prawie nie do przebycia”.

Czarne chałaty żydowskie zabarwiały Wały Hetmańskie na charakterystyczny kolor ziemi obiecanej. Na straży krzykliwych giełdziarzy stał posąg świętego Michała, starożytne, przepiękne dzieło odlewnictwa lwowskiego, zniszczone tutaj ze szczytu arsenału królewskiego obok Dominikanów. Święty Michał przechodził

na Wałach najczarniejsze chwile swego istnienia, gdyż złodzieje lwowscy skradli mu nawet skrzydła złożone, a zabójcza woń Pełtwi do tego stopnia odebrała mu wrażliwość, że pozostał nieczuły nawet na inwokację lwowskiego wieszczka który na widok „czarnej giełdy” wołał w natchnieniu:

Ty potężny, wielki Michale,
Co z łaski ojców na piedestale
Stoisz, uczynj prosimy, cud,
Rozpędź Twą dziadą Izraela lud!

Dopiero zamurowanie Pełtwi, wycięcie starych drzew i nadanie Wałom nowożytnego wielkomięskiego wyglądu rozproszyło „czarną giełdę”. Po raz ostatni można było widzieć ten obrazek z niedawnej przeszłości Lwowa wtenczas, gdy „czarna sobota” na giełdzie wiedeńskiej doprowadziła do ruiny wielu spekulantów i graczy lwowskich. Wówczas na Wałach Hetmańskich rozgrywały się dantejskie sceny rozpacz, z akompaniamentem wydzierania sobie włosów z brody i głowy i piekielnego krzyku.

W ostatnich czasach, dzięki wzmocnieniu ruchowi tramwajowemu, zatraciły Wały Hetmańskie prawie zupełnie charakter miejsca spacerowego. Powydzierano z nich całe szmaty dla przepuszczenia linii elektrycznych, a te, rozbiegłszy się na wszystkie strony, dzwonią, skrzypią, piszczą piekielną wrzawą wielkiego miasta, które w tym miejscu jest naprawdę wielkie, imponujące, a poczyna być czteropiętrowe, nocami jasne jak w dzień i ludzkiego pełne mrowiska.



Wały Hetmańskie na przełomie XIX i XX w. Na pierwszym planie tramwaj konny

Z tamtych lat, z tamtych dni (3)

dokończenie ze s. 43

ny dyrektor prof. Habersang. Otrzymujemy także nową nazwę uczelni: Tierarztliche Fachkurse, która degraduje AMWet. jedną z najstarszych uczelni w Europie, ze zmienionym programem nauczania. Duże różnice – oparte na systemie obowiązującym w Niemczech – dotyczą przede wszystkim przedmiotów klinicznych. Duża Interna obejmuje tylko choroby koni. Klinika Bydła (Rinderklinik) reprezentuje propedeutykę chorób bydła, wszystkie choroby bydła łącznie z raciami, chirurgią, okulistyką, położnictwem oraz po raz pierwszy w tym przedmiocie ujętym sztucznym unasienianiem. Jest to więc najsilniej rozbudowana katedra w tym czasie. Jej kierownikiem mianowany zostaje doc. Moraw z asystentami (Senze, Kłymkiw, Uhrny i Sawczuk). Na Internie Koni kierownikiem zostaje Łopatyński (Ukrainiec) z Wydziału Weterynaryjnego Uniwersytetu Warszawskiego, znakomity znawca koni. Również z Warszawy przyjeżdża prof. Andrijewski (Ukrainiec) i prowadzi Katedrę Chorób Zakaźnych. Jedyнным niemieckim wykładowcą w tym okresie jest prof. Sedelmayer, specjalista w zakresie higieny i chorób wymienia, kierujący Katedrą Środków Spożywczych.

Prof. Trawiński ukrywa się. Prof. Szczudłowski prowadzi tylko Chirurgię Koni wraz z Okulistyką oraz Ortopedię. Pewną nowością była tzw. klinika wyjazdowa (Ausenklinik), w której asystenci zabierali studentów do ciekawszych przypadków w terenie. Program pozostałych katedr na uczelni był bez zmian. W sumie studia były nieco krótsze. Rok studiów trwał 12 miesięcy i był podzielony na dwa semestry. Lipiec przeznaczony był na wakacje. W sumie w dziewięciu semestrach skomasowano egzaminy i kolokwia z I, II i III roku oraz egzaminy i kolokwia z trzech egzaminów dyplomowych IV i semestr V roku. Do dodatkowych, ale i obowiązkowych przedmiotów należały: lektorat z języka niemieckiego, prowadzony przez dr. Konstantego Dębrowskiego, Weterynaria Sądowa (prof. Zakrzewski i doc. Żuliński) oraz Ustawodawstwo Weterynaryjne prowadzone przez wojewódzkiego lekarza weterynarii, którego nazwiska nie pamiętam.

Tak więc mimo nazwy Tierarztliche Fachkurse poziom nauczania był wysoki, a ciekawsze przypadki demonstrowano także niemieckiej służbie weterynaryjnej. Dotyczyło to szczególnie jednego z nich w okresie prowadzonych już przeze mnie wszystkich zajęć na Rinder Klinik. Wobec śmiertelnej choroby docenta Morawa mnie powierzono wykłady i ćwiczenia z położnictwa, sztucznego unasieniania oraz propedeutyki chorób wewnętrznych bydła. Dużą Internę Bydła prowadził od tego czasu prof. Łopatyński. U jednej z krów, doprowadzonej do naszej kliniki z wywiadem nimfomanii, podanym przez właściciela w trakcie przeprowadzanego przeze mnie badania narządu rodowego, krowa zerwała się z uwięzi i gwałtownym galopem uciekła w kierunku Anatomii Opisowej Zwierząt. Tam zaczęła atakować rosnące przed budynkiem wysokie topole. Potwierdziło się natychmiast stwierdzone podejrzenie o wściekliznę i ponad tydzień była ona odwiedzana i filmowana przez niemieckich weterynarzy.

Studentów na studiach mamy obu płci. Zgłaszają się także z Wydziału Weterynarii w Warszawie: Brykałski, Jabłoński, Kamińska (później docent, kier. Zakładu WZHW w Opolu). Przy przyjęciu na studia obowiązywało posiadanie świadectwa dojrzałości. Są tu jednak wyjątki. W ramach działania AK istnieje konieczność wydania kilku zaświadczeń studenckich osobom nie będącym studentami z fałszywymi dowodami osobistymi. Przeważnie chodziło o zdekonspirowanych żołnierzy AK w centralnej Polsce i tam już poszukiwanych przez gestapo. Tutaj byli nowymi, potrzebnymi ludźmi, wykorzystywanymi do dalszych swoich powinności. Ponieważ sam włączony byłem do tych manipulacji, w których uczestniczyli także – z rektoratu – „Siwy” i „Królik”, mogę kategorycznie stwierdzić, że po skończonych działaniach wojennych żaden z nich nie nadużywał tego zaświadczenia. Na siedmiu posiadających takie zaświadczenie czterech zginęło w różnych wojskowych akcjach. Dzięki takim kontaktom także jeden z naszych profesorów otrzymał fałszywe dowody osobiste dla żony i dzieci niearyjskiego pochodzenia. Pozwoliło to im przetrwać wojnę w innym miejscu zamieszkania.

Ciąg dalszy w następnym numerze

Romana Link-Machowska, Ewa Brodzisz-Śliwicka

Wspominamy Martę

Już wkrótce minie półtora roku, gdy nagle odeszła od nas Marta Woźniak, artystka scen polskich, lwowianka aktywnie oddana sprawom polskiego Lwowa, autorka wielu artykułów w naszym kwartalniku i jego wierna czytelniczka.

Urodziła się we Lwowie na Łyczakowie w 1937 roku. Babką jej była Helena, z domu Sowińska, herbu Nałęcz, a dziadkiem Karol Skoleg, absolwent Politechniki Lwowskiej na wydzia-



le kolejowym. Po wybudowaniu kilku obiektów kolejowych w Galicji kupił w Zadwórzcu niewielki majątek i zamieszkał tam wraz z rodziną. Nadal pracował w kolejnictwie. Zmarł w 1927 roku, pozostawiając pod opieką babkę i trójkę małoletnich dzieci zaprzyjaźnionemu z rodziną Rusinowi Stefanowi Fiodowowi. Po latach, już w czasie okupacji niemieckiej, został on mężem babki, aby uchronić ją przed narastającą agresją ukraińską. Ojciec Marty, Karol Woźniak, po ukończeniu Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego, gdzie był znanym działaczem Bratniej Pomocy, pracował w Spółce Naftowej „Małopolska”. Po wybuchu wojny w 1939 roku jako oficer rezerwy przeszedł całą kampanię wrześniową. Po zakończeniu działań wojennych, gdy usiłował przedostać się na Węgry, został ujęty przez NKWD i wywieziony na wschód. Wiele lat po wojnie trwały bezowocne poszukiwania i dopiero 1994 r. okazało się, że został zamordowany w 1940 r. w Bykowni na Ukrainie. Matka w czasie wojny była czyn-

ną działaczką w Armii Krajowej, a mała wówczas Marta często stawała się kurierem przynoszącym pod ubraniem podziemne gazetki.

Naukę w szkole powszechnej rozpoczęła jeszcze we Lwowie w 1943 roku. W Wielkim Tygodniu 1944 roku Ukraińcy zamordowali w Zadwórzcu babkę Marty, pochowaną później na Cmentarzu Łyczakowskim. Niedługo potem (czerwiec 1944) Fiodow, a także matka z Martą i wujkiem Kaziem, obawiając się zemsty Ukraińców, wyjechali pociągiem do Bochni, gdzie Stefan miał rodzinę.

Przed Bochnią w czasie postoju na stacji Babica Fiodow został wywołany z pociągu i skrytobójczo zamordowany. Matka z Martą zatrzymały się w tej wsi do czasu wejścia wojsk sowieckich (sierpień 1944). Do Lwowa wracały przez Przemyśl w dramatycznych warunkach, korzystając z okazjnych samochodów ciężarowych i nocując w rozmaitych domach, a często po prostu z konieczności w rowie przydrożnym. Był to sierpień 1944 roku.

W 1945 r. późną jesienią, gdy Marta chodziła już do drugiej klasy, trzeba było podjąć decyzję, czy zostać we Lwowie i być obywatelem ZSRR, czy wyjechać do „nowej” Polski. Po przeszło dwutygodniowej podróży w wagonie towarowym znalazły się ostatecznie w Zielonej Górze i tu mała dziewczynka ze Lwowa rozpoczęła nowe życie.

Szkoła i pierwsze w życiu przedstawienie teatralne. Były to *Grube ryby* Michała Bałuckiego z Ludwikiem Solskim w głównej roli. Marta w imieniu szkoły witała Mistrza na Rynku miasta i ta mała dziewczynka nawet nie przeczuwała wtedy, że ów pierwszy kontakt z teatrem przerodzi się w jej całe życie, że drzemie w niej utalentowana aktorka. Być może, że spotkanie po jakimś czasie z lwowianką Barbarą Bittnerówną – tancerką, i Feliksem Parnellem – choreografem, spowodowało, że zaczęła myśleć o tańcu i teatrze jako swojej przyszłości. Zaczęła się uczyć muzyki w szkole muzycznej, ale wkrótce – w 1947 roku – wyjechała do Chelma, następnie do Przemyśla, by wreszcie w 1952 roku osiąść na stałe w Warszawie, gdzie w Liceum Ogólnokształcącym im. Sowińskiego otrzymała świadectwo maturalne.

Warszawa to było już dorosłe życie Marty. Zdecydowana na aktorstwo, rozpoczęła studia w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, którą ukończyła w 1959 roku. Już podczas studiów dostrzeżono jej talent, czego dowodem są bardzo pochlebne recenzje z przedstawień granych przez studentów. Po ukończeniu studiów rozpoczęła występy. Grała aż w jedenastu teatrach. Olsztyn, Bydgoszcz, Koszalin, Kraków, Toruń, Zielona Góra, Płock – to tylko niektóre z miast, w których występowała. Była wolnym ptakiem, dusiła się w jednym miejscu, stąd te zmiany, ale wszędzie doceniano jej talent i zawsze była bardzo chętnie angażowana. Powierzano jej ciekawe i ważne role, a ona wcielała się w te sceniczne postacie, stwarzając niezapomniane kreacje.

W wywiadach, których udzielała, mówiła, że najbardziej odpowiadają jej role dramatyczne, chociaż bardzo lubi muzykę i śpiew i ma zamiar, gdy jej czas pozwoli, kontynuować studia muzyczne.

Jednym z jej aktorskich osiągnięć był monodram *O co my tak walczyliśmy*, oparty na utworach poetyckich Słowackiego, Norwida, Wyspiańskiego i Słonimskiego, który wykonała na scenie Teatru Lubuskiego w Zielonej Górze, według własnego wyboru i układu tekstu. Data wystawienia monodramu – rok 1981 – była, w zamierzeniach Marty, nawiązaniem do roku 1918, kiedy to Polska odzyskała niepodległość. Monodram został bardzo wysoko oceniony przez recenzentów.

Do Lwowa, po raz pierwszy po wojnie, pojechała w 1990 roku. Szok, jakiego doznała, ona, Polka, urodzona w tym mieście, na widok miasta, z którego Ukraińcy za wszelką cenę chcą wymazać z pamięci świata wielowiekową polskość, spowodował, że zajęła się przywracaniem tej pamięci. Zaczęła pisać. Pisała artykuły o swoich pobytach we Lwowie, zawsze opatrzone znakomitą komentarzem. W artykułach tych,

które ukazywały się w polskich gazetach, podkreślała polskość Lwowa i w jaki sposób Ukraińcy starają się zawłaszczyć to, co Polacy byli zmuszeni tam pozostawić. Pisała wzruszająco, z wielkim sercem o mieście, w którym przecież tak krótko mieszkała. Taki między innymi był artykuł pod tytułem *Wierzę w Lwów*, zamieszczony w „Naszym Dzienniku” (1998). Pisała też do kwartalnika „Cracovia–Leopolis” gdzie między innymi ukazał się w 2003 r. artykuł pod tytułem *Jawi się jako wzorzec*, a w 2004 roku *Odnalazłam Skiza*.

Przez ostatni rok swego życia kończyła i przygotowywała do wydania zbiór reportaży z podróży do Lwowa w latach 1990–2000 pt. *Pracuję reportaże*. W 2005 r. w lecie złożyła je do druku. Niestety nie zdążyła już doprowadzić do ich wydania.

Marta, jako osoba bardzo religijna, była silnie związana z pielgrzymkami Jana Pawła II. Uczestniczyła w pielgrzymkach papieża Polaka w Polsce, na Słowacji, we Lwowie oraz na Ukrainie w Kijowie. W 1997 r. w Krośnie, podczas kanonizacji Jana z Dukli, obecność licznej grupy wiernych ze Lwowa obrządku łacińskiego i unickiego nasunęła Marcie myśl, aby zbliżając się 350. rocznicę Ślubów króla Jana Kazimierza w Katedrze lwowskiej połączyć z przypomnieniem i przybliżeniem postaci św. Jana z Dukli, patrona Lwowa i Europy. Wszak życie i duszpasterska działalność tego Świętego we Lwowie przywołuje wartość tego miasta i jego religijno-cywilizacyjną misję w dziejach Drugiej Rzeczypospolitej.

Marzeniem Marty Woźniak, które tylko w części zostało zrealizowane, było organizowanie wystaw o Lwowie. Wystaw, które można by było pokazywać w różnych miastach Polski, a także w samym Lwowie. Udało się jej zorganizować jedną pod tytułem *Teatr we Lwowie przez dwa wieki* z okazji upływających dwustu lat od daty założenia w 1794 roku przez Wojciecha Bogusławskiego, „ojca teatru polskiego”, pierwszego, stałego teatru polskiego we Lwowie. Pierwszy wystawę zobaczył Płock, gdzie wówczas występowała. Po Płocku Przemysł, a właściwa premiera odbyła się w Krakowie w maju 1994 w Śródmiejskim Ośrodku Kultury. Można śmiało użyć słowa „premiera” – wszak twórczyni tej wystawy była aktorką. W czasie trwania wystawy Zakład Teatru UJ, kierowany przez prof.



Kuzyn Marty Woźniak – Jan Matuszek (z gołą głową) w swoim majątku k. Lwowa, obok rządca i chłopci z majątku

Jana Michalika, zorganizował tam małą „sesję teatralną”. Swoją pracę nad tą wystawą i o kontaktach podczas pracy z aktorami pochodzącymi ze Lwowa bardzo ciekawie opisała właśnie w kwartalniku „Cracovia–Leopolis”.

Jeszcze jedną jej aktywnością, której bez reszty się oddała, było opracowanie programu uroczystości w setną rocznicę (kwiecień 2001) urodzin Mariana Hemara. Program uroczystości miał obejmować: międzynarodową sesję popularno-naukową, wystawę książek i publikacji – z bogatego i różnorodnego dorobku Mariana Hemara, spektakle teatralne Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie i ewentualnie Teatru „Ateneum” z Warszawy, wmurowanie tablicy pamiątkowej. Niestety, brak funduszy nie pozwolił na realizację tej pracy. Program został zrealizowany we wrześniu 2001 r. w znacznie skromniejszej wersji, tylko siłami aktorskimi we Lwowie, bez wystawy. Również wykonanej już tablicy nie udało się wmurować w ścianę domu, w którym Hemar się urodził. A jej się marzyło, że ta uroczystość będzie realizowana we Lwowie nie tylko siłami aktorskimi lwowskiego teatru, ale również przez aktorów z teatru „Ateneum” z Warszawy. Opracowała też scenariusz spektaklu z piosenkami i wierszami Hemara.

Gdy trzeba było, Marta stawała się też korespondentką. W 2004 r., w czwartym numerze kwartalnika „Cracovia–Leopolis” napisała wspaniałą recenzję z występu wrocławskiego Kabaretu „Kalambur”, który odbył się w Leśnej Podkowie w domu Iwaszkiewiczów na Stawiskach. Młodzi aktorzy wykonywali skecze i fragmenty z „Lwowskiej Fali”, utrzymując wdzięk, rytm i klimat Lwowskiego Radia, który tak ujął słuchaczy w całej międzywojennej Polsce.

W swojej recenzji Marta podkreśliła, że w występie wrocławian było to, o co walczyła. A walczyła o to, by polskość Lwowa nie była przez młodych zapomniana i aby pamiętano, że ukraińskie zespoły muzyczne, śpiewające lwowskie piosenki po ukraińsku, bezprawnie je sobie przywłaszczają.

Recenzja o wystawie „Piękny Lwów” w pałacu Lubomirskich w Rozwadowie z 2005 roku była krótka, zwięzła, a równocześnie pełna treści i uzasadnionej krytyki. Podczas oglądania tej wystawy uderzyło ją, że pokazano i opisywano grupie młodzieży, która aktualnie ją zwiedzała, cytując słowa z tej recenzji – „miasto może interesujące, ale udziału Polaków w jego budowaniu oczywiście nie eksponowano, ani ich życia tam i kultury. A więc to miasto wielonarodowościowe, jak-



Marta Woźniak (za stołem) w sztuce A. Kertesz „Wdowy”

by z przewagą akcentów niepolskich”. W 2006 roku w pierwszym numerze „Cracovia–Leopolis” redakcja kwartalnika zamieściła jej uwagi, którymi uzupełniła swoją recenzję dotyczącą wyżej wspomnianej wystawy. Niestety, gdy ukazały się, autorka już nie żyła.

Marta Woźniak zmarła nagle w jesieni 2005 roku. Śmierć zabrała ją w pełni sił twórczych. Wprawdzie na scenie już nie występowała – przeszła na emeryturę – ale miała wspaniałe plany. Dla niej Lwów nie przestał być polski i chciała, by o tym wiedzieli nie tylko ci, co się we Lwowie urodzili, a którzy już kolejną rzecz odchodzą, ale młodzi Polacy. By nie powtarzały się takie sytuacje jak ta, że ona, studiując w Szkole Teatralnej, nie wiedziała, że we Lwowie był przed wojną teatr na miarę europejską, że występowali tam najwięksi polscy aktorzy z Solskim i Osterwą na czele, a dyrektorami byli tacy ludzie jak Horzyca. Ona dowiedziała się o tym dopiero, gdy pojechała do Lwowa i zobaczyła przepiękny gmach tego teatru. Dlatego uważała, że nie wolno o polskim Lwowie przestać mówić. W swoich wspomnieniach pod tytułem *Jawi się jako wzorzec*, zamieszczonych w „Cracovia–Leopolis” krytykuje żyjących w Polsce lwowiaków za ich brak dbałości o pamięć o Lwowie.

Cytuję: *Boleśnie jednak mi brak u wielu lwowiaków tego charakterystycznego dla Lwowa promieniowania na sprawy polskie, tu i teraz. Dzisiejsze starsze pokolenie nie potrafiło „przekazać pałeczki” swym potomnym.*

Ona chciała przekazywać tę pałeczkę, chciała nadrobić zaniedbania, ale śmierć okazała się bezlitosna

Dla Marty Woźniak słowo „Lwów” nie było tylko nazwą miasta. w którym się urodziła, suchą informacją w dokumencie. Ona cała była Lwowem przepełniona. Odeszła i zabrała tę ogromną miłość do swego rodzinnego miasta ze sobą.

Może wróciła do Lwowa?

Spod Tarnopola przez Irkuck do Gliwic

W indywidualnych losach jednostek bardzo często, szczególnie w przełomowych czasach, odzwierciedlają się – jak w lustrzanym odbiciu – wydarzenia będące treścią dziejów większych zbiorowisk jak rodzina, społeczeństwo, naród. Losy te stają się ponadto świadectwem motywacji postaw i zachowań nie tylko konkretnych osób, ale również środowisk przez nie reprezentowanych. Zdają się to potwierdzać droga życiowa i działalność Eugeniusza Władysława Spittala (1885–1957), jednego z wielu polskich kresowiaków, których wichry dziejowe rozrzuciły po różnych zakątkach kraju i świata.

Eugeniusz urodził się w Założcach powiatu zborowskiego w rodzinie urzędnika sądowego Tadeusza i Joanny Markwart, córki administratora majątku ziemskiego, jako czwarte dziecko spośród dziewięciorga rodzeństwa – Bronisławy, Kazimierza, Henryka, Włodzimierza, Stanisława, Stefanii, Marii i Heleny. Matka poświęciła się wychowaniu tej licznej gromadki. Jej trosce przede wszystkim zawdzięczali wykształcenie oraz wpojenie zasad, jakimi kierowali się w życiu: silne więzi rodzinne, życzliwość wobec ludzi, działalność społeczna, umiłowanie Ojczyzny – cechy tak wyraziste w osobowości Eugeniusza oraz innych przedstawicieli jego rodziny.

Już podczas nauki w gimnazjum tarnopolskim, które ukończył w 1904 roku, organizował tajne kółko „Promienistych” i był jego przewodniczącym. Również w czasie studiów na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego uczestniczył w działaniach kulturalno-oświatowych młodzieży akademickiej. Zetknął się wówczas z Janem Świńskim, przywódcą Polskiego Stronnictwa Ludowego. Został już w 1905 roku jego członkiem i z tym nurtem politycznym związany był do końca swoich dni. Pilnie przy tym studiował, co potwierdzają wyniki składowych kolokwium, koncentrując się na historii polskiej literatury, kulturze antycznej i językach klasycznych. Uczestniczył w wykładach profe-

sora Karola Hudaczka, jednego z nielicznych wówczas uczonych polskich zajmujących się archeologią, odkrywcy rzymskich cmentarzysk na terenie Galicji, później uczestnika wykopalisk egipskich. Kolokwia ze starożytnego malarstwa i starożytnej sztuki Rzymian zaliczył u niego z postępowaniem celującym. Wyraźny wpływ na jego zainteresowania oraz osobowość wywarły wykłady Profesorów Wilhelma Bruchnalskiego, wybitnego literaturoznawcy, wyroczni na gruncie ówczesnego Lwowa w sprawach polskiego piśmiennictwa, oraz Józefa Kallenbacha i jego ujęcie moralno-patriotycznych treści w twórczości Zygmunta Krasińskiego.

Po ukończeniu w 1908 r. studiów podjął na krótko pracę nauczycielską w III Gimnazjum im. Franciszka Józefa we Lwowie, następnie w I Gimnazjum w Stanisławowie, a od stycznia 1910 w II Gimnazjum w Tarnopolu, gdzie uczył języka polskiego, greki i łaciny. Kontynuował przy tym badania historycznoliterackie uwieńczone pracą *Anhelizm w „Ostatnim” Zygmunta Krasińskiego*, zamieszczoną w Księdze Pamiątkowej ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Krasińskiego, opublikowanej we Lwo-

wie w 1912 roku. Nadal też silnie angażował się w działalność społeczno-polityczną na terenie powiatu tarnopolskiego w pracach ruchu ludowego (po rozłamie w PSL odszedł od Stapińskiego i związał się z PSL „Piast”), w Towarzystwie Kótek Rolniczych oraz Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół” w Tarnopolu i rodzinnych Założcach, co powodowało niejednokrotnie konflikty z władzami administracyjnymi.

Burzliwe losy stały się udziałem Eugeniusza Spittala w latach I wojny światowej, podobnie jak wielu tych, którzy wówczas sprawę odzyskania niepodległości przez Polskę uznali za najważniejsze zadanie. Z tą myślą podjął działalność w utworzonym w Tarnopolu przez Włodzimierza Lenkiewicza tajnym Stowarzyszeniu Polskim. Po zajęciu przez Rosjan Galicji został w 1916 r. aresztowany i jako jeńiec cywilny wywieziony w głąb Rosji i osiedlony



ostatecznie w Irkucku. Od początku pobytu podjął tam pracę w Komitecie Polskim oraz Towarzystwie Pomocy Ofiarom Wojny, organizując pomoc materialną i żywnościową dla polskich zesłańców w okręgu irkuckim, nawiązując w tym celu również kontakty z Polonią w Stanach Zjednoczonych. Po rewolucji 1917r. w Rosji pełnił funkcję prezesa Rady Wygnańczej i wiceprezesa Polskiej Gminy w Irkucku. Włączył się też w prace nad organizacją Polskiego Gimnazjum Realnego Koedukacyjnego w Irkucku, w którym pracował jako nauczyciel, a od lutego 1920 r. jego dyrektor. Wkrótce jednak, po przejęciu Irkucka przez władze sowieckie, w czerwcu tego roku został zesłany na roboty przymusowe, gdzie zachorował na tyfus. Do Irkucka powrócił dopiero w lutym 1921, by w sierpniu na mocy polsko-radzieckiej umowy repatriacyjnej uzyskać zgodę na powrót do kraju.

Wrócił do Tarnopola podejmując pracę nauczycielską w II Gimnazjum Męskim oraz bardzo żywą działalność w ruchu ludowym. Przez lata był stałym korespondentem tygodnika „Piast” z powiatu tarnopolskiego, organizatorem struktur Stronnictwa w powiecie i województwie. Zamieszczał w tym piśmie sprawozdania z ruchu organizacyjnego, artykuły o tematyce literackiej, brał udział w wiecach i zgromadzeniach chłopskich, często jako prelegent i mówca. Nadal uczestniczył w pracach TG „Sokół” w Tarnopolu, pełniąc funkcję jego prezesa w Podolskim Towarzystwie Nauk i Towarzystwie Szkoły Ludowej. Dokonania te legły z pewnością u źródeł wystawienia Spittala na liście PSL Piast w wyborach do Sejmu w 1922 r. z powiatu tarnopolskiego, gdzie lista ta uzyskała najwięcej głosów spośród wszystkich ugrupowań. Piastując mandat do 1927 r. szczególną uwagę przykładał do działalności poselskiej wśród wyborców, przede wszystkim wiejskich. W ich sprawach też najczęściej zgłaszał interpelacje. Za wystąpienie po przewrocie majowym, w którym zarzucił J. Piłsudskiemu złamanie konstytucji, mimo iż powinien stać na jej straży, naraził się na szykany i przeniesienie po wygaśnięciu mandatu poselskiego na krótko do gimnazjum w Brześciu. Najprawdopodobniej tylko interwencja spowinowaczonego płk. Jerzego Błęszyńskiego uchroniła go od poważniejszych konsekwencji. Nie zaprzestał jednak działalności politycznej, którą kontynuował również od 1931 r. w Stronnictwie Ludowym. Należał do współorganizatorów



strajku chłopskiego w 1937 roku w województwie tarnopolskim, ciesząc się wśród chłopów dużym zaufaniem. Świadczy o tym skuteczne pośrednictwo między maszerującymi na zakazany obchód raclawicki w kwietniu 1937 roku chłopami powiatu buczackiego a władzami, które zagroziły użyciem siły.

Wydarzenia wojenne 1939 r., wkroczenie na tereny Rzeczypospolitej wojsk radzieckich, obawy przed aresztowaniem, zmusiły Eugeniusza do wyjazdu. Najpierw udał się do Lwowa, a następnie pod zmienionym nazwiskiem Spittlak, w czym pomogła mu rodzina mieszkająca w powiecie strzyżowskim, do Krakowa. Utracił przy tym cały dorobek życia, w tym bogatą bibliotekę i cenną kolekcję dzieł sztuki. Zamieszkał w Krakowie w domu profesora Leona Marchlewskiego, byłego rektora UJ, działacza i autora Stronnictwa Ludowego, a w czasie okupacji współorganizatora Sekcji Szkolnictwa Wyższego Okręgowej Komisji Oświaty i Kultury Ruchu Ludowego. Nie ominęły go codzienne trudności okupacyjnego życia, które pomagał mu przetrwać brat Stanisław z Podhajczyk, wspierając go w miarę możliwości paczkami żywnościowymi i gotówką.

Koniec wojny zastał Spittala w Krakowie, gdzie podjął pracę nauczycielską i równocześnie włączył się w działalność PSL, mając nadzieję – jak wielu – że można będzie w zaistniałych warunkach budować demokratyczną Polskę. Dał temu wyraz między innymi w opublikowanym na łamach czasopiśma „Wieś i Państwo” (R. 3), sprawozdaniu ze styczniowego Kongresu Stronnictwa w 1946 roku, którego był uczestnikiem. Po przeprowadzeniu się w roku 1946 do Gliwic, gdzie zatrudniony został w Państwowym Gimnazjum Żeńskim (w pobliskim Bojkowie osiedliły się jego siostry), włączył się w kampanię wyborczą PSL do Sejmu Ustawodawczego. Po prze-

Marta Walczewska

STUDENT KAROL WOJTYŁA W OŻOMLI

W czasie zeszlórocznych wakacji, wędrując z grupą krakowskich stanisławowian po ziemiach kresowych, dotarłam do wsi Ożomla, położonej między Jaworowem a Sądową Wisznią.

Tuż przed wybuchem wojny, w lipcu 1939 roku, polscy studenci odbywali tu ćwiczenia wojskowe w ramach obozu Legii Akademickiej i pomagali w budowie szkoły we wsi. Wśród nich był ówczesny student Uniwersytetu Jagiellońskiego Karol Wojtyła, późniejszy papież Jan Paweł II. Chciałam znaleźć budynek szkoły. Niestety okazało się, że został on rozebrany w 1987 roku. Miejscowy Ukraińiec był bardzo dobrym i uprzejmym informatorem i przewodnikiem. Pokazał miejsce, gdzie stała szkoła. Obecnie jest tam dom mieszkalny, a z cegły pochodzącej z rozbiórki zbudowano budynek gospodarczy. Nasz przewodnik wyciągnął stopy zdjęć, wśród których znaleźliśmy zdjęcia szkoły przed i w trakcie rozbiórki. We wsi prócz dwóch okazałych cerkwi jest niewielki kościółek rzymskokatolicki, obecnie użytkowany przez grekokatolików. Napewno tam modlili się studenci, a wśród nich Karol Wojtyła.

Miejscowa ludność ukraińska wiedziała z gazet o tym, że wielki Polak odwiedził kiedyś ich wieś. Pragnęlibyśmy utrwalić pamięć o tej jedynej wówczas Jego obecności na ziemiach wschodnich tablicą pamiątkową – może na elewacji kościoła albo w miejscu, gdzie znajdowała się szkoła?

W 2001 roku Ojciec św. Jan Paweł II przyjechał do Lwowa, aby wynieść na ołtarze dwóch polskich świętych, abpa Józefa Bilczewskiego i ks. Zygmunta Gorazdow-

skiego. Chcieliśmy przypomnieć, że był On już dużo wcześniej na tej ziemi, niedaleko Lwowa.

Wieś Ożomla przed wojną liczyła ok. 1700 mieszkańców. Przewagę stanowili Rusini, Polacy stanowili ok. 30% ludności, były też 3 rodziny żydowskie i koloniści niemieccy. Wojenne losy wsi były tragiczne. W 1940 r. NKWD rozstrzelało 80-letnią dziedziczkę na gnojowisku za oborą. Pod koniec 1944 roku banderowcy zamordowali kilkudziesięciu Polaków. W końcu 1945 roku polscy mieszkańcy wyjechali na Zachód, do Polski w nowych granicach. Obecnie podobno nie ma Polaków we wsi.



ŹRÓDŁA: „Semper Fidelis” 3/2005; Władysław Siemaszko i Ewa Siemaszko: *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945*

► mówieniu przedwyborczym w Rudzie Śląskiej został w styczniu 1947 r. aresztowany przez UB i przetrzymywany w więzieniu do 2 maja. Po zwolnieniu wrócił do pracy nauczycielskiej, pozostając pod dyskretną opieką władz bezpieczeństwa, które jeszcze po 1956 roku prowadziły dochodzenie w sprawie Spittala. Mimo długotrwałej choroby, przebytych w latach 50. dwóch operacji, utrzymywał rozległe kontakty osobiste i korespondencyjne z przyjaciółmi

oraz byłymi wychowankami, którzy zwracali się niejednokrotnie z prośbami o radę i pomoc do swojego Profesora. Zmarł 25 października 1957 r. w Gliwicach. Na cmentarz w Bojkowie, zgodnie z wyrażonym życzeniem, wieziony był drabiniastym wozem w asyście chłopskich banderii.

JÓZEF HAMPEL, doktor, st. wykładowca w Instytucie Historii Akademii Pedagogicznej w Krakowie

Alicja Michłowska (Gdańsk)

SIOSTRY Z SIENIAWSKIEJ ULICY

*Przypadki się zdarzają. Ale bywa, że to, co uważamy za przypadki, wcale nimi nie są, bo obracamy się w jakichś logicznych układach przyczyn i skutków, w których wydarzenia i ludzie biorący w nich udział są wzajemnie spleceni w przestrzeni i czasie. Tu oczywiście chodzi o Lwów, ale Lwów jakże szeroko pojęty: od Polski – przez Kazachstan, Bliski Wschód, Londyn – po wszystkie części świata, licząc zaś w czasie – od tamtego września po dzień dzisiejszy. Pasuje tu motto, zacytowane na początku jednego z zeszytów numerów CL: *Leopolis ubique praesens* – Lwów wszędzie obecny!*

W CL 3/06 zamieściliśmy krótkie wspomnienie o Wandzie Bober-Majchrzyckiej, zmarłej w czerwcu ubiegłego roku. W kolejnym numerze (4/06) znalazło się omówienie książki jej siostry, Alicji Bober-Michałowskiej oraz – całkiem przypadkowo – dwa inne teksty, które w przedziwny sposób okazały się z tamtymi związane. Były to: list z Kazachstanu Anny Obfidowicz oraz wspomnienie o Janinie Winowskiej. Niedługo potem nadszedł list z Gdańska od Pani Alicji, która te ciekawe spłoty wykryła i podzieliła się z nami swymi komentarzami i refleksjami. Oto list p. Michałowskiej z sierpnia '06:

[Numer 3/06] ucieszył mnie artykułami o moich nauczycielkach w szkole SS. Naza-retanek we Lwowie w roku szkolnym 1933/34 – uczęszczałam do szóstej klasy szkoły powszechnej. Moją siostrę panie uczyły dłużej w tamtejszym gimnazjum.

Panią Hankę Obfidowicz Wandzia pamiętała jeszcze jako pannę Dolińską. Nie wiedziałyśmy, że była wywieziona i miłą niespodzianką dla nas była wiadomość, że znalazła się w Palestynie.

Po zdaniu matury w Szkole Młodszych Ochotniczek w Nazarecie została jako jedna z dwudziestu absolwentek Liceum wraz z liczną większością absolwentek Gimnazjum SMO przeznaczona do Pomocniczej Służby Lotniczej Kobiet w Anglii. Dołączono

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- -HISTORYCZNY

BORYNICZE

Wieś w pow. bobreckim, wojew. lwowskim, położona w odł. 16 km na płd.wsch. od Bóbrki, a 51 km od Lwowa, przy linii kol. do Stanisławowa. Należała do parafii rzym.kat. w Brzozdowcach.

Historia. Zanotowana w źródłach po raz pierwszy w 1412 r. jako własność rodziny Borynickich (vel Boryńskich). W 1515 r. zniszczona przez Tatarów. Od połowy XVI w. dokumenty wykazują rozdrobnienie wsi pomiędzy różnych właścicieli, wśród których występują Piotr i Andrzej Klodniccy, nieznanego imienia Hermanowski, Krzysztof Nahujowski, Walenty Oparski. Po 1736 r., zapewne już scalona, była własnością Michała Józefa Rzewuskiego, a w 1781 r. jako posag Petroneli Rzewuskiej dostała się Jackowi Małachowskiemu. Następnie w krótkich odstępach czasu kilkakrotnie zmieniała właścicieli. Na przełomie XVIII i XIX w. zakupił ją Jan Gwałbert Ufniarski h. Jastrzębiec, który w 1809 r. testamentalnie przeznaczył swe dobra córce Felicji, żonie Kazimierza Badeniego.

W posiadaniu Badenich pozostawała do 1858 r., kiedy to drogą zamiany majątków przejął ją Włodzimierz Borkowski h. Junosza, galicyjski działacz społeczny i polityczny. W 1870 r. założył on ordynację borynicką, skupiającą dobra należące dawniej do Ufniarskich. W 1873 r. Borkowski wybudował obszerny pałac, powiększony w latach 1901–05, jednak spalony w 1914 r. przez wojska rosyjskie. Po Włodzimierzu ordynacja dostała się jego wnuczce, Marii Dembińskiej, od 1896 r. żonie Stanisława Mycielskiego. Syn ich, Ludwik Mycielski, był ostatnim właścicielem Borynicz.

Zabytki. Dwa identyczne klasycystyczne, parterowe budynki z portykami o czterech toskańskich kolumnach przed wejściami, kryte wysokimi, czterospadowymi dachami, będące pozostałością po zespołe dworskim Ufniarskich. Przed wojną w jednym z tych budynków mieścił się zarząd ordynacji.

Kaplica wybudowana w okresie międzywojennym na ruinach spalonej w 1914 r. kaplicy pałacowej i przylegającej do niej galerii; murowana, zwró-

też te dziewczęta, które przekroczyły osiemnaście lat, bez względu na to, ile klas gimnazjalnych tam zdały ukończyć. Razem było nas dwieście.

Z Nazaretu przeniesiono nas do Ośrodka Zapasowego PSWK w miejscowości Al Mugar w Palestynie, na trasie między miastem Rehovoth a Goarą. Wanda pracowała wówczas w V Szpitalu Inwalidów w Gazie jako „siła biurowa”, pisząc na maszynie.

Odwiedziła mnie w Al Mugar i tam razem zgłosiłyśmy się do komendantki Obozu – pani Hanki Obfidowiczowej. Poznała nas, pamiętała. Cieszyła się, że przeżyłyśmy, współczuła, że rodzice dopiero czekają na ewakuację. Prosiłyśmy o to, by pozwolono nam być razem, ale pani Hanka przyznała, że to przekracza jej kompetencje i poradziła nam „stać do raportu z prośbą” do komendanta Placu, generała Wiatra. Sama była oficerem, o ile pamiętam, w stopniu porucznika.

To było w pierwszej połowie marca 1944 r. Nie widziałam się już później z panią Hanką i nie wiem nic o dalszych jej losach. To tylko jest pewne, że nie pozostała na zesłaniu na tej nieludzkiej ziemi.

* * *

Pani Janina Winowska, czyli druhna Inka, uczyła mnie historii. Cała nasza szósta klasa liczyła dziewięć uczennic, więc nie sprawiłyśmy problemów. Lwowskie SS. Nazaretanki zaczynały dopiero organizować u siebie szkołę powszechną przy ul. Unii Lubelskiej 5–9 w roku szkolnym 1933/34, w miejsce likwidowanego Seminarium Nauczycielskiego, zgodnie z reformą jędrzejcowską.

Wakacje 1934 r. spędzałam, jako zuch, z obiema siostrami na obozie harcerskim w Bystrej za Baligrodem. Młodsze dziewczęta zakwaterowano w budynku (szkoła?), kurs dla zastępowych ulokowano w jakiejś dużej szopie, a najstarsze rozbiły namioty na pięknej łące po drugiej stronie rzeki.

W czasie naglej powodzi rzeka ogromnie wylała, zerwała kładkę, podmywała namioty. Do najbliższego mostu w Baligrodzie – 4 km – trudno było się dostać podczas nieustannej ulewy.

Właśnie wtedy słyszałam, że druhna Inka stara się wnieść jak najwięcej optymizmu, potrzebnego w przetrwaniu trudnej sytuacji.

To mi utkwiło w pamięci. Potem nie spotkałam już pani Winowskiej, ale od siostry wiedziałam, co się z nią dzieje.

Na ten obóz przyjechała z wizytacją druhna Luna Stipalówna*. Pamiętam, że wygłosiła długi odczyt o Marii Curie-Skłodowskiej, której zgon uczciłyśmy opuszczeniem chorągwi do połowy masztu oraz chwilą milczenia. Czułam się niemal dorosłe uczestnicząc w tych wydarzeniach.

A potem w 1938 r. zdałam do Liceum Pedagogicznego, jeszcze za kadencji pani Jadwigi Sanojcowej (w czerwcu), zaś we wrześniu przełożoną liceum była już pani Stipalówna.

Z końcem lat siedemdziesiątych wraz z dwiema koleżankami odwiedziłam w Sopocie naszą byłą Przełożoną. Trzymała się wspaniale i opowiedziała nam, że napisała całą historię Harcerskiej Chorągwi Lwowskiej i złożyła ją w Dziale Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej.

* * *

Chciałam już ostatecznie zakończyć, ale właśnie na otwartej ósmej stronie numeru** zobaczyłam to nieodcyfrowane słowo z listu pani Hanki. Domyślam się, że: „nie ma pracy, nawet ubo...” – „uborszczycy”, czyli sprzątaczkę.

To już wszystko.

* Patrz CL 4/06

** Chodzi o CL 2/04

Bardzo dziękujemy Pani Alicji za te wspomnienia, które uzupełniają naszą wiedzę o paniach Obfidowiczowej i Winowskiej, a także za wyjaśnienie nieodczytanego, całkiem nam (oczywiście) nieznanego słowa.

Pani Michałowska przysłała też życiorys swej siostry Wandy, w którym obok jej dramatycznych losów zawarte są ciekawe informacje o lwowskiej rodzinie – przedstawiamy go przeto jako Sylwetkę.

Co do pani Obfidowicz, byłoby ciekawe poznać jej dalsze losy – co się z nią stało, gdzie spędziła kolejne lata swojego życia? W tym numerze wspomina ją także p. prof. Węgrzynowicz.

Z bólem przyjęliśmy wiadomość o śmierci Pani Alicji w sierpniu '07. Została pochowana w Kraśniku, gdzie przez wiele lat mieszkała.

LWÓW DLA KRYNICY

Krynica dochodziła do swojej sławy od końca XVIII wieku. Wcześniej była to osada w ostępach Beskidu Sądeckiego, znana jedynie pasterzom owiec. W tamtych stronach, gdzie Poprad przebiega przez łańcuch karpaccy z południa na naszą północną stronę, liczyły się wtedy bliższe cywilizowanego świata Rytro i Muszyna.

Swoje pierwsze *węjsie* zawdzięcza Krynica profesorowi Uniwersytetu Lwowskiego **Baltazarowi Hacquet**, który zbadał i spopularyzował tejsze wody mineralne (ich walory odkrył wcześniej **Gabriel Rzączyński** (jezuita, rodem z Podola, XVII/XVIII w.).

Na bazie *kryniczanki* wzniesiono pierwsze obiekty uzdrowskowe u schyłku XVIII w., a w 1807 r. uruchomiono jeszcze dość prymitywne łazienki mineralne. Miejscowość została wtedy uznana za zdroj kąpielowy.

Rozbudowa Krynicy nastąpiła w drugiej połowie XIX w, a wielkie zasługi położył profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, **Józef Dietl**, uważany za ojca nowoczesnych uzdrowsk karpaccy. Jak pamiętamy, Dietl urodził się w Podbużu k. Borysławia, a w późniejszych latach był prezydentem Krakowa. Wielki *boom* nastąpił, gdy w 1876 r. do pobliskiej Muszyny doprowadzono linię kolejową (i dalej na Węgry), a w końcu w 1911 r. – do samej Krynicy.

W latach 1912–14 profesor Uniwersytetu Lwowskiego **Rudolf Zuber** odkrył w Krynicy źródła silnej szczawy alkalicznej, noszącej odtąd nazwę od swego odkrywcy. Po tym wszystkim nastąpił okres burzliwego rozwoju uzdrowska. W latach międzywojennych powstały Nowe Łazienki i luksusowy Nowy Dom Zdrojowy, największe, monumentalne sanatorium „Lwigród”, dzieło architekta lwowskiego **Eugeniusza Czerwińskiego**, kolejka na Górę Parkową (1937) i słynna „Patria” Jana Kiepury (1932–34) oraz dziesiątki willi. Swój udział w tym rozwoju miało oczywiście również położenie wśród gór, nęcących turystów letnich i zimowych.

Nie zapominajmy, że zaraz po Krynicy plasował się pod względem frekwencji wschodniomałopolski Truskawiec i na trzecim miejscu Ciechocinek.

Opracowano na podstawie artykułu *Jak Krzemycze przemieniło się w perłę uzdrowsk* autorstwa (S), „Dziennik Polski” 263/01

cona na południe, z wydłużoną nawą i krótkim prezbiterium zamkniętym półkolistą absydą, oraz z fasadą zwieńczoną trójkątnym przyczółkiem. Zaprojektowana przez Helenę Mycielską, budową kierował Józef Wesolowski z Brzozdowiec. W ołtarzu znajdował się obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, przywieziony z Rzymu przez Włodzimierza Borkowskiego, ocalony z pożaru w 1914 r. W 1945 r. przewieziony do Kamienia Pomorskiego, zaginiony. Po wojnie kaplica została przebudowana (zmieniona górna część fasady oraz rozmieszczenie okien), z wnętrzem podzielonym drewnianą konstrukcją na dwie kondygnacje, pełniła funkcję śpichlerza kolchozowego. Kapliczka – nisza z figurą MB Niepokalanej w ścianie jednego z budynków, według miejscowej tradycji jest pamiątką ocalenia wsi podczas najazdu tatarskiego w 1620 r.

GLINIANY

Położenie. Miasteczko w pow. przemysłańskim, wojew. tarnopolskim, położone o 19 km na pln. od Przemysła, u zbiegu Hanaczówki i Pregnojówki, dopływów Pełtwi. Leży w płaskiej i bagnistej okolicy, należącej do tzw. Dołów Złoczowskich (jedna z najniższych na Podolu wysokości nad poziom morza). Parafie obu wyznań znajdowały się na miejscu.

Historia. Gliniany wchodziły w skład dóbr królewskich. Osada wiejska istniała już w XIV w. Status miasta lokowanego na prawie magdeburckim nadał Jan Tarnowski, wojewoda sandomierski i starosta ruski w 1397 r. W tym samym roku Władysław Jagiełło, który wielokrotnie w Glinianach przebywał, erygował parafię rzym.kat. Miasto położone na szlaku prowadzącym do Lwowa było pustoszone i palone podczas najazdów tatarskich. Dla złagodzenia skutków zniszczeń kolejni władcy obdarzali je przywilejami i zwalniali z opłat podatkowych na określony czas. W 1578 r. król Stefan Batory zezwolił na odbywanie tu jarmarków rocznych na św. Michała i targów w czwartki.

Ze względu na swe strategiczne położenie Gliniany były stałym punktem zbornym pospolitego ruszenia i politycznych zgromadzeń szlachty. Najbardziej znanym wydarzeniem historycznym, które się tu rozegrało, była tzw. „wojna kokosza” w 1537 r. Po śmierci Zygmunta Augusta tutaj na naradę nad wyborem nowego króla zebrała się szlachta województw ruskiego i podolskiego. Wielkie zgromadzenia wojsk odbywały się w latach

Anna Piwowska

W ŚWIECIE ARYSTOKRACJI

Na lwowskich balach, w rytmie walca, polki i mazura

Lwów, miasto wiecznie żywe, otwarte, towarzyskie lubiło się bawić. Świadczą o tym liczne bale, wydawane na różne okazje. Przygotowane z klasą, przyciągały do stolicy. Największa kumulacja i mnogość bali miała swój czas w porze karnawału, ten okres ożywia całą społeczność Lwowa. Stawał się okazją do spotkań, zawierania nowych przyjaźni, zarówno w sferze politycznej, jak i towarzyskiej. To właśnie na balach odbywały się swoistego rodzaju „jarmarki” matrymonialne, na których młodzi kawalerowie szukali odpowiadających im majątkiem przyszłych żon, a rodzice wprowadzali swoje córki w świat dorosłych.

Najpiękniejsze i najważniejsze bale wydawali gospodarze pałacu namiestnikowskiego oraz rody arystokratyczne miasta Lwowa. Każdy namiestnik w miejscu swego rezydowania organizował i uczestniczył w tego rodzaju imprezach, czasem z większym, innym razem z mniejszym zapętem, momentami tylko z poczucia obowiązku i pełnienia honorów pana domu.

Nie sposób dokonać przeglądu wszystkich bali w pałacu namiestnikowskim w ciągu całego okresu autonomicznego, gdyż na ten temat można by napisać niejedną książkę (a ja mam ograniczoną ilość maszynopisu!).

Bale, które pamiętano i z chęcią wspomniano jako wesołe i udane imprezy towarzyskie, miały miejsce w pałacu namiestnikowskim w czasie kadencji Alfreda Potockiego (1875–1883). Patronowała tym balom żona pana Alfreda – Maria z Sanguszków Potocka, znana w towarzystwie lwowskim jako pani Alfredowa. Sezon zaczynał „sylwester”. Zwyczaj witania Nowego Roku o północy rozpowszechnił się w latach osiemdziesiątych XIX wieku i to za sprawą pani Alfredowej, która tłumnie wydawała wieczory sylwestrowe (północ obwieszczał gong, w który uderzał Senegalczyk, przywieziony przez pana Alfreda z Afryki).

Na kartkach pamiętnika Mariana Rosco-Bogdanowicza, będącego kroniką życia towarzyskiego Lwowa, można zauważyć, że cały jego pobyt w stolicy (1867–94) był liczony wedle sezonów karnawałowych, co niewątpliwie upewnia czytelnika w przekonaniu, że to właśnie karnawał był wyznacznikiem i cezurą życia towarzyskiego i kulturalnego Lwowa. Przy każdym opisie balu z czasów pani Alfredowej pojawia się w powyższym pamiętniku stwierdzenie: „Bawiłem się doskonale!”, co jest potwierdzeniem wyjątkowości i znakomitości takiej formy rozrywki.

A tak jeden z wielu karnawałów z końca lat 70. przybliżył czytelnikowi Marian Rosco-Bogdanowicz: *Cały ten mój pierwszy karnawał bawiłem się doskonale! Przyjęć było wiele i prawdziwie pięknych. Oprócz dwóch wielkich balów namiestnikowskich, bale u hr. Włodzimierzów Dzieduszyckich w pałacu na ulicy Kurkowej, u hr. Maurycowej Dzieduszyckiej w ładnym pałacyku na Zielonym, u hr. Pauliny Łosiowej z domu Baworowskiej, u hr. Walerii Borkowskiej, u hr. Marii Bolesławowej Borkowskiej, hr. Stanisławów Badenich, hr. Cecylii Kalinowskiej, hr. Włodzimierzów Russockich etc. Poza tym wiele mniejszych wieczorów w zjeżdżających na karnawał ziemiańskich domach, jak u wujostwa Wincentów Podleskich z Czernicy, państwa Bochdanów z Zadwórze, pani Skibniewskiej, pp. Emilów Torosiewiczów, Wojciechów Jankowskich, wprowadzających w świat uroczą swą córkę Wiktorynkę [...]. Tak więc karnawały lwowskie były niezmiernie ożywione. Na większe bale, jak namiestnikowski i marszałkowski, zjeżdżało wiele osób z Krakowa i z Podola. Na mniejszych byliśmy w ściślejszym kółku towarzystwa lwowskiego.*

Z niezwykłym przepychem i bogactwem organizowano bale na cześć przybyłych do Lwowa cesarza Franciszka Józefa i arcyksięcia Rudolfa. Na te okazje w roku 1880 wydano dwa bale – miasta Lwowa w Ratuszu i bal szlachty w salach Kasyna Miejskiego. Na balu miasta w Ratuszu na cze-

le organizatorów stał prezydent stołecznego miasta Lwowa – Michał Gnoiński. Monarchę przywitała rada miejska, w strojach polskich, u wjazdu do ratusza. Wejście na salę balową cesarza odbyło się w towarzystwie pani Alfredowej. Na samym początku na cześć cesarza odtąńczono mazura, taniec, który lubił władca, ale tylko jako obserwator. Oczywiście lwowianie zadbali, by pierwszy taniec wypadł imponująco, dlatego do tego tańca wybierano najlepszych tancerzy i najurodziwsze lwowianki. Po mazurze nastąpiło *cercle*, w czasie którego cesarz prowadził rozmowę z kilkoma osobami. Zarówno prezydent Michał Gnoiński, jak i pani Alfredowa dokonywali prezentacji wybranych gości. Po *cercle'u* cesarz pod rękę z panią Alfredową obchodził *sale*.

Następnego dnia miał miejsce bal szlachecki w salach Kasyna Miejskiego. Był mniej oficjalny, a władca znał większość zaproszonego towarzystwa. Cesarz z uśmiechem i radością rozmawiał z zaproszonymi, przyjmował prezentacje młodych ludzi przez ich ojców i panien przez matki. Wykazywał zainteresowanie każdym, chętnie i otwarcie uzupełniał swoją wiedzę na temat przybyłych osób. *W towarzystwie było wówczas tak wiele pięknych pań i panien, toalety były tak wykwiłtne, klejnoty u wielu pań tak wspaniałe, u pańów prawie wyłącznie bogate stroje polskie, że obraz balu był nieporównywalny. Kochany pan August Gorayski przypomniał sobie dawno już ubiegłe lata i poprowadził mazurę, ognistego w tempie, ale wykwiłtnego w formie, którym cesarz był zachwycony. Z uśmiechem pełnym aprobaty przypatrywał się grzmiącym hołubcom i przeróżnym figurom, które pan August z taką maestrią prowadził! Mazur zresztą był główną treścią każdego balu. Tańczono go doskonale. (...)*

Przygotowanie każdego balu wymagało dopracowania wielu szczegółów. W przypadku tej wizyty Pani Alfredowa zasięgała opinii u Adama hr. Bąkowskiego, którego uważała za specjalistę od spraw zachowania się w towarzystwie, (...) *stara poczwiłina, który przez niejaki czas służył w austriackiej dyplomacji i odtąd słynął w naszym społeczeństwie za wielkiego znawcę dworskich zwyczajów (...). Jeżeli była jaka wątpliwa kwestia co do porządku siedzenia przy jakim bankiecie albo tytułowania kogoś, udawano się wprost do pana Adama. Pani Al-*

1648, 1649, 1653, 1673, 1676, 1691–93, 1698. Dla dokonania ich przeglądu przybywali tu kolejni królowie: Jan Kazimierz, Michał Korybut Wiśniowiecki, Jan III, August II. Po I rozbiorze Gliniany przeszły w ręce Potockich. Z tego czasu (1786 r.) zachowały się wiadomości o prowadzonej na szeroką skalę uprawie konopi oraz o wyrobie płócien, które kupcy żydowscy wywozili do Gdańska. W połowie XIX w. majątek gliniański należał do rodziny Glixellich. Pod koniec stulecia był własnością Franciszka Badeniego, a na początku XX w. Franciszka Potulickiego. Na przełomie XIX/XX w. zasłynęły Gliniany z wyrobu kilimów.

Zabytki. Kościół parafialny pw. Ducha Świętego, wybudowany w miejsce poprzednich drewnianych kościołów. Budowa rozpoczęta w 1791 r., ukończona w latach 30. XIX w. Konsekrowany w 1840 r. Murowany, tynkowany, z prezbiterium zwróconym na płd., zamkniętym ścianą prostą, i z trójprzęsłową nawą poprzedzoną kruchtą z wieżami po bokach. Po II wojnie światowej kościół zamknięty i zamieniony na magazyny. W niewyjaśnionych okolicznościach uległ pożarowi. W 1995 r. zwrócony wiernym i następnie odremontowany dzięki pomocy dawnych mieszkańców Glinian oraz Ministerstwa Kultury i Sztuki RP. Większość ruchomości kościelnych została po wojnie przewieziona do Jadownik Podgórnych k. Brzeska. Po rekonsekracji świątyni w 2000 r. część naczyń liturgicznych i szat została zwrócona parafii.

Cerkiew z XVIII w. Pozostałości zamku obronnego, XV w.

PSARY

Wieś w pow. rohatyńskim, wojew. stanisławowskim. Leży w odległości 15 km od Chodorowa, nad potokiem Świn, który tworzy tu dwa wielkie stawy, 362 m npm. Parafia rzym.kat. znajdowała się w Podkamieniu, gr.kat w miejscu.

Historia. Pierwsze znane wiadomości historyczne dotyczące Psar pochodzą dopiero z XVIII w. W 2. połowie stulecia wieś była własnością Józefa Jabłonowskiego h. Grzymała, podkanclerzego halickiego. Jego córka wniosła ją rodzinie Głogowskich h. Grzymała, poślubiając Wincentego, szambelana króla Stanisława Augusta. W 2. połowie XIX w. jako wiano Wilheminy Głogowskiej przeszła do rodziny Reyów, w rękach której pozostawała do II wojny światowej. Ostatnim właścicielem był Ludwik Rey (†1940).

fredowa bardzo go lubiła, a że staremu hrabiemu niedużo srebrnych guldenów brzękało w kieszeni, więc miał już stały obiad przy namiestnikowskim stole.

Ważna wizyta cesarza Franciszka Józefa miała miejsce w roku 1894, kiedy jego przybycie do Lwowa było związane ze zwiedzaniem Wystawy Krajowej, eksponującej dorobek Galicji. Przy tej sposobności trzeba zwrócić uwagę na bal wydany u marszałka krajowego ks. Eustachego Sanguszki w sali gmachu sejmowego. Już samo wejście do sali zachwycało, masywne schody z kolumnami i galeriami dokoła, na których gromadzili się w polskie stroje i piękne toalety przybrani goście. Po *cercle'u* tańce za-

Każdy bal karnawałowy wzbudzał ogólną sensację, wiele dyskutowano o przygotowaniach, mających pojawić się wyjątkowych gościach, którzy stawali się tematem do plotek w każdym salonie. W roku 1889 jedną z wielu osób wzbudzających zainteresowanie była księżna Lorcja-Laura z Husarzewskich Lubomirska, żona nowego kuratora Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, która zachwycała urodą i sposobem bycia.

Sezon karnawału to też pora zawierania związków małżeńskich. Tenże fakt wpływał na zwiększoną liczbę gości i dodawał splendoru każdemu karnawałowi. W roku 1890 miało miejsce wesele Stanisława Siemińskiego z Zofią Tarnowską, córką marszałka



Gmach Gubernium we Lwowie (ok. poł. XIX w.)

częły się oczywiście od tradycyjnego mazure, któremu cesarz zawsze z przyjemnością się przypatrywał. *Bal marszałkowski był punktem kulminacyjnym uroczystości cesarskich. Wpadł pod każdym względem świetnie. Po odejściu cesarza – a co za tym idzie honoracyjców – młodzież odzyskała swoje prawa. Tańczono ochoczo aż do rana, mimo iż polskie stroje były anachronizmem trochę męczącym w tańcach wirowych.*

Monarcha doceniał takie powitania, wkład i zaangażowanie całego społeczeństwa. Podczas tej wizyty napisał ze Lwowa do swej przyjaciółki Katarzyny Schratt: *Przyjęcie tu było szczególnie świetne, serdeczne i patriotyczne, owacje długo nie milkły (...).*

krajowego hr. Jana z Dzikowa i Zofii z Zamoyskich. Ponieważ wesele miało miejsce w czasie karnawału, w programie oprócz tradycyjnych, corocznych bali, obiadów, przyjęć i fet odbyło się wesele, które trwało przeszło tydzień, kończąc się obrzędem ślubnym w lwowskiej katedrze. Nie sposób wymienić wszystkich bawiących się podczas każdego balu. Wybrałam tylko niektóre, dla przykładu mającego pokazać różnorodność i wielkość takich bali.

Bale to nie tylko rozrywka dla elity. Bawił się każdy, kto miał ochotę. W stolicy organizowano bale dla poszczególnych grup zawodowych, np. Bale Prasy, które tłumnie gromadziły świat dziennikarski w salach Ka-

syna Miejskiego. W pomieszczeniach tego budynku swe bale mieli także aktorzy, medycy, urzędnicy, prawnicy. Poza balem marszałkowskim i innymi w prywatnych pałacach odbywały się bale publiczne w pięknych salach Kasyna Miejskiego, które gromadziły zamężne mieszczaństwo oraz lwowskie sfery wojskowe, adwokackie i urzędnicze. Tzw. towarzystwo reprezentowały na nich najdosłowniejście damy, które zasiadały na specjalnej estradzie. Sale balowe Kasyna mieściły się na I piętrze – (...) *do wielkiej sali balowej o pięknym suficie, udekorowanej bladokremową sztukaterią o pilastrowych ścianach, oświetlonych bocznymi kinkietami (...).* *W mniejszej sali kasyna mieściła się sala tańeczna, z niej do bufetu raczej zimnego, do drugiego bufetu ze stolikami prowadził krótki bieg schodów i tam podawano już dania gorące i napoje. Atmosfera na balach była miła, wstęp tylko za zaproszeniami.*

Bal publiczny w Kasynie Miejskim w karnewale roku 1883 tak opisuje Marian Rosco-Bogdanowicz: *Adolf Abrahamowicz z niesłychaną maestrią i doświadczeniem prowadził tańce, a po zaprowadzeniu elektryczności pierwszy zastosował przy kotylionie kolorowe efekty świetlne, które rzeczywiście wyglądały bardzo pięknie. Plany swoje obmyślał dokładnie, jak wódz obmyślał pociągnięcia strategiczne. Dyrygowanie bowiem armią stu kilkudziesięciu, często niepojętych, a czasem niesfornych par, nie należało bynajmniej do zadań łatwych, a pana Adolfa ambicją było na każdym balu nowe kombinacje mazurkowe i kotylionowe zaprodukować. Adolf Abrahamowicz był na terenie bawiącego się Lwowa postacią niezmiernie popularną. Brat znanego i cenionego polityka i męża stanu Dawida Abrahamowicza, nie dzielający zupełnie tegoż poważnych prac i upodobań, Adolf był wesołym, dowcipnym viveurem, który tylko dwie rzeczy poważnie traktował: kotyliony, prowadzone na publicznych balach i „farsy”, które z wielkim talentem i humorem pisał dla teatru lwowskiego (...). Te wielkie bale publiczne były prawie jedynym terenem, gdzie spotykała się arystokracja i ziemiaństwo z lwowskimi sferami mieszczańskimi. A sfery te były interesujące, kulturalne i sympatyczne! Patrycjat lwowski miał wielkie tradycje. Wprawdzie wielkie rody mieszczańskie Bonerów, Boimów i inne tak mistrzowsko przez Władysława Łozińskie-*

Zabytki. Pałac w stylu neobarokowo-romantycznym, wybudowany przez Wilhelminę Reyową wg projektu lwowskiego architekta Juliana Zachariewicza, ukończony w 1882 r. Postawiony na rzucie prostokąta, dwukondygnacyjny, z trzema ryzalitami od frontu (środkowy w kształcie czworobocznej wieży). Pałac zniszczony i obrabowany podczas I wojny światowej, zamieszkały był do 1939 r.

Otoczenie pałacu stanowił 8-hektarowy park krajobrazowy, łączący się ze stawami rybnymi. Śpichlerz na rzucie szerokiego i długiego prostokąta, nakryty wysokim łamanym dachem gontowym. Stajnie koni cugowych i wierzchowych. Budynek bramny w stylu barokowym, zapewne związany z jakimś zamierzonym a niezrealizowanym założeniem pałacowym. Fosa po zameczku, który istnieć tu miał w czasach saskich.

STARE SIOŁO

Położenie. Wieś w pow. bobreckim, wojew. lwowskim, położona w odległości 15 km. na płn. zach. od Bóbrki, a 25 km na płd.wsch. od Lwowa. Leży w dolinie rzeczki Dawidówki u podnóża Gologór, 207 m npm. od strony południowej i 365 m npm. od strony zachodniej. Parafie obu wyznań znajdowały się w miejscu.

Historia. Pierwotna nazwa osady stanowiącej własność Rurykowiczów, odnotowana już w XII w., brzmiała Czerepów. Około 1401 r. Władysław Jagiello nadał osadę Zawiszy Czarnemu z Garbowa, a ten po pewnym czasie przekazał wieś swemu synowi, Janowi Zawiszycowi. W 1454 r. Zawiszyc ufundował parafię rzym.kat. i pierwszy kościół parafialny. Planował założenie na części obszaru wsi obronnego miasta Garbowa. Nie objętą planem Zawiszycza część Czerepowa zaczęto nazywać Starym Siołem. Nazwa ta pojawiła się w dokumencie z 1442 r. Urbanizacyjnym zamiarom koniec położył najazd turecki i tatarski. Około 1486 r. córka Zawiszycza, Barbara z Rożnowa, 2v. zamężna za Janem Amosem Tarnowskim, kasztelanem krakowskim, wniosła mu w posagu Stare Sioło. W posiadaniu Tarnowskich pozostawało do 1570 r., kiedy to ówczesna właścicielka Zofia Tarnowska podarowała je swemu mężowi Konstantemu Bazylemu Ostrogskiemu. Na początku XVII w. Konstanty scedował całą swą bajeczną fortunę na dwóch synów, którzy w 1603 r. dokonali jej podziału; Stare Sioło wraz z innymi dobrami przypadło Januszowi. W 1609 r. uzyskał on zgodę sejmu na utworzenie ordynacji. Ponieważ Janusz

go w [dziele] o mieszczanach lwowskich opisane już nie egzystowały, ale natomiast wyrosły nowe, porozbiorowe, które tradycje te podtrzymywać usiłowały i nie miały nigdy tych cech śmieszności i małostkowości, w jakie tak obfituje np. burżuazja francuska i niemiecka. Dumne nawet w poczuciu swej wartości, niezmiernie patriotyczne i gotowe w tym kierunku do poświęceń i ofiar nie szukały zbliżenia do tak zwanego „towarzystwa” kosztem własnej godności (...). Gdy się jednak do nich zwrócono, odpowiadały chętnie i ochoczo. A zwracano się do ich ofiarnych kieszeń często. Panie „z miasta” chętnie brały udział we wszystkich dobroczynnych komitetach, a ich mężowie szczerze je zasilały. Nikt tych cech burżuazji lwowskiej nie umiał tak ocenić jak pani Alfredowa, która często pozwalając sobie na nieuprzejmości w swej własnej sferze, zawsze odnosiła się z najwytworniejszą grzecznością do sfer mieszczańskich i przez te sfery bardzo lubianą i cenioną była.

Wsalach Kasyna, miały też miejsce bale dobroczynne, z długą listą „gospodyń balu”, których często było więcej niż przybyłych gości. Jak można zauważyć, bale we Lwowie były organizowane z różnych okazji i o różnym charakterze. Wydawano bale publiczne, poszczególnych grup społecznych, bale zamknięte, tylko dla gości pojawiających się za zaproszeniem. Nie sposób pominąć bali kostiumowych, które można określić jednym słowem – widowisko. Gospodarze i goście dbali o to, by każdy bal był niezwykły, lepszy od poprzedniego, zawsze próbowano zaskoczyć strojem, zachowaniem. Taki rodzaj bali był ulubioną rozrywką Tadeusza Rutowskiego, od 1884 roku prezesa Koła Literacko-Artystycznego i późniejszego wiceprezydenta miasta. W karnawale 1885 roku zorganizował bal „Sienkiewiczowski”. Pomysł na nazwę związany był z Trylogią Henryka Sienkiewicza, która w tym czasie odnosiła sukcesy. Myśl zatem rzucona w ratuszu przez zacnego i zasłużonego prezydenta miasta Rutowskiego, by urządzić bal kostiumowy, gdzie te wszystkie postacie ożyły, znalazł ogólny aplauz w wysoce kulturalnych i patriotycznych sferach mieszczaństwa lwowskiego. Jak zwykle w takich razach, delegacja komitetu balowego z prezydentem Rutowskim na czele udała się do

pani Alfredowej z prośbą o objęcie protektoratu i skłonienie „towarzystwa” do wzięcia czynnego udziału, w formie utworzenia jakiejś grupy (...). Po uroczystym polonezie i ognistym mazurze, odtańczonych przez sienkiewiczowskie postacie, doskonale ukostiumowane i poprawnie oddane przez grupy mieszczaństwa lwowskiego, wpadliśmy na salę w kilkadziesiąt par krakowskich, prowadzonych przez Stanisława Niezabitowskiego i panią Cesię Badaniową i odtańczyliśmy z werwą wyuczone figury, stanęliśmy przed panią Alfredową siedzącą w majestacie przed wszystkimi innymi patronesami (...).

Urządził Tadeusz Rutowski także inne bale kostiumowe, dla elit urzędniczych. Cała impreza nazwana jarmark kołomyjski. Furorę zrobił Rutowski, gdy pojawił się na balu kostiumowym, ucharakteryzowanym np. na postacie z „Ogniem i Mieczem”, on jako Skrzetuski. W programie tanecznym grano polonezy, walce, kadryle, polki, mazury, galopy, o których pisano w zaproszeniach. Tak wyglądał jeden z bali, który odbył się w lutym 1887 r.. Nie sposób pominąć balu w pałacu na ul. Kurkowej, wydawanego przez Włodzimierza Dzieduszyckiego raz do roku. Choć sam gospodarz nie lubił całego zamieszania związanego z organizacją tego rodzaju imprezy, traktował to jako powinność niezbędną do utrzymania swojej pozycji i dbania o honor rodu Dzieduszyckich. Dorastające córki nakładały jakby obowiązek organizowania takiego spotkania towarzyskiego, gdyż właśnie na balach były wprowadzane w dorosłe życie. *Bal na Kurkowej nie mógł przejść bez echa, musiał chociaż kilka dni skupiać na sobie uwagę uczestników karnawałowych zabaw, stać się w mieście wydarzeniem towarzyskim.* W karnawale roku 1888 pałac hr. Włodzimierzów Dzieduszyckich otworzył gościnne swe podwoje dwóm kuligom, które z wielkim animuszem i humorem tam wpadały. *Pod energiczną i sprawną ręką pani Anny Wolańskiej organizowały się w jej salonach dwie grupy „wesele krakowskie” i „wesele huculskie”. Całe towarzystwo brało w tym udział, tj. cała młodzież, która odpowiednio do swego typu i gustów do jednej albo drugiej grupy należała. Przygotowania i próby trwały długo i bardzo były wesołe. Trzeba się było ćwiczyć nie tylko w krakowiaku i kołomyjce, ale i w ad*

hoc skomponowanych śpiewkach. „Wesele krakowskie” widywano już we Lwowie z okazji kostiumowych zabaw. „Wesele huculskie” było zupełną nowością i wypadło nadzwyczaj efektownie. Bogactwo i barwność strojów huculskich, które staraliśmy się wszyscy mieć autentyczne, wzbogacały zachwyty (...). Podczas gdy „wesele krakowskie” wpadło na salę ze zwykłym impetem i harmidrem podkówki i brząkała i po mistrzowsku odtńczyło swoje krakowiaki przeplatane dowcipnymi i wesołymi śpiewkami, my weszliśmy cicho, spokojnie przy dźwiękach jakiejś huculskiej melodii granej przez wiejskich skrzypczaków w tym charakterystycznym u naszych Huculów jakby trochę tęsknym nastroju, i pokłoniwszy się według zwyczaju do kolan naszych dostojnych, a przez wszystkich tak kochanych gospodarzy, zaśpiewaliśmy okolicznościową pieśń (...). Było to tak nastrojowe, tak malownicze, że zachwyty był ogólny. Pan Włodzimierz kochał Huculów (...), był wprost rozczulony (...). Barwność, pomysłowość – te słowa najlepiej określają lwowskie bale kostiumowe. Każdemu taki bal na pewno pozostał w pamięci na długi czas, jako niezapomniane przeżycie.

Powyższa prezentacja bali pokazuje nam wystawność i rozmach lwowskiego karnawału. Pomysłowe stroje, aura radości i zabawy – to wielobarwne tło do ukazania życia towarzyskiego zamożnej części lwowskiego społeczeństwa.

BIBLIOGRAFIA

- Chłędowski K., *Pamiętniki*, t. 1, *Galicja 1843–1880*, Kraków 1957
- Cholewianka-Kruszyńska A., *Pani Alfredowa. Maria z Sanguszków Potocka z Łańcuta*, Warszawa 1998
- Czuma M., Mazan L., *Austriackie gadanie, czyli Encyklopedia Galicyjska*, Kraków 1998
- Grodziski S., *Franciszek Józef I*, Wrocław 1978
- Jakubowska U., *Lwów na przełomie XIX i XX wieku. Przegląd środowisk prawotwórczych*, Warszawa 1991
- Karolczak K., *Dzieduszyccy. Dzieje rodu. Linia poturzycko-zarzecka*, Kraków 2000
- Papee F., *Historja Miasta Lwowa*, Lwów 1894
- Rosco-Bogdanowicz M., *Wspomnienia*, t. 1, Kraków 1959
- Tyrowicz M., *W poszukiwaniu siebie. Wspomnienia i refleksje*, t. 1, *Pod lwowskim niebem*, Lublin 1988
- Zieliński A., *Romantyczne wędrówki po Galicji*, Wrocław 1987

Ostrogski nie miał męskiego potomka, ordynacja przeszła po jego śmierci na najstarszego syna jego córki, żony Aleksandra Zasławskiego. Syn przyjął nazwisko Zasławski-Ostrogski. Z tej rodziny Stare Siolo dostało się w wianie Lubomirskim, następnie Sieniawskim (od 1648), Czartoryskim (od 1731), ponownie Lubomirskim (od 1778) i wreszcie Potockim z linii łańcuckiej, w posiadaniu których pozostało do 1939 r. Ostatnim właścicielem był Alfred Potocki (zmarły w 1958 r.).

Zabytki. Kościół parafialny pw. MB Śnieżnej i św. Trójcy, wybudowany w latach 1828–35, zastępując nienadający się do użytku kościół drewniany. Budowla składała się z jednoprzęsłowego prezbiterium zwróconego na zachód i czteroprzęsłowej nawy poprzedzonej wieżą z kruchtą w części dolnej. Konsekrowany w 1867 r. Większość wyposażenia wnętrza z początku XX w. W 1923 r. Jerzy Potocki zamówił w zakładzie witrażowniczym Żeleńskich w Krakowie witraż do prezbiterium, projektowany przez Kazimierza Sichulskiego, przedstawiający MB w stylizacji huculskiej. Po II wojnie kościół przejęła cerkiew prawosławna, od 1991 r. gospodarzem świątyni jest parafia grekokatolicka. Cerkiew pw. św. Mikołaja, drewniana, 1742 r.

Ruiny zamku obronnego, zbudowanego w latach 1649–54 przez Władysława Dominika Ostrogskiego. Zamek stanął na miejscu poprzednich: drewnianego z XV w. oraz już murowanego z lat 1584–89. Uchodził za największy zamek na Kresach pld.wsch., założony na planie nieregularnego, zwięzającego się ku zachodowi pięcioboku, z sześcioma wielobocznymi basztami. Okazała bramę wjazdową od pld. wzniosła Katarzyna z Sobieskich Radziwiłłowa. Mury otaczały dziedziniec o powierzchni 4 morgów. W XVIII w. zamek został odnowiony przez Adama Mikołaja Sieniawskiego. W początkach XIX w. Potoccy założyli w nim brywar, co spowodowało przebudowę i dewastację wnętrza. Do dalszych zniszczeń zamku przyczyniły się obie wojny światowe.

STRATYN

Miasteczko w pow. rohatyńskim, wojew. stanisławowskim. Położone 12 km na pld.wsch. od Rohatyna, na prawym brzegu potoku Studzieniny, dopływu Gnilej Lipy. Na lewym brzegu potoku znajdowała się wieś Stary Stratyn.

Stratyn należał do parafii rzym.kat. w Rohatynie, parafia gr.kat. była w miejscu. Był to majątek

SYLWETKI

KINGA

W pierwszą rocznicę odejścia

Zamierzamy opowiedzieć o osobie, której właśnie droga życia – tak chciał los – nie miała wielu związków z naszymi wschodniomałopolskimi stronami, znała je zaledwie z opowiadań, choć jakieś szczegóły zachowały się w jej dziecięcej pamięci. Była jednak dzieckiem tamtej Ziemi, ponieważ stamtąd pochodzili jej przodkowie, zdążyła się tam urodzić i spędzić swoje pierwsze siedmioletnie. Potem życie wciągnęło ją w niezwykle koleje, w których nie brakło – w jakiej proporcji? – ani smutku, ani radości, ona jednak próbowała odbierać zeń to, czego zły los usiłował ją pozbawić. Jest pewne, że gdyby nie miejsce i czas, które były jej dane, jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

Osobą tą była Kinga Horodyska, po mężu Wołkowicka, urodzona w 1932 r. w Kołędzianach w powiecie czortkowskim, a zmarła przed rokiem w Krakowie. Pochodziła z rodziny ziemiańskiej (majątek Trybucowce koło Buczacza), którą przedstawiliśmy niedawno w rozmowie – przy jej udziale – o jej ciotce (siostrze ojca), rzeźbiarce Jadwidze Horodyskiej (CL 3/04). W rodzinie Kingi było sporo znanych postaci. Jej dziadkiem był malarz Franciszek Horodyski, babką *po kądzieli* wielka dama, Kinga Balowa*, słynna niegdyś muza Jacka Malczewskiego, a do bliskich krewnych rodziny zaliczali się poeci Bohdan Zaleski i Kornel Ujejski.

* * *

Zaraz po 17 września 1939 r. ojciec Kingi, Kornel Horodyski, został przez sowieców aresztowany i zamordowany w Starobielsku. Matka z Kinią wyjechała do niedalekiej Rumunii, jednak w niedługim czasie zachorowała i umarła. Dziecko zostało całkiem samo, oddano je więc do sierocińca. Szczęśliwy traf sprawił, że – jak w bajce – zakład wizytowała jego opiekunka, rumuńska księżna Carragea**, dama dworu królowej. Pokazano jej dziewczynkę, która mówiła

tylko po polsku, trochę po francusku i niemiecku (takie miała bony), co uniemożliwiało personelowi porozumienie się z nią. Pani, po obejrzeniu pozostałych po matce dokumentów, zabrała Kingę do swego domu i podjęła się osobiście jej wychowania.

Kinga dorastała w zbytku – pamiętajmy, że przez okres II wojny życie w ówczesnej neutralnej Rumunii nie uległo większym zmianom. Język rumuński stał się jej własnym językiem. Wraz ze swymi opiekunami bywała na balach na dworze królewskim i tańczyła z młodym królem Karolem (będąc już na wygnaniu, król interesował się jej losami).

Sielanka trwała do czasu objęcia władzy w Bukareszcie przez komunistów, katastrofa jednak nastąpiła w 1948 r., kiedy zdeponowanego króla zmuszono do opuszczenia Rumunii. Wraz z nim uszło na emigrację do zachodniej Europy i Ameryki jego otoczenie, w tym rodzina Carragea. Ale Kingę, jako nie-Rumunkę odesłano do Polski. Przed samym Bożym Narodzeniem '48 pojawiła się w Krakowie na ul. Pijarskiej, gdzie – w gmachu Muzeum Czartoryskich – mieszkały jej ciotka i babka, których prawie nie pamiętała. To dla 16-letniej dziewczyny był szok najwięszy: całkowita zmiana otacza-



Kinga z mężem po ślubie, z ks. biskupem Karolem Wojtyłą



jących ją osób, ściśniętych w dwóch izdebkach przyziemia, zmiana środowiska narodowego i poziomu życia.

Szczęśliwie udało się umieścić Kingę u ss. Urszulanek przy Starowiślniej, gdzie miała podjąć naukę w gimnazjum. Problemem był jednak język polski, który już praktycznie zapomniała. Pomogło środowisko, w które weszła – u Urszulanek wtedy uczyły się jeszcze niedobitki z „dawnej dobrej sfery”. Własne obycie towarzyskie pozwoliło jej – teraz i w przyszłości – pozyskać szerokie (choć zmieniające się) grono zaprzyjaźnionej młodzieży, coraz bardziej dorosłej.

Po maturze myślała o medycynie, okazało się to jednak *marzeniem ściętej głowy*. Podjęła więc i ukończyła studia w Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego (późniejszej AWF). Potem przez wiele lat uczyła w szkole w Krzeszowicach.

To było jednak mało dla młodej osoby, pełnej temperamentu. Związała się z żeglarstwem, dochodząc do stopnia kapitana jachtowego żeglugi wielkiej. Corocznie wyjeżdżała na obozy żeglarskie na Mazury, w ziemie na bojery. Chodziła po górach, nie tylko polskich, jeździła na nartach.

Z końcem lat pięćdziesiątych, gdy władze przystępowały do przebudowy Muzeum Czartoryskich, nielicznych mieszkańców gmachu usunięto. Pani Jadwidze Horodyskiej udało się zdobyć obszerne mieszkanie przy ul. Basztowej 17.

W roku 1957 Kinga wyszła za mąż za Stanisława Wołkowickiego – nie tylko kolegę w sporcie, ale z rodziny od wielu lwowskich dziesięcioleci blisko zaprzyjaźnionej z jej rodziną***. Ślubu Kindze i Staszewi udzielił w Katedrze Wawelskiej biskup Karol Wojtyła. Będąc ówczynie sufraganiem krakowskim, mieszkał w pałacyku przy ul.

leśny. Pod koniec XIX w. lasy zajmowały ponad 2200 ha i obejmowały 14-hektarowy rezerwat buków, uważany za pozostałość praboru w paśmie Miodoborów.

Historia. W 2. połowie XVI i 1. połowie XVII w. Stratyn należał do rodziny Bałabanów h. Korczak. W 1602 r. Gedeon Bałaban, grekokatolicki biskup lwowski, założył tam szkołę i drukarnię ruską. Wydane w niej książki treści religijnej należą dziś do białych kruków. W 1671 r. właścicielem Stratyna był Gabriel Silnicki h. Jelita. Uzyskał on od króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego przywilej na cztery jarmarki roczne oraz na targi w piątki i niedziele. W XVIII w. dobra stratyńskie były już w posiadaniu rodziny Bekierskich h. Jastrzębiec, używających przydomku Kosiołek. Jako posag Konstancji Kosiołek Bekierskiej w 1771 r. dostały się Józefowi Bielskiemu h. Jelita, kasztelanowi halickiemu. Otrzymała je następnie w wianie ich córka Magdalena, wychodząc za mąż za hr. Ignacego Krasickiego, a później przechodziły kolejno w spadku na córkę Krasickich Konstancję, zamężną za Michałem Brzostowskim h. Strzebię, i na Anielę Brzostowską, żonę hr. Edmunda Krasickiego. Po nich odziedziczył je ich syn Michał, a po nim jego bratanek August, działacz społeczny i botanik, który był ostatnim właścicielem Stratyna w chwili wybuchu II wojny światowej.

Zabytki. Dwór wybudowany prawdopodobnie przez Bekierskich lub Józefa Bielskiego z materiału uzyskanego z rozbiórki starego zamku. Klasycystyczny, na rzucie prostokąta, dwukondygnacyjny; od frontu po bokach dwa krótkie skrzydła połączone tarasem z czterema kolumnami dźwigającymi balkon. Od strony ogrodu w XIX w. dobudowano dwukondygnacyjną werandę drewnianą. Dwór mieścił galerię obrazów (ok. 200), przeważnie malarzy obcych. Podczas I wojny światowej całe wyposażenie wraz z galerią zostało zniszczone, a dwór zdewastowany. W latach międzywojennych odremontowano tylko kilka pokoi.

Oficyna dworska z XVIII w. w typie dworu szlacheckiego z dwoma kolumnowymi gankami i wysokim, czterospadowym dachem. W okresie międzywojennym służyła jako siedziba właścicieli. Dwie baszty o niewielkich otworach strzelniczych – pozostałość z dawnego zamku, i wały obronne, zachowane do II wojny światowej.

Teksty opracowała Maria Taszycka

Kanoniczej 21 (dziś jest tam muzeum) i – jako blisko zaprzyjaźniony z ciotkami Kingi**** – udostępnił salę na parterze na przyjęcie weselne.

Niestety małżeństwo nie przetrwało, a mąż Kingi wcześniej zmarł. Po kolejnych odejściach swych ciotek została już sama na Basztowej (zamieniając mieszkanie na mniejsze w tej samej kamienicy), gdzie zebrała nieliczne już pamiątki: portrety rodzinne (głównie malowane przez swego dziadka), mniejsze rzeźby ciotki Jadwigi, albumy fotografii i uratowane dokumenty z kilku epok, pamiątki z wypraw żeglarskich. Jeszcze przez szereg lat jeździła na żagle, prowadziła życie towarzyskie.

I przyszedł zły czas. Kinga zachorowała niespodziewanie, a choroba rozwinęła się błyskawicznie. Umarła przed rokiem, 7 października 2006, spoczęła na Rakowicach.

* * *

Kinga miała w życiu dwie najbliższe przyjaciółki. W latach *nastoletnich* była to Marysia Geringerówna (potem Bocheńska, niestety młodo zmarła). W latach młodzieńczych i późniejszych – Małgosia Huczyńska, która do samego końca zastępowała jej najbliższą rodzinę. Korzenie rodzinne obu tkwiły we Wschodniej Małopolsce.

Kinga wybrała się raz za jałtański kordon, by – dzięki pomocy zamieszkałego we Lwowie kuzyna – odwiedzić rodzinne strony. Parokrotnie spotkała się w Paryżu ze swą rumuńską przyszywaną rodziną.

I to wszystko minęło...

Egon Leopolski

Podziękowanie dla p. Małgorzaty Huczyńskiej za pomoc w opracowaniu powyższego wspomnienia.

* Z domu bar. Brunicka. Rodzina Balów, pochodzenia węgierskiego, założyła Baligród, prawdopodobnie w XVI w.

** Czyt. *Karadzia*. Pani Carragea pochodziła z rodu niegdyś patrycjuszki konstantynopolańskich Kantakuzenów. Z rodziny tej wywodzili się dwaj cesarze bizantyńscy, Jan VI i Mateusz (XIV w.). Kantakuzeni jako *fanarioci* osiedli później w Wołoszczyźnie, byli tam gospodarzami.

*** Rodzina ziemiańska spod Żydaczowa. Natomiast dziadkiem *po kądzieli* S. Wołkowickiego był wybitny działacz polityczny i wiceprezydent Lwowa, Leonard Stahl.

**** Chodzi o pp. Jadwigę Horodyską oraz Adelę Duninową, która uczyła ks. Karola Wojtyłę języków. Patrz *Rozmowa* w CL 3/04.

Z żałobnej karty

Zaleszczykowiec



W Krakowie zmarł Zdzisław Buczkowski, głowa całej społeczności ekspatriantów z Zaleszczyk. Urodził się w 1926 roku, w rodzinnej miejscowości wzrastał i uczył się. W 1944 r. sowiecie zabrali go do armii i wcielili do lot-

niczej szkoły oficerskiej w Soroczyńsku w głębi ZSRR. Szczęśliwie niebawem dostał się do oficerskiej szkoły piechoty WP i wraz z polskim wojskiem dotarł do kraju. Demobilizacja objęła go w 1945 r., ale w sześć lat później wstąpił do szkoły oficerów rezerwy w Przemyślu, by po jej ukończeniu pełnić służbę pomocniczą w różnych jednostkach (Kraków, Rembertów). Wszędzie tam wykazywał się wysokimi kompetencjami, co doprowadziło go do rangi pułkownika.

W 1989 r. odszedł do rezerwy i wtedy całą swoją energię oddał pracy społecznej na rzecz rodzinnych Zaleszczyk. Trzy okupacje, aresztowania, deportacje na Sybir i do Kazachstanu, wywozy na roboty do Niemiec, mordowanie przez bandy UPA, ucieczki za granicę i tzw. repatriacja, czyli wyrzucenie nas z rodzinnych stron, spowodowały całkowite rozproszenie zaleszczykowiec (i nie tylko) po całym świecie.

Oto co pisze o tych czasach wieloletni współpracownik Z. Buczkowskiego, p. Tadeusz Trojanowski:

[...] *Tak mijały lata, a Polska Ludowa nie ułatwiała kontaktów, szczególnie z osobami zamieszkałymi za granicą. Ale czas działał na naszą korzyść: spotkaliśmy się przypadkowo w Krakowie ze Zdzisławem Buczkowskim i zaczęliśmy rozmyślać, czy i gdzie mogą być nasi współmieszkańcy Zaleszczyk. Rozpoczęliśmy poszukiwania. Zdzisław wykazywał ogromną inicjatywę. Skutki były zaskakujące.*

Znaleźliśmy w Krakowie kilka rodzin, ponadto również w Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu, Bytomiu, Katowicach, Jarosławiu, a ponadto w Anglii, Francji, Kanadzie,

Maciej Dęboróg-Bylczyński

JAKUB DĘBORÓG- -BYLCZYŃSKI

Jakub Aleksander Dęboróg-Bylczyński urodził się w 1881 r. we Lwowie jako syn Mieczysława, ck urzędnika rachunkowego Namiestnictwa we Lwowie, i Pauliny z domu Topollak. Pochodził z rodziny inteligentkiej o tradycjach szlacheckich. Familia Bylczyńskich herbu Dęboróg posiadała swoje rodowe gniazdo na kresach wileńskich, ich linii galicyjskiej dał zaś początek niejaki Szczepan, który w 1782 roku uzyskał potwierdzenie stanu szlacheckiego w monarchii wiedeńskiej.

W latach 1892–99 uczył się w Gimnazjum im. Franciszka Józefa (późniejsze III Gimnazjum S. Batorego) we Lwowie. W latach studiów (do 1904 roku) korzystał ze stypendium fundacji Franciszka Zawadzkiego i Samuela Słowińskiego, przeznaczonego dla młodzieży pochodzenia szlacheckiego. Pobierał też prywatne lekcje z zakresu teorii muzyki i kontrapunktu, dając tym samym wyraz swoim muzycznym pasjom. Na Uniwersytecie Lwowskim kształcił się w zakresie filozofii pod kierunkiem Kazimierza Twar-

dowskiego. Uczestniczył też w wykładach wybitnego romanisty prof. Porębowicza z literatury romańskiej i prof. Romera z geografii. Pragnąc poszerzyć swą wiedzę muzykologiczną zapisał się na semestr wykładów znanego niemieckiego teoretyka muzyki i kompozytora – Heinricha Urbana na Uniwersytecie Berlińskim.

Jego muzyczna pasja znalazła ujście w publicystyce. Już na trzecim roku studiów podjął stałą współpracę z warszawską redakcją „Echa Muzycznego, Teatralnego i Artystycznego” – pomieszczając w tym piśmie recenzje z muzycznej sceny Lwowa (cykl: *Dur i moll*). W latach kolejnych (1904–1908) był krytykiem muzycznym „Przeglądu Muzycznego, Teatralnego i Artystycznego” oraz lwowskiego „Dziennika Polskiego”. Równocześnie uczył geografii w I Wyższej Szkole Realnej we Lwowie (1903–13). Nie zrezygnował jednakże z publicystycznego daru. W sprawozdaniu dyrekcji swojego gimnazjum (za rok 1908/09) zamieścił okolicznościowy szkic o *Zawiszy Czarnym* Juliusza Słowackiego – składając tym samych hołd pamięci wieszczowi.

Ożenił się z Magdaleną Webersfeld, absolwentką konserwatorium, córką lwowskiego aktora i publicysty, z którą miał syna Pawła.

► *Izraelu. Wszyscy chcieli się spotkać, wszyscy żyli wspomnieniami o naszym pięknym mieście. Ale jak to zrobić?*

I tu rozwinęła się godna podziwu działalność Zdzisława. Nawiązanie łączności listowej i telefonicznej, zbadanie zgody władz na zorganizowanie zjazdu (mogło to być podejrzane!), ustalenie miejsca, sal na rozmowy i wiele spraw związanych z ewentualnym spotkaniem.

Mijał czas, mijały lata, aż wreszcie nadszedł okres tzw. odwilży i można było zjazd zorganizować. Nastąpiło to 20–21 lipca 1990 r., czyli po 50 latach, gdy nas „rozpędzono”. Przyjechali z całej Polski, Anglii, Francji, Izraela – było nas ponad 60 osób. [...] Atmosfera urocza, rodzinna, i w ten sposób powstała Rodzina Zaleszczycka, z naszym Zdzisławem na czele.

A obowiązków przybyło: życzeniem uczestników były stałe zjazdy Rodaków, wycieczki do Zaleszczyk, pomoc dla zniszc-

zonego kościoła. Wszystko zostało wykonane: kilka zjazdów, wycieczki do Zaleszczyk, dla kościoła ołtarz, konfesjonały, monstrancje i dzwonki, zegar na wieży kościelnej oraz wielokrotna pomoc dla pozostałych tam Polaków – pieniądze, artykuły spożywcze, odzież.

Zaleszczyki to już nie nasza piękna i czysta miejscowość, ale właśnie dlatego należało się nią zajmować. Zdzisław robił to chętnie, zawsze z ogromnym zaangażowaniem, korzystając z pomocy Towarzystwa MLiKPW, Caritasu, oo. Bonifratrów, oo. Michalitów i innych.

Robił to do chwili, kiedy zasnął. Ale na pewno śnią Mu się Zaleszczyki. Zawsze mówił: gdy już wszyscy będziemy „po tamtej stronie”, odnowimy tam działalność Rodziny Zaleszczyckiej.

Z pewnością tak będzie, bo nasza Rodzina ma twarde korzenie i jest niezniszczalna.

Przez lata publikował szereg felietonów teatralnych i krytyk muzycznych (m.in. w prasie lwowskiej – „Kurierze Lwowskim”, „Kurierze Porannym”, „Naszym Kraju”, „Gazecie Lwowskiej”, „Słowie Polskim”; w krakowskiej „Nowej Reformie” oraz warszawskiej: „Dniu”, „Słowie”, „Przeglądzie Muzycznym”, „Echu Muzycznym, Teatralnym i Artystycznym” i „Scenie i Sztuce”). Żywo angażował się w prace Towarzystwa Muzycznego we Lwowie, znajdując się m.in. w gronie członków Obchodu Szopenowskiego (zainaugurowanego dla upamiętnienia 100. rocznicy urodzin kompozytora). Po wejściu armii rosyjskiej do Lwowa nie przestał uczestniczyć w licznych inicjatywach kulturalno-oświatowych. Stało się to powodem jego zesłania w głąb Rosji, do Rostowa nad Donem.

Przebywając na Wschodzie, z zapałem przygotowywał społeczność polską do działalności niepodległościowej. Jako doświadczony pedagog angażował się w tworzenie kursów wieczorowych z historii Polski i literatury dla dzieci zesłańców. Zdając sobie sprawę z potrzeby niesienia kaganka oświaty, stworzył (i w latach 1916–18 kierował) polskie progimnazjum. Zainicjował też szereg spotkań i wykładów przy dzia-

lających w Rostowie Domu Polskim „Promień” i Klubie Polskim „Ogniwo”. Działaniami tymi znów naraził się władzom carskim, które przeniosły go do Saratowa nad Wołgą. Natychmiast podjął tu współpracę z Towarzystwem Wzajemnej Pomocy Pracowników Polskich i Komitetem Oświaty Polskiej. Podjął się też pracy przekładowej z języka francuskiego, włoskiego, niemieckiego i angielskiego na język polski i rosyjski. W Saratowie urodził się jego drugi syn – późniejszy aktor warszawski – Janusz.

Oswobodzony z kajdan zaborcy osiedlił się w 1920 r. w Warszawie, gdzie do 1925 r. był nauczycielem historii i propedeutyki filozofii w Gimnazjum im. Władysława IV (obecnie VIII LO). Prowadził też praktykę przedegzaminową z historii dla studentów filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Brał czynny udział w pracach warszawskiego oddziału Stowarzyszenia Dyrektorów Polskich Szkół Średnich Państwowych. Przeniesiony do Nowogródka – w latach 1925-30 był dyrektorem tamtejszego Gimnazjum im. Adama Mickiewicza. W 1930 roku przeniósł się po raz ostatni, tym razem do Tomaszowa Mazowieckiego, gdzie nauczał łaciny, języka polskiego, geografii i historii oraz pełnił

ROSJANIN, KTÓRY ZROZUMIAŁ POLSKOŚĆ

W poprzednim numerze podaliśmy smutną wiadomość o nagłej śmierci we Lwowie wielkiego przyjaciela Polaków i polskiej kultury, Walerego Bortiakowa.

Był Rosjaninem. Urodził się w 1941 r. w Krasnojarsku na Syberii, ale zaraz po wojnie jego rodzice znaleźli się we Lwowie. Wychował się więc od dziecka i wykształ-

cił w naszym mieście, którego polskości nie da się wszak do reszty zatrzeć. Nic dziwnego przeto, że dość wcześnie stanął w rzędzie pewnego grona inteligentnych i wrażliwych Rosjan, którzy – mimo wszystko – rychło wy-czuli i zrozumieli du-

cha i tradycję tego zachodnioeuropejskiego miasta.

Zawodowo parał się grafiką książkową, ale przede wszystkim scenografią. Swoją talent oddał Polskiemu Teatrowi Ludowemu, z którym współpracował przez lat 35, a w latach osiemdziesiątych objął na kilka lat dyrekcję tej sceny. Reżyserował i grał niemal perfekcyjnie, co tym bardziej zadziwiające, że żył przecież w mieście, gdzie zapanowały całkiem inne języki, a polszczyzna utrzymała się w zamkniętych środowiskach. Tym większa chwała dla Polaków we Lwowie – oby tak było dalej.

Warto jeszcze nadmienić, że z zapałem oddawał się projektowaniu witraży – sztuki związanej wszak z zachodnią kulturą.



Walery Bortiaków – autoportret

funkcję wicedyrektora Gimnazjum Humanistycznego, a następnie I Gimnazjum i Liceum. Czynnie uczestniczył w życiu kulturalno-oświatowym miasta. Jego mieszkanie stało się swoistym salonikiem literacko-muzycznym, gdzie spotykali się miejscowi ludzie nauki i kultury, a wielu z nich miało – jakże bliskie jego sercu – korzenie lwowskie (by wymienić choćby prof. Hilarego Schramma, dawniejszego dziekana Wydziału Lekarskiego UJK, związanego przez kilka lat z Tomaszowem). Zaangażowany w służbę Tajnej Organizacji Nauczycielskiej współorganizował w latach 1940–45 (m.in. we własnym mieszkaniu) zajęcia tajnych kompletów. Ogromny autorytet moralny, jakim cieszył się w środowiskach nauczycielskich i artystycznych, zawdzięczał nie tylko swojemu wybitnemu talentowi pedagogicznemu, ale i w równej mierze niezłomnemu charakterowi i wielkości serca, zawsze oddanego bez reszty sprawom Polski.

Wieloletnią pracę pedagogiczną i publicystyczną przerwała nagle śmierć Jakuba Bylczyńskiego w 1954 roku. Został pochowany na cmentarzu przy ul. Smutnej w Tomaszowie. Sercem Lwowiak, wielki acz skromny i spolegliwy Polak.

Zrealizował ich kilka w kościołach za kordonem. I jeszcze jedno wspomnienie: idąc za przykładem charakterystycznej szopki krakowskiej, Walery próbował zaprojektować szopkę lwowską, jako tło do naszych bożonarodzeniowych jasełek, jednak całkiem inną, oryginalną, lecz mocno tkwiącą w katolickiej tradycji.

Przedwczesne odejście Walerego Bortiakowa to ogromna strata dla nas wszystkich, ta mi tu. Żegnamy Cię z prawdziwym smutkiem.

Walery (czy Walera, jak się doń mówiło)

ofiarował nam swego czasu albumik ze swymi znakomitymi rysunkami. Kilka z nich reprodukuje, żałując, że nie możemy ich pokazać w kolorze.



Z TAMTEJ STRONY

TRZECI MAJA WE LWOWIE

Szczególnie obchodzono w tym roku święto 3 Maja we Lwowie. Na program – rozpoczęły mszą św. w Katedrze – złożyło się kilka wydarzeń patriotyczno-kulturalnych, z których najciekawsza była niewątpliwie okolicznościowa akademie, urządzona w pałacu Potockich. Bardzo ładnie opisał to piórem W. Tyrańskiego krakowski „Dziennik Polski” (z 10 V), dlatego pozwalamy sobie wykorzystać niektóre fragmenty.

W ostatni, długi majowy weekend wielu Polaków podążyło na Wschód – do Lwowa. To miasto niczym narodowe sanktuarium przyciąga ciągle dziesiątki „pielgrzymek” z Polski.

Czym przyciąga to magiczne miejsce? „To dawna, święta ziemia polska, groby ojców naszych i dziadów” – powie na Cmentarzu Łyczakowskim prosty człowiek [...] wygnany po wojnie z krainy dzieciństwa pod Zbarażem. [...]

Na Łyczakowskich grobach czcił święto 3 Maja także konsul generalny RP we Lwowie Wiesław Osuchowski, który powiedział: „Tu zawsze Polakom mocniej bije serce. Zwłaszcza w dniu takiego święta, które wrosło w nasze serca. Przypomina się rok 1918, heroiczna obrona polskośći Lwowa, za co życie oddały tysiące polskiej młodzieży. Leżą teraz tu, na Łyczakowie. Wśród nich owiany patriotyczną legendą Jurek Bitchan”.

[...]

Koncert rozpoczęły „Promyki Krakowa”, dziecięcy zespół folklorystyczny pod kierownictwem Romy Krzemieniowej. Myśli o wymogach poprawności politycznej nurtowały z pewnością Jerzego Bożyka, krakowskiego pianistę jazzowego i śpiewaka, kiedy przekraczał próg pałacu, by dać 3-majowy koncert pieśni patriotycznych. Rozpoczął klasycznie, od pieśni konfederatów barskich, przeszedł przez powstanie listopadowe, ga-

licyjską chłopską rabację i powstanie styczi-
niowe. Gdy doszedł do międzywojnia, pu-
bliczność wpadła w uniesienie, a artysta
porzucił wszelką myśl o politycznej popraw-
ności. Z jego ust popłynęła pieśń do słów
Feliksa Konarskiego, której refren brzmi:

*... po lwowsku powiem ci tak:
niech ten Poczdam krew zaleje,
a niech tę Jajtę trafi szlag.*

Potem Bożyk bisował wielokrotnie, wzru-
szając i patriotycznie przemówił konsul
Osuchowski, a na cześć artysty odśpiewa-
no gromkie „Sto lat”.

Wydarzenia

Ucrainica

◆ *Drogą internetową otrzymaliśmy informa-
cję pod następującym tytułem:*

**Komunikat Prasowy. We Lwowie wy-
startowało nowe Wydanie Internetowe –
www.zaxid.net.**

*Tu wyjaśniająca uwaga: słowo „zaxid”
ma zapewne oznaczać zachid, czyli po
polsku „zachód”. Użyta tam litera „x” jest
w cyrylicy czytana jako ch. U nas jednak
używa się pisowni łaćńskiejsj.*

Dla jasności: jest to oczywiście ukraiń-
ska inicjatywa. Autorzy piszą m.in.:

Lwów interesuje nas jako polis; jako miej-
sce priorytetowego rozwoju, jako fenomen
historyczny oraz społeczno-kulturowy, jako
miasto, w którym mieszkamy.

Zachid.net postara się zrozumieć, czy
Lwów potrafi stać się współczesnym konku-
rencyjnym miastem. Będziemy analizować
cele i zadania miasta Lwowa. Oznacza to,
że interesuje nas nie tylko „jak jest”, ale tak-
że „w jakim stopniu to, co jest, odpowiada
temu, do czego my, lwowianie, dążymy”.

Zachid.net wyświetlać będzie obiektyw-
ną, precyzyjną i wyważoną informację, do-
tyczającą Lwowa jako kluczowego polityczne-
go, kulturowego i duchowego centrum Ukra-
iny; regionalnego lidera Ukrainy Zachodniej
i ważnego pod względem strategicznym mi-
asta ukraińsko-polskiego pogranicza.

[...]

Zachid.net – to autorskie wiadomości
w języku ukraińskim, polskim oraz rosyjskim.
których źródłem będą nie domysły czy insy-
nuacje, a sprawdzone fakty oraz rzeczywi-
ste wydarzenia. Pełny zakres wydarzeń we

Lwowie czytelnicy zachid.net będą mogli od-
tworzyć przy pomocy Kalendarium.

[...]

*Nie wszystko jest tu zrozumiałe – przede
wszystkim, po co w grę wchodzi również ję-
zyk rosyjski? Rosja, Rosjanie, Związek So-
wiecki – miały jednoznacznie negatywny
wpływ na dzisiejszą sytuację i obraz Lwo-
wa we wszystkich objawach życia. Warto
z tym skończyć, tym bardziej, jeśli priory-
tety autorów projektu zwracają się ku za-
chodowi.*

A co dalej, zobaczymy.

POLACY Z POLAKAMI

Do zapamiętania

W bieżącym roku przekazano Siostram
Dominikankom w Żółkwi w trzech tran-
szach:

- (marzec) 4 worki odzieży i obuwia oraz
książki szkolne i literaturę dla prowadzo-
nej przez Siostry szkoły;
- (maj) 8 worków odzieży i 1 worek z le-
kami;
- (maj) 6 worków z odzieżą i obuwiem,
350 zeszytów, długopisy i kredki, książki
szkolne;

oraz:

- 5 tysięcy zł na kolonie dla dzieci.

W Krakowie i dalej

Notatki

◆ W Przemyślu trwają przygotowania do
przenosin Muzeum Narodowego Ziemi Prze-
myskiej do nowo wznoszonego gmachu, po-
dobno supernowoczesnego, jakiego dotąd
w RP nie zbudowano. Do przeniesienia jest
150 tysięcy eksponatów, w tym wiele bez-
cennych.

Tyle podano w prasie za PAPem. Nie
wspomniano jednak, że budowa była ko-
nieczna, ponieważ **Polska po raz kolejny
wywiązuje się z obowiązków (?)** wobec

mniejszości narodowych, nie łącząc tego niestety z analogiczną sytuacją po obecnej stronie ukraińskiej. Przykładem już kilkakrotnie odmawianie obiektu lub terenu dla Domu Polskiego we Lwowie, który strona polska chce kupić, gdy tamci odzyskują „swoje” za darmo. Pisaliśmy już o tym parokrotnie.

Obawiamy się, że taką polityką wcale niczego nie zyskujemy, przeciwnie – tam zapewne uważają to za naszą słabość. Dotychczasowy gmach wraca w posiadanie Cerkwii greckokatolickiej – podobno był to przed wojną pałac biskupi.

◆ W maju br. **zmarł w Krakowie Emil Czawa**, członek TMLiKPW oraz Koła Samborzan w Krakowie. Urodził się w 1923 r. w Samborze. W czasie pierwszej okupacji

sowieckiej jego ojciec, jako wojskowy, został wywieziony – ślad urwał się w Worcu. Matka z synem uciekła z Sambora i ukryła się na wsi. W 1944 r. E. Czawa wstąpił do tworzącej się Armii Polskiej, skierowany do wojsk saperskich. Ukończył szkołę saperską we Wrocławiu, a ok. roku 1949 został przeniesiony do Krakowa. Tu odegrał istotną rolę w organizowaniu jednostki wojsk inżynieryjnych. Został szefem sztabu, a okresowo pełnił funkcję dowódcy jednostki. W latach 60. został podpułkownikiem. Honorowy stopień pułkownika otrzymał przechodząc na emeryturę w 1979 r.

Emil Czawa przez wiele lat powojennych brał udział w rozminowywaniu terenów w wielu częściach kraju, zyskując uznanie ludności, o czym świadczą zachowane listy z podziękowaniami m.in. od proboszczów.

KULTURA NAUKA

JUBILEUSZ NESTORKI KRZEMIENIECKIEJ 95-lecie Pani Ireny Sandeckiej

W kwietniu '07 pani Irena ukończyła 95 lat. Z tej okazji urządzono w sali Szkoły Muzycznej w Krzemieńcu uroczystość jubileuszową. Organizatorem było krzemienieckie Towarzystwo Odrodzenia Kultury Polskiej im. J. Słowackiego. Przybyły wszystkie pokolenia mieszkańców Krzemieńca – dzieci, młodzież, dorośli, starzy – ponieważ Panią Irenę znają wszyscy, a zwłaszcza ci, którzy przyznają się do korzeni polskich. Zjawilo się kilka pokoleń uczniów: tych starszych, których uczyła języka polskiego i religii w czasach sowieckich, młodszych – których przygotowywała do egzaminów wstępnych na studia w RP, i najmłodszych – którym kibicuje przy nauce w polskiej szkole niedzielnej. Wszyscy przynieśli prezenty i kwiaty oraz słowa pamięci, uznania i wdzięczności.

Na uroczystość trwającą około trzech godzin przybył konsul polski ze Lwowa, który wręczył jubilatce duży bukiet kwiatów i od-



znaczenie *Zasłużona dla kultury polskiej*. W licznych wypowiedziach współmieszkańcy z Krzemieńca potwierdzali słusność tego tytułu. Bowiern przez kilkadziesiąt lat Pani Sandecka ratowała i rozwijała kulturę polską w Krzemieńcu. Przez 30 lat była opiekunką i organistką kościoła parafialnego, nauczycielką (i autorką ułożonego przez siebie elementarza), bibliotekarką gromadzącą i udostępniającą polskie książki w własnym domu, współzałożycielką Towarzystwa Odrodzenia KP i współautorką jego statutu. Ale przede wszystkim była i jest kopalnią wiedzy o Krzemieńcu, o historii Polski, o Juliuszu Słowackim, o Liceum Krzemienieckim i jego ludziach. O tym, co pokochała przed laty i kocha do dziś.

Jubilatka z zadowoleniem wysłuchała występów chórów i zespołów, deklamacji dzieci ze szkoły niedzielnej, przemówień, a następnie sama zabrała głos. Przez 35 minut, na stojąco, swobodnie, czasem żartobliwie, odpowiadała na hołdy i komplementy. Bardzo prędko pozostawiła przygotowany tekst swego przemówienia i jak zwykle poniosła ją improwizacja. A goście siedzieli zasluchani. Całość uroczystości, panująca na niej atmosfera serdeczności i życzliwości udowodniły, jak wielkim autorytetem jest w Krzemieńcu polska Nestorka – nauczycielka i przewodniczka nie tylko formalna, ale też duchowa, która do końca jest wierna swej misji.

Kiedyś Pani Irena wyraziła się, że widocznie nad Krzemieńcem przeleciał *genius loci*, powodując znaczące wydarzenia i obecność niezwykłych ludzi. Do grona tych niezwykłych, którzy pojawili się w tym mieście, zaliczyć trzeba także 95-letnią dziś Panią Irenę Sandecką.

Na podstawie relacji p. Jadwigi Gusławskiej spisała Danuta Trylska-Siekańska

Kronika

◆ Z okazji 80. rocznicy urodzin **prof. Krystyna Moszumańska-Nazar** otrzymała *doktorat honoris causa* krakowskiej Akademii Muzycznej.

K. Moszumańska urodziła się we Lwowie. W Krakowie znalazła się po II wojnie, tu ukończyła – rozpoczęte we Lwowie – studia muzyczne, została profesorem. Była wieloletnim rektorem Akademii Muzycznej, ma wielkie zasługi dla tej uczelni. W jej dorobku kompozytorskim jest ponad 70 utworów.

Uroczystość odbyła się w kwietniu, a dokonania laureatki przypomniał Krzysztof Penderecki – określił ją jako dziś *pierwszą damę polskiej muzyki współczesnej*.

K. Moszumańska-Nazar nie angażuje się w sprawy *kresowe*, jednak zawsze podkreśla swoją lwowskość. Na pamiętny koncert *Homagium Leopoli* w 1994 r. skomponowała *Fresk III „lwowski”*.

◆ Lubiane w Krakowie i często podróżujące za wschodnią granicę – ale także do wielu krajów Europy Zachodniej – „**Promyki Krakowa**” obchodzą **20-lecie swojego**

istnienia. W repertuarze mają także piosenki lwowskie, których sympatyczne wykonanie przyczynia się w niemałym stopniu do popularyzacji w nowym społeczeństwie dzisiejszej RP – Lwowa i całej tamtej Ziemi i wpływa na ruch turystyczny, na czym nam wszak bardzo zależy.

W CL 3/06 zamieściliśmy rozmowę z twórczynią i kierowniczką Zespołu p. Romą Krzemień. Dziś załączamy z okazji jubileuszu gratulacje i serdeczne życzenia dalszych sukcesów i podróży artystycznych.

◆ W Klubie „Zaułek” w Krakowie odbyła się w lutym **promocja przewodnika Lwów** (Wydawnictwo „Rewasz”, Pruszków 2006), napisanego przez Przemysława Włodka i Adama Kulewskiego. Udział wzięli obaj autorzy oraz przedstawiciele oficyny wydawniczej. Pokazano również wiele innych przewodników tego samego wydawcy, poświęconych Ziemiom Wschodnim. Przewodniki i spotkania cieszyły się dużym zainteresowaniem. Przewodnik omawiamy w dziale *Nowe książki* w tym numerze.

◆ Przy Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej powstało przed 10 laty (1997) **Studenckie Koło Naukowe „Podole”**, którego *podstawowym celem jest przywrócenie do świadomości młodzieży (i chyba nie tylko) znaczenia dawnych Kresów dla historii i kultury nie tylko naszego kraju, ale i całej Europy. Działalność ta jest fragmentem szerokiego interdyscyplinarnego programu badawczego nad wielokulturowym dziedzictwem dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej, realizowanego w Instytucie Historii Architektury Politechniki Krakowskiej*.

Tę ciekawą informację, która trafia w nasze najgłębsze intencje, przeczytaliśmy w artykule J. Czubińskiego w krakowskim „Dzienniku Polskim” z 17 IV '07.

◆ Grupa naukowców – geochemików i geofizyków – wyjechała ostatnio z **Krakowa do Staruni** k. Bohorodczan (woj. stanisławowskie), gdzie w 1907 r. odkryto szczytki mamuta i nosorożca włochatego sprzed 30 tysięcy lat. W 1929 r. znaleziskami zainteresowała się PAU z Krakowa, szczytki zwierząt wydobyto i zabrano do Krakowa w celu dokonania badań. W efekcie nosorożec trafił do Muzeum Przyrodniczego

w Krakowie, a mamut do Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie. W CL 3/66 zamieściliśmy artykuł H. Kubiaka na ten temat pt. *Starunia – paleontologiczne związki Krakowa ze Lwowem*.

Po wstępnych badaniach, w następnej kolejności do Staruni pojadą geolodzy i archeolodzy, by podjąć dalsze poszukiwania zwierząt i roślin z tamtej epoki, a może nawet człowieka. W sumie będą trzy wyjazdy w tym roku, a badania potrważą do 2009 roku.

Marek Wenecki

Ksi¹żki czasopisma

Nowe książki

📖 Pani **Włada Majewska** opisała swoje życie, dodajmy: swoje piękne, błyskotliwe i owocne życie. Bogactwem tego żywota obdzieliła kilka pokoleń w wielu miejscach Europy, w których lwowianie byli zawsze w pierwszym rzędzie.

Najpierw były więc lata lwowskie – to było piękno wesołe. Potem lata wojny – to było piękno walczone. W końcu najdłuższe lata emigracyjne – to było piękno pamięci. Wszystkie owe trzy rozdziały życia zamykają się w książce, która nosi tytuł: **Z Lwowskiej Fali do Radia Wolna Europa** (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2006). Tom ma ponad 200 stron i ogromną ilość zdjęć ze wszystkich trzech epok.

Książka Pani Władę to nie tylko historia jej życia. Jej niezwykła aktywność oraz talenty artystyczne i towarzyskie sprawiły, że była zawsze w centrum wydarzeń i spraw każdej po kolei epoki i miejsca swego życia. Pierwsza i trzecia – w miarę stabilne – dały tytuł wspomnieniom. Ale między nimi była jeszcze jedna, najbardziej niezwykła: przenoszenie się po wojennych frontach i miejscach stacjonowania polskich oddziałów, życie w namiotach i środkach transportu – i nieustanne występy. To były przeżycia niesłychane: po jednej stronie „Lwowska Fala” z Władą Majewską, Szczepkiem i Tońkiem, z naszym niezapomnianym –

tu w Krakowie – panem Stanisławem Wasiuczyńskim i paronastoma innymi sławnymi osobami, z drugiej żołnierze wyzwoleni z „nie ludzkiej ziemi”, korpus oficerski z generałami Maczkiem, Borutą-Spiechowiczem, Rayskim, Andersem, Rudnickim, nawet Sikorskim...

Kolejne kilkadziesiąt lat w Londynie, współpracą z „Wolną Europą”, której słuchała po kryjomu cała zniewolona Polska. Za pośrednictwem WE – kabaret Hemara, setki imprez, piosenek, wierszy. To był wspaniały wkład w psychiczne przetrwanie narodu w kraju i na emigracji. Włada Majewska zawsze należała do czołowych postaci tej szczególnej walki.

Dodajmy na koniec najwcześniejsze lata – lwowskie. Wczesna młodość, nauka, pierwsze występy w „Wesołej Lwowskiej Fali” u boku wspaniałych artystów, autorów. I coraz większa samodzielność, popularność. To był początek wszystkiego...

Ta książka jest więc historią Polski widzianą poprzez jedno życie. Życie, które toczy się wśród ważnych wydarzeń, w miejscachznaczonych przez historię i obok niecodziennych ludzi.

📖 Do najważniejszych prac, dokumentujących naukę i kulturę polskiego Lwowa, należy w ostatnim czasie książka napisana przez prof. **Jana Drausa** z Uniwersytetu Rzeszowskiego – **Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie 1918–1946. Portret kresowej uczelni** (wyd. Księgarnia Akademicka, Kraków 2007).

Choć prof. Draus nie należy do naukowców najmłodszych (ur. 1952 w Kolbuszowej), to i tak reprezentuje pokolenie urodzone i wykształcone sporo po odebraniu nam Lwowa. Jednak pamięć o jednej z najważniejszych stolic naszej nauki i kultury jest zawsze na tyle silna, że przyciąga coraz to więcej uczonych i zespołów naukowych młodszych pokoleń. Świadczy o tym wzrastająca podaż wydawnicza nie tylko w największych miastach, jak Warszawa, Kraków, Wrocław, ale także tych średnich: Rzeszów, Kielce, Lublin, Częstochowa czy Opole.



Profesor Draus rozpoznał i opisał UJK lat międzywojennych wielostronnie. Omówił krótko jego tradycje od XVII wieku (uniwersytet lwowski stał się trzecim w Polsce, po krakowskim i wileńskim, a potem długo, długo nic...), jego strukturę (5 wydziałów*) i sławne szkoły naukowe: filozoficzną K. Twardowskiego, prawniczą O. Balzera, kartograficzną E. Romera, antropologiczną J. Czekanowskiego, biochemiczną J. Parnasa i R. Weigla, matematyczną z całym zespołem sław światowych, muzykologiczną A. Chybińskiego, historyczno-społeczną i gospodarczą F. Bujaka.

We wstępie autor pisze: [...] *Wszechnica Lwowska, która w dwudziestoleciu międzywojennym przeżywała apogeum pod względem naukowym, posiadała pełną świadomość swojej historycznej misji na Południowo-Wschodnich Kresach. Lwowski i emigracyjny historyk Stefan Mękarski określili tę uczelnię jako Academia Militans.* [...] A dalej:

Propanstwowa postawa Uniwersytetu Jana Kazimierza nie oznaczała negatywnego stosunku do mniejszości narodowych. Jakkolwiek relacje polsko-ukraińskie czy polsko-żydowskie nie zawsze układały się dobrze, to jednak władze Uniwersytetu konsekwentnie podkreślały pozytywny stosunek wobec postulatów naukowych i kulturowych Ukraińców i Żydów, lecz na gruncie państwowości polskiej. Senat uniwersytecki, odnosząc się w 1924 r. do rządowych decyzji powołania uczelni ukraińskiej, stwierdził m.in.: „Rzeczpospolita czynem tym pragnie – w myśl dawnej tradycji polskiej – dać swym obywatelom, żyjącym z nami od wieków na wspólnej kresowej ziemi, dowód sprawiedliwości i gotowości spełnienia ich upragnionych żądań w dziedzinie swojskiej kultury, która może swobodnie rozwijać się na ścisłym gruncie państwowości polskiej”. [...]

W dwudziestoleciu międzywojennym Uniwersytet Jana Kazimierza, obok dorocznych lwowskich Targów Wschodnich, był także ambasadorem międzynarodowej pozycji Lwowa. Właśnie na tych in-

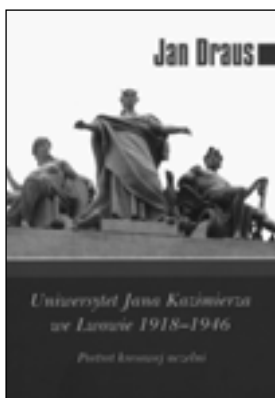
stytucjach spoczął główny ciężar promowania miasta podczas planowanych na rok 1940 międzynarodowych obchodów jego 600-lecia. Niestety, wybuch II wojny światowej przeszkodził w tej wielkiej lwowskiej inicjatywie. Zamiast dyskusji o przyszłości i wykuwania nowej cywilizacyjnej roli tego miasta, Uniwersytet ponownie wezwano został do egzaminu z patriotyzmu, dzielnie broniąc Lwowa i walcząc z upokorzeniami i terrorem dwukrotnej okupacji sowieckiej oraz okupacji niemieckiej. [...]

W rozdziale I szczegółowo zostały omówione poszczególne wydziały i podane skrócone życiorysy profesorów (a także rektorów całego XX-lecia). Autor omówił udział kadry naukowej w życiu publicznym i politycznym państwa, a dalej działające na uczelni organizacje studentów polskich i niepolskich (ukraińskich, żydowskich, niemieckich), nie pomijając problemu sporów i konfliktów tamtego czasu.

Dwa kolejne rozdziały (II i III) dotyczą uniwersytetu w okresach pierwszej okupacji sowieckiej (1939–41) i niemieckiej (1941–44). Przedstawiono wszystkie zmiany ideowe, organizacyjne (z nazewniczymi włącznie) i personalne. W tych ostatnich wymieniono zmarłych i zamordowanych (w tym każdy profesorów w 1941 r. – uwzględniono wszystkie uczelnie lwowskie), deportowanych, usuniętych z uczelni i tych, którzy znaleźli się za granicą w różnych krajach świata.

Następny rozdział (IV) omawia działalność UJK w konspiracji. Ostatni rozdział (V) odnosi się do drugiej okupacji sowieckiej, która przyniosła dramatyczny kres naszego Uniwersytetu. Autor pisze o represjach i ekspatriacji, a w końcu opisuje diasporę Uniwersytetu, którego kadra naukowa rozeszła się po wszystkich niemal uniwersytetach powojennej Polski (nie mówiąc o emigracji), wnosząc wybitny wkład w ich reanimację lub wręcz tworzenie od nowa. Jednak nawet w takiej sytuacji nie uniknęli lwowianie licznych przykrości, a nawet prześladowań ze strony władz komunistycznych, które obawiały się większych zorganizowanych skupisk inteligencji lwowskiej i wileńskiej. We Lwowie pozostali nieliczni pracownicy nauki UJK i innych uczelni.

Na końcu książki zamieścił autor słownik biograficzny tajnego UJK, obejmujący ok. 120 nazwisk.



Pracę prof. Jana Drausa trzeba ocenić jako wybitne źródło informacji o najlepszych i o tragicznych losach naszego lwowskiego Uniwersytetu. Nie dziw, że możliwość jej zakupienia w księgarniach graniczyła z cudem.

* Humanistyczny, Prawa, Matematyczno-Przyrodniczy, Lekarski i Teologiczny. W roku akademickim 1938/39 UJK liczył 104 katedry, miał 86 profesorów oraz 110 docentów.

📖 W ciągu minionych prawie 20 lat doczekaliśmy się niemałej liczby nowych przewodników po Lwowie, poczynając od Terleckiego z 1990 r., potem był szereg dalszych, które zawsze witaliśmy i polecaliśmy z satysfakcją naszym Czytelnikom. Był jeden wyjątek – bardziej z powodów ideowych niż merytorycznych – nie mieliśmy jednak powodów, by rekomendować coś, co obrażało nasze uczucia (nb. ów autor określił nasze uwagi jako *infantylnie* – tyle potrafił odpowiedzieć). To tytułem wstępu.

A teraz ukazał się nowy przewodnik **Lwów** (Oficyna Wydawnicza „Rewasz”, Pruszków 2006), który nie tylko jest świetny merytorycznie, ale ma też w sobie coś, co wykracza poza klasyczne informacje przewodnikowe i zbliża nas do ducha tamtego Miasta – jego polskiej historii i kultury, ludzi i całej niepowtarzalnej społeczności oraz codziennego życia, jego prozy i poezji. Zaskakujące to, że główny autor przewodnika, **Przemysław Włodek**, zamieszkały w Krakowie, po pierwsze nie ma żadnych korzeni lwowskich czy wschodniomałopolskich, po drugie jest bardzo młody, po trzecie jest lekarzem i ciężko pracuje zawodowo. Współautorem jest **Adam Kulewski**, profesjonalista, który tekst Włodka – jak się dowiadujemy – sprowadził bardzo sensownie na ziemię, ponieważ pierwotny (którego fragment drukowaliśmy w CL 3/04) zawierał ogromną ilość wiadomości, znakomitych, lecz trudnych do pomieszczenia w formie przewodnika. Mamy jednak nadzieję, że się nie zmarnują!

Ale właśnie te liczne, drobne informacje stanowią magnes dla tych czytelników, którzy znają główne zabytki i obiekty Lwowa i jego okolic. Dla ludzi dopiero poznających Lwów wiadomości podstawowe – o obiektach, instytucjach, wydarzeniach i ludziach

są opracowane wyczerpująco, z licznymi wyjaśnieniami dodatkowymi (nie tylko w ramkach), planikami i fotografiami starymi i współczesnymi, cytatami, a nawet nutkami. Zaskakujące bogactwo i różnorodność informacji.

Oczywiście, jak wszędzie, znajdzie się tu jakaś ilość braków, błędów, nieścisłości, jednak absolutnie nie obniża to wartości omawianego przewodnika. Drugie wydanie być musi, więc autorzy mają okazję do dalszego ulepszenia swego dzieła..

📖 Tę książkę opublikował **Witold Szolginia** dawno, 13 lat temu, ale jakimś trafem dopiero teraz do nas dotarła. Nosi tytuł ***Pudełko lwowskich wspomnień pełne***, wydały „Sudety”, Wrocław 1994.

I rzeczywiście, jest to zbiór opowiadań o lwowskich latach jego życia, dzieciństwie, dorastaniu, latach szkolnych, a także o rodzinie, nauczycielach, kolegach i przyjaciółach. Ale na tym tle o różnych ciekawych przedmiotach, które Szolginia starannie opisuje, analizuje, kojarzy wydarzenia, sięgając do własnej, głębokiej erudycji i znajomości wszystkiego co lwowskie. Dlatego czyta się to z zaciekawieniem, ale i rozrzwienieniem, bo przed oczami staje miniony świat starego (tak, starego, bo ubiegłowiecznego!) Lwowa. Ktoś powie: te lata wszędzie rozrzwniają, w Krakowie, Warszawie czy Suwałkach, lecz na to odpowiemy: tak, ale tam pozostała ciągłość (może najgorzej z tym w zniszczonej Warszawie), we Lwowie zaś tej ciągłości tyle, co na lekarstwo. Dlatego szanujmy i doceniajmy każdy uratowany drobiazg, tak jak to robił Szolginia...

📖 W Krakowie czynna jest przez cały rok 2007 wystawa malarstwa Fryderyka Pautscha, zatytułowana ***Sceny huculskie***. Poprzedziła ją wystawa tegoż artysty ***Portrety***, a ma ich być podobno jeszcze trzy: ***Sceny rodzajowe***, ***Sceny wojenne*** i ***Pejzaże***. Skąd ów urodzaj na tego właśnie malarza?

Kim był F. Pautsch, dobrze pamiętamy (1877–1950, patrz CL 3/97). Urodził się w Delatynie nad Prutem jako syn leśnika, do



szkół chodził we Lwowie. Potem były studia w Krakowie i za granicą, paroletnia działalność artystyczna we Wrocławiu, a po odzyskaniu niepodległości przez kilka lat w Poznaniu, skąd w 1925 r. przeniósł się do Krakowa i tu mieszkał i działał do śmierci po II wojnie.

Dla nas ważne to, że pozostał Pautsch wierny swoim (i naszym) stronom. Wraz z Kazimierzem Sichulskim i Władysławem Jarockim tworzyli „trójkę huculską”, oddając się malowaniu piękna tamtych gór i huculskiego folkloru.

Dzieła Pautscha znalazły się w wielu muzeach polskich, jednak nie miała ich ilość pozostała w krakowskim domu artysty. Po pięćdziesięciu latach córka ofiarowała je Muzeum Archidiecezjalnemu w Krakowie.

Jak wieść *gminna niesie* w Krakowie, rodzina proponowała pierwotnie inne rozwiązanie: objęcie przez tutejsze Muzeum Narodowe całej schedy po F. Pautschu, wraz z jego stylową willą, jej odnowienie oraz stworzenie tam oddziału MN, poświęconego temu artyście. Swoje muzea we własnych niegdyś domach mają wszak w Krakowie Jan Matejko i Józef Mehoffer. Tej atrakcyjnej idei nie przyjęło Muzeum Narodowe, zapewne ze względów finansowych i techniczno-organizacyjnych.

Po tej długiej dygresji biograficznej wracamy do *nowych książek*: z okazji wystaw wydano dwa piękne albumy: **Fryderyk Pautsch. Portrety** oraz **Fryderyk Pautsch. Sceny huculskie**. Autorem jest dyrektor Muzeum, ks. **Andrzej Nowobilski** (wyd. Muzeum Archidiecezjalne, Kraków 2006?).

Trzeba wyrazić ogromne uznanie autorowi i zarazem wydawcy obu albumów. W części tekstowej dowiadujemy się bardzo wiele

o artyście, jego życiorysie i twórczości, w których wątki wschodniomałopolskie i lwowskie odgrywają niemałą – a w pewnej części – zasadniczą rolę. Zdjęcia obrazów (w pierwszym tomie 78, w drugim 56) wykonał ks. Marek Wasil, ponadto sporo innych fotografii.

📖 Wśród wielu albumów malarstwa, jakie się uka-

zują, ten zwraca szczególną uwagę: Portrety, które prezentuje, są z pozoru dla odbiorcy całkowicie zrozumiałe (tym bardziej że ich większość przedstawia samą autorkę o oryginalnej urodzie albo osoby do niej bardzo podobne), a jednak nie jest to malarstwo w pełni realistyczne.

Mówimy o albumie pokazującym twórczość **Wandy Macedońskiej – Malarstwo i rysunek** (Wydawnictwo Konserwatorów Dzieł Sztuki, Łódź 2004), wzbogaconym o wstęp napisany przez autorkę w sposób – jak wszystko – oryginalny co do treści i formy. Część jest przedstawiona pismem drukowanym, część zaś – odręcznym: to zwierzenia artystyczne i całkiem prywatne, rodzinne. Na końcu znalazły się wypowiedzi wielu ciekawych ludzi o Wandzie Macedońskiej.

Warto tu przybliżyć osobę artystki. Urodzona przed wojną we Lwowie (jej ojciec rodem ze Złoczowa). Bratem jest Adam Macedoński, znany grafik (jego sztuka jest też czymś ogromnie oryginalnym) przez wiele lat związany z dawnym, krakowskim „Przekrojem”, zarazem wybitny działacz antykomunistyczny, niepodległościowy.

Pani Wanda jest żoną Władysława Zalewskiego – oczywiście! wnuka i syna właścicieli słynnej cukierni z ulicy Akademickiej. Pan Władysław jest profesorem krakowskiej ASP, wybitnym konserwatorem dzieł sztuki.

O Lwowie mówi się w tej rodzinie bardzo dużo, co można też znaleźć w omawianym tu albumie.

Wracając do twórczości W. Macedońskiej: twarze przez nią malowane są z zasady piękne, aż do bólu. Głowy lub popiersia oglądamy zawsze na nierealnym, bajecznym tle – krajobrazie lub wnętrzu. Portretowane osoby mają oryginalne stroje (lub wcale ich nie mają), a wokół nich roi się od przedmiotów (najwięcej zegarów i ptaszków), które osobę ozdabiają bądź otaczają. I jeszcze wkomponowane napisy – przeważnie sentencje, z zasady łańciskie.

A więc surrealizm, który posługuje się realistycznymi formami, jednak skojarzonymi w sposób zaskakujący. W budowie malowanych przez siebie twarzy i postaci Macedońska korzysta z nauki mistrzów renesansu i baroku, ale w kompozycji obrazów jej mistrzem jest największy surrealist na-





szych czasów, Salvador Dali.

Jest więc Wanda Macedońska ważną postacią naszej sztuki współczesnej. I kiedy się o tym myśli, wraca żal, że i ona, i cała jej rodzina nie mogą tworzyć dalszego ciągu kultury Lwowa, przerwanej przed niemal siedmioma dziesiątkami

lat. Iluż podobnych artystów rozbiegło się po całym świecie...

O Bogdanie S. Kasproviczu piszemy ostatnio dużo i coraz więcej, o jego twórczości poetyckiej i nie-poetyckiej. Mniej znana jest nam poezja innych *Hanysów* (jak sami o sobie piszą): **Marcina Hałasia** i **Lesława Nowary**, urodzonych na Górnym Śląsku, ale ze wschodniomałopolskimi korzeniami i duchem, bo tam los zagnał ich rodziny z naszych stron. Nie jest jednak ta twórczość całkiem nam nieznana, bo już kiedyś pisaliśmy o ich pięknych wierszach zamieszczonych w „Roczniku Lwowskim” (CL 2/05). Do tego właśnie faktu nawiązały sympatycznie **Bogdan Kasprovicz** we wstępie do tomiku **Daleko od Lwowa**, na który złożyły się wiersze wszystkich trzech. Wydał je oczywiście J. Wasylkowski w swym Instytucie Lwowskim (Warszawa 2006).

Czytając wiersze owych trzech twórców, pozostajemy pod ich wrażeniem z paru powodów. Po pierwsze: choć żaden z nich nie jest zawodowym poetą, ich wiersze wykazują absolutne opanowanie sztuki poetyckiej, w sensie artystycznym, duchowym, intelektualnym. Profesjonalizm osiągnany jest przez przeżycie i – po prostu – talent. Po drugie: wszyscy trzej urodzili się na Śląsku – w Bytomiu, Katowicach, Gliwicach, więc wzrosli i dojrzeli wśród ekspatriantów. Udzielił im się lwowski (i samborski) duch i znajomość miasta, sprawdzona osobiście po latach. Umieeli znaleźć w tym mieście – mimo jego parudziesięcioletniej degrengolady – to, co wiedzieli z przekazów rodziców, środowiska, lektur. Nie zawiedli się. Znajdujemy to w ich wierszach.

Czytelnikom, którym nie udało się dotąd nabyć tomiku *Daleko od Lwowa*, przedstawiamy kilka utworów – na stronie *Wiersze*.

Nie po raz pierwszy Wydawnictwo WSP w Kielcach zaskakuje nas znakomitą książką o Lwowie. Nie jest to rzecz najnowsza, bo ukazała się w r. 1996, temat jednak historyczny, więc ciągle aktualny: **Polskie społeczne placówki wydawnicze we Lwowie w dobie autonomii galicyjskiej**, autorstwa **Danuty Adamczyk**. Książka wykazuje nie tylko doskonale rozeznanie tematu, ale i jego widzenie oczami polskimi, informując o sprawach niepoljskich tyle, ile to niezbędne dla pełności obrazu.

Autorka pisze: *dokonując przeglądu nieprofesjonalnych placówek nakładowych, zauważamy rozmach i ogromne zaangażowanie przedstawicieli lwowskiej inteligencji w tę działalność. [...] Świadome potrzeb konkretnego odbiorcy, starały się je zaspokoić, ale przede wszystkim realizowały starannie przemyślane i zaprojektowane, szeroko rozumiany program kształcąco-wychowawczy.*

Co ważne, lwowskie placówki nakładowe *wypracowały wzorce podręczników dla szkoły w niepodległej Polsce. Przygotowały też, wydając literaturę metodyczną i pozycje z nowoczesnej pedagogiki i psychologii, nauczycieli dla polskiego szkolnictwa.*

Przeciętny, nieprofesjonalny czytelnik nie będzie się zapewne zagłębiał w omówienia poszczególnych wydawnictw (zresztą b. ciekawe), powinien jednak uważnie przeczytać rozdział 1. *Lwowska inteligencja i jej aktywność społeczna* – w szczególności trzy pierwsze podrozdziały. Z jednego z nich wyjęliśmy krótkie cytaty, które wykorzystaliśmy w poprzednim numerze (CL 2/07), na s. 1, w ramce *Przeczytane*.

Książkę **Stanisława Jastrzębskiego** pt. **Oko w oko z banderowcami** (Wydawnictwo „Para”, Katowice 2006) omówił w swoim artykule *Czy UPA walczyła o niepodległość* Adam J. Chowaniec w niniejszym numerze CL.

Nie mieliśmy w rękach książki **Władysława Filara: Wołyń 1939–1944. Eksterminacja czy walki polsko-ukraińskie** (Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2003).

Z górnej półki

ŚPIEW WOJNY

Powyższy tytuł (nadany przez Redakcję) nawiązuje do jednego ze zbiorów poetyckich, jakie ukazały się w konspiracyjnym wydawnictwie we Lwowie w czasie II wojny. Poniżej przedstawiamy fragment tekstu książki prof. Stanisława Sierotwińskiego pt. „Kronika życia literackiego w Polsce pod okupacją hitlerowską w latach 1939–1945”, tom II, s. 29–32 (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988). Fragment dotyczy działalności lwowskiego środowiska literackiego z marca 1944 r.

[...] Ukazały się wydawnictwa zwarte: we Lwowie ilustrowany zbiór wierszy w odbitkach fotograficznych *A imię jego jest 44*, wydany przez grupę poetycką „Żagiew”, która powstała na przełomie 1943 i 1944 roku. Odtwarzając dzieje tej grupy cofnąć się trzeba do momentu, gdy po zajęciu Lwowa przez Niemców życie literackie musiało zejść w podziemie, a oficjalnym pismem dla Polaków była „Gazeta Lwowska”. Do jej redakcji należał znany pisarz Stanisław Wasylewski, który w roku 1945 został potępiony za kolaborację przez Związek Zawodowy Literatów Polskich, ale w roku 1946 po procesie rehabilitowany, gdyż tak on sam, jak i inni współpracownicy pisma działali jednocześnie w konspiracji. Ich zasługą był niewątpliwie wyższy niż w innych „gadzinówkach” poziom literacko-kulturalnej części „Gazety Lwowskiej” oraz publikowanie wartościowych materiałów pozornie niezwiązanych z polityką. Natomiast artykuły polityczne i propagandowe nie odbiegały swą wymową od innych proniemieckich. M.in. od grudnia 1942 poprzez cały rok 1943 w stałej rubryce *Na dzień dobry* ukazywały się cięte, dowcipne fraszki Jana Obucha, cieszące się ogromnym powodzeniem także poza Lwowem, a nawet docierające do obozów jenieckich. Były także w „Gazecie Lwowskiej” wiersze liryczne Bronisława Króla, Eugeniusza Kolanki, związanego ze Lwowem, choć ukrywającego się w Krakowie, utwory podpisywane różnymi pseudonimami, nawet i dawniejsze (np. J. Kasprowicza, L. Staffa, M. Wolskiej), felietony itp. W grudniu 1943

na jednym z zebrań młodych poetów i plastyków Henryk Greb, prawnik, zdekonspirował się, przyznając do używania pseudonimu „Jan Obuch”; nie bywał on wcale w redakcji pisma i nie brał za swe utwory honorariów. Wówczas to postanowiono zawiązać grupę poetycką i wydawać konspiracyjne utwory patriotyczne. Tak powstała „Żagiew”, do której należeli młodzi ludzie z różnych kierunków studiów i rozmaitych zawodów, uprawiający twórczość artystyczną, a to prócz H. Greba – Maria Bielecka-Kasprowiczowa*, filolog; Tadeusz Forowicz, artysta plastyk; Leszek Goliński, polonista, dziennikarz; Henryk Gruszkowski, inżynier; Bronisław Król, muzyk; Leszek Majerski, lekarz; Mieczysław Miszewski, farmaceuta. Zbierali się na konspiracyjnych wieczorach w mieszkaniu Greba i innych oraz regularnie w cukierce, prowadzonej przez przyszłą żonę Greba – Zofię i Dagmarę Micińską, bratanicę poety Tadeusza Micińskiego; prowadzono tam zażarte dyskusje na tematy literackie, powstawały improwizowane utwory, które w większości przepadały. Grupa miała szersze grono sympatyków, m.in. w zebraniach uczestniczył często Jerzy Hordyński.

Przygotowano w ciągu kilku miesięcy trzy wydawnictwa: pierwszym był tomik *A imię jego jest 44*, który zawierał czternaście wierszy oraz postłowie H. Greba *O zadaniach polskiej poezji patriotycznej*, wszystkie utwory niepodpisane. Ustalono, że prawdopodobnie M. Bielecka-Kasprowiczowa była autorką wierszy: *A marzyła mi się hej!*, *Dzień powszedni*, *Warta*, *Zdrowaś Mario*. Pewne jest autorstwo pozostałych, a to L. Golińskiego *Nalot gwiazd* i *Wodzom*, H. Greba *Cześć ci motłochu* i napisane wspólnie z B. Królem *Dwie litanie*, B. Króla *Bunt*, *Egzekucja*, *Impromptu wojenne*, *Nieprawda!* i *Ojczyzna*, M. Miszewskiego *Dwie Golgoty*. Maszynopisy tomiku sporządził B. Król, ornamenty tuszem M. Miszewski, ilustracje T. Forowicz, a odbitki fotograficzne poszczególnych stron Roman Wesołowski, artysta fotografik. Tomik rozpowszechniono w stosunkowo dużej ilości egzemplarzy. Rozkolportowane odbitki na ogół nie zachowały się i po wojnie nie ma ich w zbiorach publicznych – stąd zbiorek był nieznan. Udało się jednak w końcu uzyskać od wdowy po H. Grebie kopie fotograficzne, informacje uzyskano też od innych żyjących członków „Żagwi”, głównie

od B. Króla. Trzeba zaznaczyć, że wydawnictwo to odznacza się wyjątkowo staranną i artystyczną formą graficzną.

Druga antologia lwowska pt. *Śpiew wojny*, przygotowana w tym samym kręgu co poprzednio *Wierne płomienie*, ale tym razem (odbita w Tajnych Lwowskich Drukarniach Wojskowych) – całkowicie, łącznie z drukiem, wykonana na miejscu, liczyła 37 stron i ukazała się w nakładzie 1100 egzemplarzy. Redagowała ją Stefania Skwarczyńska z Mirosławem Żuławskim; Skwarczyńska była też autorką niezatytułowanego wstępu dedykacji, adresowanego do wszystkich żołnierzy polskich w podziemiu i poza krajem. Po krótkiej charakterystyce sytuacji, przypomnieniu tragicznych okoliczności i różnych form polskiego męczeństwa autorka stwierdziła m.in.: *Jak Was i nas trafia śmierć. I na naszej placówce dwóch spośród nas poległo polską śmiercią żołnierza; jeden w Oświęcimiu, drugi w więzieniu. Dajemy Wam tutaj, w tym maleńkim zbiorku także i ich wiersze* [wiemy obecnie, że mowa o Stanisławie Rogowskim i Tadeuszu Hollendrze]. Wstęp kończy się słowami: *Obyśmy kiedyś, gdy wszyscy odpoczniemy w cieniu zwycięskich sztandarów, powiedzieć sobie mogli, że Wam się przydały te wiersze, ten nasz „Śpiew wojny”, w czasach żołnierskiego trudu*. Antologia zawiera 27 wierszy niepodpisanych, ale w większości znamy autorów, z tym że w pełni udokumentowane jest autorstwo utworów przedrukowanych po wojnie (w tomikach autorów, np. J. Gamskiej-Łempickiej, J. Hordyńskiego, w antologiach lub czasopismach). I tak (wymieniając w porządku alfabetycznym autorów) są tu: K.K. Baczyńskiego *Z wiatrem*, Aleksandra Baumgardena *Pora niczyja*, Marii Blachaczek-Mazurowej *Towarzysz Wiesienin*, Jadwigi Nowak-Przygozkiej *Wiersz z więzienia*, Jadwigi Czechowiczówny (autorstwo niepewne) *Z kazachstańskich listów*, J. Gamskiej-Łempickiej *Do żołnierzy polskich na emigracji*, *Finał*, *Lwowska kolęda 1943 roku*, *Notatka z roku 1943 i Rapsod o lwowskim Pobipięcie* (pod tym utworem znajduje się następująca nota: *Rapsod ten osnuty jest na postaci jednego z pierwszej listy 55 zakładników lwowskich, rozstrzelanych publicznie w ciągu grudnia i stycznia 1943/1944. Kimkolwiek był – jest w tej pieśni symbolem bohaterskiej śmierci tych, co polegli za wspólną sprawę. Pieśń*

ta niech będzie hołdem dla wszystkich innych, którzy razem z nim odeszli. Styczeń 1944), prawdopodobnie Marii Grzędzielskiej *Głóg*, T. Hollendra *Hellada mówi do Germanii* i *Na Krecie*, J. Hordyńskiego *Dzień milczący*, *Elegia liryczna na ostatni lot gen. Sikorskiego*, *Muzom w czasie wojny*, *Requiem 1944*, Tadeusza Nuckowskiego *Odganiając kruka*, S. Rogowskiego *Niepowrót*, M. Żuławskiego *Do poezji*. *Marsz żałobny* (przy tym wierszu dedykacja: *Cieniom autorów „Niepowrotu” i „Na Krecie”*), *Piąta wigilia*, *Wojna*. Anonimowe pozostają trzy utwory, a to: *Dwa fronty*, *Kapitulacja*, *O żołnierzu tułacz*. Niektóre wiersze z tej antologii pojawiały się potem w czasopismach konspiracyjnych.

* M. Bielecka-Kasprowiczowa była matką Bogdana S. Kasprowicza (zam. w Bytomiu), którego różnorodna twórczość – związana ze Lwowem – jest w naszym środowisku dobrze znana. Także w tym numerze znalazł się jego wiersz.

Wertując wydawnictwa

📖 Pojawił się po dłuższej przerwie kolejny, 16 numer „**Czasopisma Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich**” (Wrocław 2005, ale dopiero teraz dostarczony prenumeratom).

Kiedyś w większości był poświęcony tematowi lwowskiemu i wschodniomałopolskiemu – w tym numerze zajmują one jedną piątą jego objętości, co może nie jest dziwne w nowej epoce, jednak prawie połowę z tego zabiera artykuł autora ukraińskiego (Tarasa Zajaca), dotyczący pisarza ukraińskiego (z Ukrainy właściwej) Hnata Chotkewycza, który m.in. pisał o Huculszczyźnie, jednak w innym duchu niż Stanisław Vincenz, z którym autor artykułu (dość ryzykownie) usiłuje go zestawiać. Taka właśnie postawa owego pisarza – wynikająca z narodowości – spowodowała prześladowanie go przez sowieńców, gdy po sześciu latach zamieszkania na Pokuciu powrócił na Ukrainę, i spowodowała rozstrzelanie go w 1938 roku. Temat więc ciekawy, ale jako niezwiązany w istocie z polską historią i kulturą – czy stosow-



ny akurat do opisywanego tu czasopisma ZNiO? Artykuły publikowane w tym czasopiśmie rozumieliśmy zawsze jako opracowania naukowców zatrudnionych w ZNiO, oparte na zasobach bibliotecznych i archiwalnych tego Zakładu.

Ziem południowo-wschodnich dotyczy ponadto korespondencja Romana Aftanazego z prof. M. Gębarowiczem i dr. T. Kuzkizem, a także zyciorys R. Aftanazego oraz J. Szczepańca, pracownika ZNiO, rodem z Trzcieńca k. Mościsk. Tyle.

Szczęśliwie numer 16. zawiera niezwykle interesujące (jak zwykle) omówienie Nabytków Działu Rękopisów ZNiO z lat 1999–2004, w którym wymieniono – obok materiałów po różnych wybitnych ludziach – dość obfity zbiór pamiątek, wspomnień, opracowań, utworów, dokumentów itd. osób i rodzin ekspatrianckich. Czytanie tego zestawienia napawa wielką satysfakcją, ponieważ upewnia nas, że dwie przede wszystkim poważne instytucje w RP są predestynowane i przygotowane do przejmowania resztek spuścizny po rozbitych i rozproszonych społecznościach z utraconych Ziemi Wschodnich. Poza Ossolineum jest to niewątpliwie Muzeum Niepodległości w Warszawie, ze swą Kolekcją „Leopolis”. W innych instytucjach typu biblioteczno-archiwalno-muzealnego na terenie kraju również przyjmowane są materiały ze Wschodu, jednak całkiem inne pola ich zainteresowań nie pozwalają im na zapewnienie odpowiedniej uwagi i troski dla interesującego nas obszaru geograficzno-historycznego.

📖 W krakowskim „Dzienniku Polskim” z 23 kwietnia ukazał się bardzo potrzebny dla nowej generacji społeczeństwa polskiego (jak

wszystkie tej autorki) **artykuł dr Lucyny Kulińskiej** pt. *Jak ginęły elity Rzeczypospolitej*. Kulińska zwraca uwagę na dwa tragiczne dramaty, jakie wydarzyły się na Wschodzie: we Lwowie i w Stanisławowie.

Warto przypomnieć, że w ostatnich dniach sierpnia 1941 r. wycofujący się ze Lwowa sowieci dokonali straszliwej zbrodni na przetrzymywanych w więzieniach mieszkańców Lwowa (na Łąckiego, na Zamarstynowie i in.). Zanim rodziny zdołały zidentyfikować zwłoki swoich bliskich, 30 czerwca o godz. 3.15 rano – wyprzedzając o siedem godzin pozostałe oddziały hitlerowskie – do Lwowa wkroczyły jednostki *Abwehry*, w skład której wchodził – odziany w niemieckie mundury – ukraiński legion „Nachtigall”, dowodzony przez Romana Szuchewycza. Razem z nimi do Lwowa przybyli dowódcy OUN (frakcji Bandery). Z pomocą metropolity Szeptyckiego rozpoczęli przygotowania do ogłoszenia „Ukraińskiej Samostijnoj Derżawy”. Rozplakatowano odezwy z apelem: *Lachów, Żydów i komunistów niszczyć bez litości... Zaraz po zajęciu Lwowa zaczęły się masowe pogromy Żydów i Polaków. Przy biernej postawie wojsk niemieckich Ukraińcy prowadzili masowe aresztowania i rozstrzeliwania, gwałcili, rabowali... Według relacji świadków zginęło wówczas kilka tysięcy osób.*

Osobnym i szczególnym dramatem we Lwowie była egzekucja uczonych lwowskich, a okoliczności tej zbrodni kryją jeszcze wiele tajemnic. Jednak wywiad AK nie miał wątpliwości, że to UWO i OUN miały od dawna przygotowane *czarne listy*, co potwierdził Sąd Najwyższy RFN w toku procesu T. Oberlandera w 1960 r. Listy zostały sporządzone w otoczeniu Bandery i Szuchewycza

w Krakowie jeszcze w 1939 r., a inspiracją było aresztowanie przez Niemców profesorów UJ. Dyrektywy wymagały aresztowania wszystkich zastanych w mieszkaniach mężczyzn powyżej 18 lat. W przypadku profesorów Ostrowskiego i Greka zabrano też ich żony i służbę – a motywem był rabunek dzieł sztuki, z których mieszkania tych profesorów były we Lwowie znane.

L. Kulińska podaje wiele nieznanych nam szczegółów zbrodni. Na końcu zestawia dane liczbowe: z Uniwersytetu zamordowano 49 profesorów (46,5% ogółu) i 31 docentów; z Politechniki 24 profesorów (34,4%) i 9 docentów (11%). Z innych uczelni zginęło 8 profesorów. Największe straty poniosły nauki medyczne – wymordowano 91% profesorów i 20% docentów; z teologii 62% profesorów, z innych 24–36 procent.

📖 Z opóźnieniem dotarły do nas numery 1–2 i 5–6 „**Lwowskich Spotkań**” (nr 3–4 nie mamy dotąd), oba niezwykle ciekawe. W pierwszym do najciekawszych artykułów zaliczamy Janusza Wasylkowskiego opowiadanie o grupie literackiej „Żagiew”, która działała we Lwowie w czasie II wojny. Drugi ważny materiał to relacja z wystawy złotnictwa, jaką urządzono w ub. roku w odnowionej kamienicy Bandinellich przy lwowskim Ryнку.

Ostatni zeszyt roczny numer LS poświęcono w całości 310. rocznicy śmierci króla Jana III Sobieskiego. W obu numerach mnóstwo świetnych zdjęć oraz grafiki.

„Lwowskie Spotkania” znalazły już dawno własne, nie gazetowe oblicze, dlatego więc – na miłość Boską – dalej kontynuuje gazetową formę? Pisaliśmy już o tym parę razy. Numery LS (prawdopodobnie: byłoby odwrotnie: „Spotkań Lwowskich”) nie powinny być traktowane jak zwykła gazeta, a jako pismo literacko-artystyczne, któremu przystoi inny kształt wydawniczy.

Nie bądźcie głusi na dobre rady!

📖 Profesor **Henryk Markiewicz** wydał w serii *A to Polska właśnie* (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2001) biografię postaci ważnej w polskiej kulturze i literaturze, ale – zwłaszcza dla wygnańców ze Lwowa i Małopolski Wschodniej – kontrowersyjnej: **Boy-Żeleński**. Nie będziemy jej omawiać w całości (książkę jednak warto przeczytać

całą), zwracamy jednak uwagę na rozdział przedostatni: *W sowieckim Lwowie*.

Boy znalazł się we Lwowie w pierwszych dniach września '39 po ucieczce z Warszawy, gdzie mieszkał do wojny, i zatrzymał się w domu szwagrostwa, prof. Jana i Marii Greków przy ul. Romanowicza 7 (pani Grekowa była siostrą Zofii Żeleńskiej, z domu Pareńskie z Krakowa).

Tadeusz Żeleński podjął chwilowo pracę w szpitalu dziecięcym pod dyrekcją prof. F. Groëra* (na oddziale prof. S. Progulskiego) przy ul. Głowińskiego 1, ale rychło z niej zrezygnował, bo 22 IX otrzymał nominację na profesora literatury francuskiej na polskim jeszcze Uniwersytecie. Równocześnie włączył się w środowisko literackie, do którego wchodził wtedy zarówno miejscowi literaci, jak i liczni uciekinierzy z zachodniej Polski. Z chwilą wkroczenia do Lwowa sowieków nie miał oporów przeciwko wejściu do komitetu organizacyjnego Związku Pisarzy Radzieckich. Kiedy niedługo potem rozpoczęły się masowe wywózki ludności polskiej, Boy, prawdopodobnie za wstawiennictwem Wandy Wasilewskiej, otrzymał „normalny” paszport (dowód osobisty), tzn. „bez paragrafu”, ograniczającego swobodę pobytu w dużych miastach.

Przez cały okres tzw. *pierwszej* okupacji sowieckiej Boy uczestniczył w życiu literackim *radzieckiego* Lwowa. Wygłaszał odczyty w Klubie Pisarzy i w radiu, pisał artykuły i recenzje teatralne w „Czerwonym Sztandarze”, jednak w sprawach politycznych był – jak pisze prof. Markiewicz – dość wstrzeźmięzliwy (oprzytomniał?). Parokrotnie próbował interweniować w obronie osób deportowanych (jedną z nich była wdowa po Włodzimierzu Tetmajerze), jednak bezskutecznie. Mimo że był przez sowieckich działaczy polityczno-kulturalnych wyróżniany, to nie udało mu się przeforsować rozpoznań antologii *Młoda Polska*, wydrukowanej tuż przed wojną i zmagazynowanej w Ossolineum.

Boy-Żeleński nie skorzystał z możliwości ewakuacji ze Lwowa na wschód, gdy zbliżali się Niemcy. W parę dni po ich wejściu w nocy 3/4 lipca '41 zostali aresztowani i rozstrzelani profesorowie lwowscy i ich rodziny (łącznie 42 osoby), wśród nich pp. Grekowie. Razem z nimi zabrano i zabito Boya, mimo że nie było go na liście proskrypcyj-

nej, wcześniej – zapewne przez nacjonalistów ukraińskich – przygotowanej. Zginął więc poniekąd przypadkiem.

📖 Książka, o której tu wspominamy, nie dotyczy ani Lwowa, ani żadnego innego miasta w Małopolsce Wschodniej, dotyczy natomiast lwowianina, który tę książkę napisał. Jej bohaterem jest muzyk – kompozytor i dyrygent, ks. Bernardino Rizzi (1891–1968), Włoch, który spędził w Polsce, ścisłej w Krakowie, szereg lat i w 1925 r. utworzył działający do dziś Chór Cecyliński przy kościele oo. Franciszkanów.

Autorem biografii o. Rizzi jest **Stanisław Skarbiński (1923–1997)**, żyjący już potomek znanych lwowskich rodzin. O tym jednak – z okazji 10. rocznicy jego śmierci – napiszemy osobno.

Dodajmy na koniec, że Chór Cecyliński nadal corocznie 22 listopada uświetnia śpiewem mszę św. w krakowskiej Bazylice Mariackiej, poświęconą Lwowskim Orłętom. Była to wspaniała inicjatywa Pana Stanisława.

📖 W „Gazecie Polskiej” 20/07 znalazł się obszerny artykuł Bogdana S. Kasprowicza pt. *Polska piłka wywodzi się ze Lwowa*. Jest to historia **najstarszego klubu piłkarskiego na ziemiach polskich „Pogoni”**, która wywiodła się z kilku lwowskich drużyn gimnazjalnych.

B.S. Kasprowicz, zamieszkały w Bytomiu, jest nam dobrze znany jako poeta i autor omawianego w poprzednim numerze CL *Przewodnika sentymentalnego*. Mamy wiadomości, że jego artykuły o Lwowie będą się pojawiały w kolejnych numerach „Gazety Polskiej”. Warto więc kupować – wychodzi we środy.

📖 W krakowskim „Dzienniku Polskim” z 30 III '07 rozmowa E. Łosińskiej z prof. Wojciechem Kowalskim, pełnomocnikiem ministra spraw zagranicznych ds. restytucji dóbr kultury: *Zagrabione trzeba zwrócić*.

W Polsce oszacowano po wojnie, że **zostało utraconych ok. pół miliona dóbr kultury**, okazało się jednak, że nie więcej niż 60 tys. pozycji można udokumentować, tak by możliwe było żądanie ich zwrotu. Straty ocenia się na ok. 20 miliardów dolarów.

Na pytanie, gdzie jest najwięcej cennych obiektów zagrabionych z Polski, prof.

Kowalski odpowiada: *Na pewno w prywatnych rękach. No i oczywiście w Rosji. Co do tego nie ma wątpliwości*.

Co do Rosjan: nie tylko sami rabowali, ale jeszcze zabrali z Niemiec wiele dóbr, które ci wcześniej planowo wywozili do Niemiec i Austrii. Nb. niemało przedmiotów dostało się w podobny sposób do USA, Anglii. Odzyskiwanie dzieł sztuki jest trudne, a co ciekawe, do krajów wyjątkowo opornych należą... Austria.

📖 „Czas” z czerwca ubiegłego roku (22/06) zamieścił **smutny artykuł** Marka A. Korprowskiego pt. *Nie ma już Zaleszczyk, są Zaliszczyki*. Żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam na przedrukowanie tego tekstu w całości. Autor przedstawia upadek tej niegdyś pięknej i uczęszczanej miejscowości nad Dniestrem, „polskiej Riwieri”. Dotyczy to także polskiej wspólnoty, która liczy nie więcej niż 20 starych osób, choć i to nasuwa pewne wątpliwości. Autor przytacza słowa dojeżdżającego księdza: *Jak kościół był zamknięty, chodzili do cerkwi, większość z nich w niej została ochrzczona. Niektóre panie, wchodząc do kościoła, żegnają się w sposób prawosławny. Gdy zwracam im uwagę na te niuanse, odpowiadają – tu nie Polska, a Ukraina, ojciec Józefie, przykajcie...*

Na koniec autor podsumowuje: *Miasteczko tkwi w głębokim marazmie. Z 12 tys. jego obywateli dwa tysiące w wieku produkcyjnym wyjechało za granicę i do Zaleszczyk raczej już nigdy nie wróci. Nie ma w nich pracy. Padły wszystkie zakłady, a także kołchoz uprawiający buraki cukrowe, pomidory i ogórki. Władze radzieckie uznały bowiem, że tutejsze winorośle, brzoskwinie i morele są im niepotrzebne i wykarczowały ich plantacje. Kropkę nad „i” postawił Czarnobyl. Tu już nikt nie przyjedzie po zdrowie...*

📖 W poprzednim numerze (CL 2/07) opisaliśmy trzy wersje przyszłości Europy, przewidywane przez trzech różnych ekonomistów: Francuza, Włocha i Amerykanina. I oto w naszych zbiorach odkryliśmy wycinek z francuskiego „Le Monde”, nie najnowszy, bo z 1994 r. (29 I), przedstawiający koncepcję **geopolityczną osławionego polityka rosyjskiego, Włodzimierza Żyrynowskiego**. Krótki komentarz nosi tytuł: *Le conti-*

ment *vu par Vladimir Jirinovski*, a mapka doń dołączona obejmuje wschodnią część Europy, z naniesionymi przez Żyrinowskiego „poprawkami”.

Swoją koncepcję Europy wschodniej przedstawił Żyrinowski w rozmowie z *Rolfem Gauffinem*, dawnym ambasadorem szwedzkim. W tekście czytamy: *Polska (1) zostaje na nowo podzielona między Rosję i Niemcy, a jako rekompensatę otrzymuje rejon Lwowa (2); Królewiec (3) wraca do Niemiec, a kraje bałtyckie do Rosji, z wyjątkiem Tallinna (4), który pozostanie jako miasto-państwo (podobnie jak Luksemburg albo Liechtenstein), oraz strefy wokół Kowna (5), stolicy Litwy między dwiema wojnami. Niemcy powiększą się o Austrię oraz Czechy i Morawy (a Słowacja wróci [!] do Rosji) i Słowenię. Ex-Jugosławia zostanie podzielona między Chorwację i Serbię, a równocześnie zostanie odtworzona „Wielka Bułgaria” (6), obejmując Macedonię, Trację, Bukareszt [!].*

Wypociny nawiedzonego? W części – niewątpliwie. Ale ten nawiedzony zdobył w ostatnich wyborach (uwaga: pisane przed 1994 r.) jedną czwartą głosów, zaś jego mapa Europy nie jest tylko owocem chorej wyobraźni, ponieważ zawiera elementy, które przed pięćdziesięciu laty tworzyły rzeczywistą mapę kontynentu.

No cóż, bzdury a la Żyrinowski. Pamiętajmy jednak, że podobne rysunki wykonywali jeszcze inni, groźniejsi, bo trzymający władzę. Być może dowcipem jest anegdota o carze, który na prośbę posłusznych urzędników wytyczał od *linijki* trasę kolei z Petersburga do Moskwy, ale wystający palec spowodował zakole w przypadkowym miejscu, co do dziś widać na mapach. Nie jest zaś niestety dowcipem to, co rysował Stalin w obecności równie posłusznych Roosevelta i Churchilla. To też widać na mapach, aż za dobrze. I nie tylko.

Czy nie mogą się pojawić następni rysownicy?

A na koniec od siebie dodajmy, że – przy całym szaleństwie – Żyrinowski wyczuwa czym jest Lwów, skoro widzi go razem z Warszawą i Krakowem.



Na „mapie Polski” nakreślonej przez Żyrinowskiego widać Warszawę, Kraków i Lwów z okolicami

LISTY DO REDAKCJI



Ciekawy (i miły) list nadesłał drogą internetową z drugiej półkuli p. Stanisław Szybalski, który od p. Stanisława Kosiedowskiego dowiedział się o dostępności naszego kwartalnika w internecie. Pisze więc:

[...] Muszę powiedzieć, że jestem pełen podziwu dla waszego wydawnictwa, niestety [...] mam problemy z czytaniem, ale komputer pozwala mi na powiększanie liter do wielkości, jaką mogę czytać. Oczywiście idzie ono dość wolno, tak że trzeba się ograniczyć do najbardziej interesujących artykułów. [...]

Mimo że mieszkam na dalekiej słonecznej Florydzie, jestem stale w kontakcie z lwowiakami, choć głównie internetowo, a ostatnio rozmawiamy albo na skype, albo telefonicznie. Niedawno odnalazła mnie córka Niny Strońskiej – nie pamiętam, jak się obecnie nazywa – której ojciec, przyjaciel naszej rodziny, był znanym lwowskim adwokatem, a jego brat premierem rządu emigracyjnego. Ciekawa była rozmowa po latach, kiedy wyjechaliśmy ze Lwowa i straciliśmy kontakt. [...] Serdecznie Cię pozdrawiam.

Stasiu, serdecznie dziękuję. Chcę Cię wykorzystać. W naszej Redakcji opracowujemy od lat „Archiwum Wschodnich Małopolan”. Są to wszelkie dane o Polakach i polskich rodzinach – które musiały opuścić swoje gniazda i rozproszyły się po całym świecie. Niedługo nikt nie będzie ich nazwisk wiązał ze Lwowem i Małopolską Wschodnią. Nawet wiele nazwisk zniknie przez wymieranie, przez małżeństwa lub depolonizację w obcych krajach. Apelujemy nieustannie do naszych Czytelników, by nadsyłali stosowne dane. Czy i Ty zechciałbyś – a może już to zrobiliście – opracować genealogię Waszej rodziny z charakterystyką znanych Wam przodków i współczesnych. To samo dotyczy rodziny Strońskich, która wszak we Lwowie była znana od kilkuset lat, ale teraz coraz trudniej będzie zebrać to w kompletną całość. Pomyślcie nad tym. Serdecznie pozdrawiam, AC.

Do Czytelników CL: to, co napisaliśmy wyżej do p. Stasia Szybalskiego, dotyczy wszystkich expatriantów z Małopolski Wschodniej, i w ogóle całych Ziemi Wschodnich.

Pisze z Jarosławia Pani Jadwiga Sibiga:

To prawda, że mój kontakt z kwartalnikiem CL został przerwany na dość długi okres. Nie znaczy to jednak, że zapomniałam, wprost przeciwnie, czytam każdy nowy numer z największym zainteresowaniem. Prawdę mówiąc, w tych naszych codziennych sprawach zamieszania i braku stabilizacji pismo CL stało się ostoją i potwierdzeniem, że sprawy Polski na zawsze pozostaną w Jej wielowiekowej historii. Trzeba tylko dobrej woli, aby poznać tę historię, a to jest obowiązkiem każdego Polaka.

Niestety część społeczeństwa nie potrafi czy nie chce wyjść z tego labiryntu nieświadomości i w konsekwencji żyjemy w zafałszowanej rzeczywistości. Czas płynie niepowstrzymanie, przez kilkanaście lat wolności nie potrafilismy wykorzystać tego daru, zagubieni w poszukiwaniu właściwej drogi, wciąż błądzimy.

Jestem z pokolenia tych, co już się urodzili z miłością i patriotyzmem do własnej Ojczyzny i wszystko, co dzieje się wbrew tym zasadom, rani moje uczucia. [...]

Powstanie Instytutu Historii Kresów napawa wielką nadzieją, że w pełni przywróci świadomość społeczeństwa polskiego o jego tożsamości i dziedzictwie kultury na wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej.

Kończąc ten list pełen rozterki i żalu, że czas mija nieubłaganie i trzeba odejść, a przecież tyle jest spraw do uporządkowania w mojej Ojczyźnie. Pozostaje jednak nadzieja, że historia ma swoje prawa i bez względu na swoich przeciwników na jej kartach prawda pozostanie.

Bardzo serdecznie dziękujemy, Pani Jadwigo, za te piękne słowa. Cieszymy się, że nasza postawa znajduje zrozumienie i aplauz u Czytelników.





Struktura terytorialna Armii Krajowej w 1944 r. na terenie obszaru II Rzeczypospolitej
- na podstawie dokumentacji Studium Polski Podziemnej w Londynie.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa. Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego
Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl
Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637 1321

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 3500, 294 1528, e-mail: fall@fall.pl
Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzińskiego 1, tel. (12) 413 76 51
Nakład 750 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Słowo od Redakcji NASZE DZIEDZICTWO	II	Proza Franciszek Jaworski WAŁY HETMAŃSKIE	45
Felieton Barbara Czałczyńska MÓJ DZIADEK	1	Romana Link-Machowska Ewa Brodzisz-Śliwicka WSPOMINAMY MARTĘ	49
KOŚCIÓŁ ŚW. MARII MAGDALENY..	2	Józef Hampel SPOD TARNOPOLA PRZEZ IRKUCK DO GLIWIC	52
Karolina Grodziska LWOWSKIE POMNIKI JANINY REICHERT	3	Marta Walczewska STUDENT KAROL WOJTYŁA W OŻOMLI	54
Młódzież poznaje Lwów Aneta Żuk I ZNÓW SERCE RADOŚNIEJ BIJE...	7	Alicja Michałowska SIOSTRY Z SIENIAWSKIEJ ULICY	55
Ewa Tracz ZOSTANIE W MEJ PAMIĘCI	17	Słownik geograficzno- -historyczny BORYNICZE ♦ GLINIANY ♦ PSARY	55
Henryk Kleinrok MOJE MIASTECZKO KOZŁÓW (1)	8	♦ STARE SIOŁO ♦ STRATYN	55
Adam Jerzy Chowaniec CZY UPA WALCZYŁA O NIEPODLEGŁOŚĆ?	14	Archiwum LWÓW DLA KRYNICY	57
Maciej Dęboróg-Bylczyński ŻYCIE MUZYCZNE GALICYJSKIEGO LWOWA	21	Anna Piwowarska W ŚWIECIE ARYSTOKRACJI	58
Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z BOGUSŁAWEM KOŁCZEM	23	Sylwetki Egon Leopolski KINGA	64
Jadwiga Ciechanowska WSPOMNIENIA NAFTOWCA (1)	27	Maciej Dęboróg-Bylczyński JAKUB DĘBORÓG-BYLCZYŃSKI	66
Archiwum PAMIĄTKI LWOWSKICH KOLEI	31	Z żałobnej karty ZALESZCZYKOWIANIN ROSJANIN, KTÓRY ZROZUMIAŁ POLSKOŚĆ	67 68
Naszym zdaniem NIE UPRASZCZAJMY	33	Z tamtej strony TRZECI MAJA WE LWOWIE WYDARZENIA	69 70
Jacek Króliński, Helena Skurska RUDOLF WEIGL I JEGO DZIEŁO	36	Polacy z Polakami DO ZAPAMIĘTANIA	70
Alfred Senze Z TAMTYCH LAT, Z TAMTYCH DNI (3)	40	W Krakowie i dalej NOTATKI	70
Wiersze Marcin Hałas JESIEŃ CHWYTA ZA GARDŁO	44	Kultura ♦ Nauka Danuta Trylska-Siekańska JUBILEUSZ NESTORKI KRZEMIENIECKIEJ KRONIKA	71 72
* * *			
Bogdan S. Kasprowicz DRUGIE POKOLENIE		Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI	72
Lesław Nowara DOM NA KOLANACH		ŚPIEW WOJNY WERTUJĄC WYDAWNICTWA	78 80
		Listy	84

